

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 9 (348) • ROK XXX • WRZESIEŃ 2024



WRZEŚNIOWA
SAMOTNOŚĆ



fot. Tomasz Bienek



Czasy okupacji hitlerowskiej były najtragiczniejszym okresem w historii Częstochowy. Wielokulturowe miasto, gdzie przez wieki żyli obok siebie przedstawiciele wielu narodowości oraz kilku religii, jak w soczewce skupiało wszelkie zawiłości realiów lat II wojny światowej, i bardzo często zdarzało się, że ludzkie postawy wymykały się przyjętym po wojnie stereotypom. Na zdejściu pomnik ofiar częstochowskiego getta.

Szczegóły str. 27

fot. Tomasz Bienek



Budynek głównego urzędu pocztowego w Katowicach powstał pod koniec XIX wieku, dając przy okazji nazwę ulicy Pocztowej, przy której mieści się do dziś. Katowicka poczta niezmiennie trwała w tym miejscu w trakcie I wojny światowej, powstań śląskich i plebiscytu, okupacji hitlerowskiej, lat PRL-u i przemian gospodarczych pierwszej połowy lat 90. Choć ze wszystkich zawirowań historii wyszła obronną ręką, latem 2024 miała zostać zlikwidowana. Władze Poczty Polskiej w ostatniej chwili wycofały się ze swojej decyzji. Przypominamy losy jednego na najbardziej charakterystycznych budynków dawnych Katowic.

Szczegóły str. 30

fot. Tomasz Bienek



Pomimo dynamicznego rozwoju technologicznego i gospodarczego województwa śląskiego, dane statystyczne są nieubłagane – mieszkańców ubywa z przyczyn naturalnych. Ilość mieszkańców regionu kurczy się z dekady na dekadę. Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy? Jak dzisiejsze postawy wpływają na demografię? Jak przez ostatnie stulecie zmienił się styl życia i jak przekłada się to na dzietność?

Szczegóły str. 78



Zygmuntowi Brachmańskiemu

wybitnemu rzeźbiarzowi i medalierowi

twórcy pomników i wystrojów wnętrz sakralnych

z okazji nadania godności

Honorowego Obywatela Miasta Katowice

serdeczne gratulacje składają

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

i redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego

„Śląsk”

Nr 9 (348), Rok XXX, WRZESIEŃ 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaJAROSŁAW STYPA
KulturaKRYSTIAN WĘGRZYNEK
RegionTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS

ANDRZEJ JARCZEWSKI

JAROSŁAW KAPSA

WOJCIECH LIPOWSKI

ZBIGNIEW LUBOWSKI

KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

TOMASZ BOCHEŃSKI

MARIAN G. GERLICH

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

RYSZARD JASNORZEWSKI

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

KRZYSZTOF ŁĘCKI

JAN MALICKI

JAN MIODEK

TOMASZ SŁUPIK

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane teksty

Warunki prenumeraty:

Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM

4 Krystian Węgrzynek TEATR JEST PO TO, ŻEBY NAS ODMIENIAĆ. ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ
GAJEWSKĄ, DYREKTORKĄ TEATRU ROZRYWKI W CHORZOWIE

8 Jarosław Kupczak OP LAUDACJA DLA KS. PROF. DR. HAB. JERZEGO SZYMIKA

10 Ks. Jerzy Szymik PRZEPRAW SIĘ I POMÓŻ NAM! TEOLOGIA I KULTURA

16 CZYTELNI JEDNEGO WIERWSZA Mirosława Szott ŚWIRSZCZYŃSKA. ROZMOWA
Z JÓZEFEM BARANEM18 ARCHIWA PISARZY. WILHELM SZEWCZYK DZIENNIK 1937 (7) Z rękopisu opracował
Marian Kisiel

24 Jolanta Trela ŚMIERĆ KANTA ESEJ O MELANCHOLII

27 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa NIEMIECCY SPRAWCY, NIEMIECKIE OFIARY

30 Michał Spurgiasz POCZTA W KATOWICACH

32 Wiesława Konopelska DON GIOVANNI – NIEUPUDROWANA POSTAĆ Z PRZESZŁOŚCI

34 Zbigniew Lubowski SWING OTWARŁ DROGĘ DO WOLNOŚCI

49 Joanna Warońska-Gęsiarz PISANIE CZĘSTOCHOWY

52 Radosław Kobierski TEATR A PART

58 100. ROCZNICA ŚMIERCI JOSEPHA CONRADA-KORZENIOWSKIEGO Stefan Zabierowaki
ŚMIERĆ CONRADA

60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek CZTERDZIEŚCI LAT BEZ „ROCZNIA LITERACKIEGO”

78 Andrzej Jarczewski ŚLĄSKI PROBLEM NUMER 1

80 Janusz Plewniak PRZYGODY Z GODKOM. JĘZYK MOJEJ MAMY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 Tadeusz Kijonka Z DŁUTEM PRZEZ ŻYCIE

69 GALERIA Zygmunt Brachmański RZEŻBA

POEZJA I PROZA

3 WIERSZ NA OTWARCIE Ks. Bartłomiej Kuźnik DO NIEKTÓRYCH

14 Ks. Bartłomiej Kuźnik WIERSZY

22 Małgorzata Rygielska WIERSZY

23 Adam Lizakowski WIERSZY

40 Maciej Melecki PRZYROST STRĄCEN (FRAGMENTY)

43 Andrzej Szuba WIERSZY

46 Zbigniew Chojnowski WIERSZY

47 Antoni Dobrowolski WIERSZY

56 Lee Slonimsky WIERSZY przełożył Henryk Cierniak

66 Janusz Pasternski WIERSZY

74 Marian Kisiel DZIENNIK BEZ DAT

76 Dariusz Tomasz Lebiada EGZEKUCJA NA RYNKU

FELIETONY

36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek SŁOWOTWÓRCZA PRODUKTYWNOŚĆ
WRAŻANIA

37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich ŚLĄSKI DOWCIP ANTYHITLEROWSKI

38 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki REALIZM GRECKI

39 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA Tomasz Słupik POŁA I MARCIN

44 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (13)

45 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski CO CZYTA BOKSER?

48 BIAŁE KRUKI Jan Malicki OSTATNIA PRZEDWRZEŚNIOWA NAUKOWA KSIĄŻKA O ŚLĄSKU

73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko KSIĄŻKA O BARBARZE BUCZKÓWNI

KSIĄŻKI

62 Piotr Skowronek POETYCKIE OPUS MAGNUM

63 Ryszard Bednarczyk SIEDEM NEUROTICZEK

64 Olga Płaszczewska DWUGŁOS O ZOFII KOSSAK

65 Elżbieta Hurnik ZOFIA KOSSAK – LEKTURY KONIECZNE

Na okładce:

Zygmunt Brachmański SAMOTNOŚĆ

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmianyDofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Czwarta nad ranem

1 Wielka Wojna. – 28 VII 1914: Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii; 1 VIII 1914: Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji; 3 VIII 1914: Niemcy wypowiedziały wojnę Francji; 4 VIII 1914: Niemcy przekroczyły granice Belgii, sankcjonując stan wojny z tym państwem; 4 VIII 1914: Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom; 6 VIII 1914: Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. – 110 lat temu zaczęła się Wielka Wojna. Powołano pod broń ok. 65 mln żołnierzy, zginęło ok. 8,7 mln. Wskutek głodu, epidemii i masowych mordów liczba strat powiększyła się do ok. 12 mln. Świat nie znał dotąd takiego „walca wojny”, gdzie „wszystko działa się z precyzją maszyny” (Ernst Jünger, *Kampf als inneres Erlebnis*, Berlin 1922).

2 Hotel Europejski, Warszawa. – „Jak to, więc naprawdę Europę pocięto rzekami krwi? Więc naprawdę walczą ze sobą milionowe armie? Możliweż to, ażeby człowiek nawykły do obcowania z wolnością był od niej nagle oddzielony nieprzeprznanymi lasami bagnetów żelaznych? Prawdąż to, że nie ma już poczt, telegrafów, kolei żelaznych? Że jednym ciosem strącono nas w chaos? Otom osobiście wolny, cały i zdrow, swobodnie chodzę po pokoju i po całym mieście, ale nie wolno ani mnie, ani braciom moim wyruszyć w świat, widzieć jego niedawne piękno, bogactwa i życie. Runęła cywilizacja, pod ziemię zapadła się” (Cezary Jellenta, *Wielki zmierzch. Pamiętnik*, przedmowa Roman Tabor-ski, PIW, Warszawa 1985, s. 23).

3 Rok 1918. – „Gdybyśmy powrócili w roku 1916 do ojczyzny, z bólu i siły naszego przeżycia rozpętałibyśmy burzę. Kiedy powrócimy teraz, będziemy zmęczeni, w ruinie, wypaleni, pozbawieni korzeni i bez nadziei. Już nie będziemy mogli odnaleźć siebie na nowo. A także nie zrozumiemy nas – gdyż przed nami czuwa pokolenie, które wprawdzie spędziło tutaj lata wraz z nami, ale które miało łóżko i zawód, a obecnie powraca na dawne swe stanowiska, na

których zapomni wojnę – a poza nami pokolenie, dawniej podobne do nas, które będzie nam obce i usunie nas na bok. Jesteśmy zbyt tchelnymi dla samych siebie, będziemy wzrastać, niektórzy przystosują się, inni ulegną, wielu pozostanie bezradnych – lata przesypiają się i wreszcie poddamy się zagładzie” (Erich Maria Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, przeł. Stefan Napierski, Kolekcja Gazety Wyborczej, t. 3, Warszawa 2004, s. 157).

4 Michael Wildt w eseju *Pokolenie jako początek i przyspieszenie* przypomniał głośną książkę E. Günthera Gründla *Die Sendung der jungen Generation* (1932), w której „młode pokolenie frontowe” określił on mianem „tragicznego”. Opierając się na wypowiedziach Gründla, Wildt pisał o tym pokoleniu (przeł. Rafał Żytniec): „Było ono bardziej wyśmiewane niż traktowane poważnie z powodu jego wątpliwości, wiecznego poszukiwania i marzycielstwa, a tymczasem dogonił je młodszy”. „Przyszłość mogła w oczach tego pokolenia stać się tylko przeciwnym modelem do istniejącego, być nowym, radykalnie innym porządkiem, który dawał poczucie «prawdziwej» wspólnoty, zaś jednostce godny zaufania sens istnienia jej samej”. – „Samych siebie podzielił on jako członków przyszłej elity władzy. Nie chcieli być obywatelami, lecz wodzami, nie chcieli być wybierani, lecz chcieli być wybraną, naturalną elitą narodu. Wodzostwo [...], czyn, idea – to są elementy, wokół których koncentrowało się polityczne myślenie tych młodych mężczyzn. Wodzostwo opierało się na wiedzy o ograniczonym rozwoju przyrody i narodu i potwierdzało się przez czyn. W wyższości i powodzeniu czynu objawiał się wódz. Liczył się tylko sukces, który zarazem usprawiedliwiał działanie i ideę. Celem polityki była zawsze konieczność, całość. Nie wolno jej było podlegać ani regulującym normom, ani jakimkolwiek prawu moralnemu” (w: *Pokolenie albo porządkowanie historii*, oprac. Hubert Orłowski, tłum. różni, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2015, s. 402, 404). – Tak narodził się nazizm. „Kto jest pewien historii, nie musi i nie wolno mu wahać się” (s. 405).

5 II wojna światowa. – 1 IX 1939: Niemcy zaatakowały Polskę; 3 IX 1939: Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Konflikt lokalny przekształcił się w światowy. – 85 lat temu zaczęła się II wojna światowa, Epoka Pieców. Wzięto w niej udział 61 państw i 1,7 mld ludzi (pod bronią 110 mln). Zginęło ok. 20 mln żołnierzy, wszystkie straty ludzkie wyniosły ponad 50 mln. – Druga wojna unieważniła wojnę pierwszą.

6 Nihilizm moralny władzy. – „Żyliśmy w polu tak działającej władzy, niechronieni niczym przed uderzeniami, które spodobało się jej wymierzyć. [...] W tym kręgu mieściło się administracyjne mordowanie milionów bezbronnych ludzi. W tym kręgu mieściło się budowanie koncernów śmierci wyposażonych w technikę obliczoną na dziesiątki tysięcy dziennego prze-robu. Mieścił się w nim system tresury dozorców i katów obozu niewoli i śmierci, którym stał się kraj naszego dzieciństwa, wraz z innymi krajami na długie pięćdziesiąt lat” (Jan Strzelecki, *Żywe konflikty. Wybór pism*, oprac. Kamil Piskala, wstęp Andrzej Mencwel, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015, s. 275).

7 Pamięć. – W eseju *O pamięci zbiorowej* Jerzy Jedlicki napisał: „Pamięć ludzka jest własny życiorys, zanim zacznie go lustrować inni”. Zdanie dalej: „Pamięć zbiorowa? Nie ma zbiorowej pamięci. Pamięć jest zawsze i tylko indywidualna, czego nie zmienia fakt, że niektóre jej treści mogą być wspólne wielu jednostkom i że istnieją – jak pisał francuski socjolog, Maurice Halbwachs – «społeczne ramy pamięci»”. Cztery akapity dalej: „Pamięci ludzkie nie dodają się do siebie, nie tworzą jakiejś zbiorowej sumy, lecz nader często wiodą z sobą zacięty spór” (w: *Historia a świat wartości. Wybór esejów*, wstęp Maciej Janowski, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2022, s. 281, 282). – W opisach wojen narracje świadków zawsze są prywatną historią ludzkości. Świadectwa pamiętających antagonistyzują się w tym samym pokoleniu. Kiedy ustalają wspólną wersję, przestają być świadectwem, a stają się emanacją założonych idei, ich propagacją i apologią.

8 Świadectwo literatury. – Jeszcze raz Jedlicki: „Gdy [...] literatura chce pełnić funkcję świadectwa, nie chce się nawet nazywać literaturą”. A w innym miejscu: „nie ze skonwencjonalizowanej, wyuczonej świadomości «społecznej», lecz z [...] indywidualnej nadświadomości autora – bierze początek literatura świadcząca. Nie piękne «kłamstwo literatury», ale – przeciwnie – jej wysiłek ku prawdzie, która nie jest w całości dana nam w nagim doświadczeniu, pomimo jego niehumanitarnego nadmiaru, a może raczej wskutek tego nadmiaru. A jeżeli tak, to funkcja literatury świadczącej zaczyna się dokładnie tam, gdzie kończy się źródłowa, sprawozdawcza funkcja świadectwa” (tamże, s. 92, 97).

Marian Kisiel

Do niektórych

im sprawniej piszesz na klawiaturze
tym trudniej odnaleźć ci pióro

im więcej ślesz maili
tym gorzej z kopertami

im częściej uczysz się z sieci
tym słabiej znasz alfabet

im dalej podróżujesz
tym oporniej do miast obok

im lepiej znasz języki
tym ciszej w nich mówisz

im łatwiej okłamujesz
tym bardziej musisz pamiętać

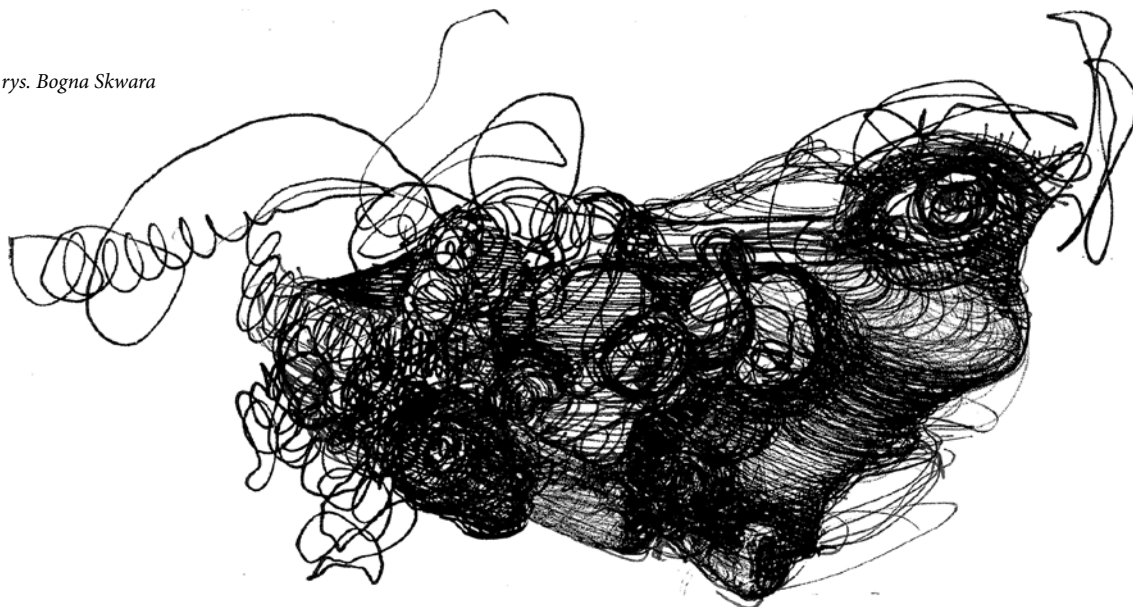
im dłużej żyjesz
tym szybciej upływa ci rok

im bliżej starości
tym mniej rówieśników

im mocniej kochasz
tym liczniej gromadzisz

im warto dać serce
tym będą silni

rys. Bogna Skwara



Teatr jest po to, żeby nas odmieniać

Z ALEKSANDRĄ GAJEWSKĄ, dyrektorką
Teatru Rozrywki w Chorzowie,
rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK



for. Artur Wachlew

Spotykamy się w Teatrze Rozrywki, więc po prostu zapytam, jakie ma Pani skojarzenia ze słowem „rozrywka”?

Rozrywka to po pierwsze Teatr Rozrywki. Miejsce, w którym jestem od ponad trzydziestu lat. To jest mój dom.

A samo słowo „rozrywka”?

Myślę, że to jest wszystko to, co sprawia, że ludzie mogą poczuć się lepiej i stają się szczęśliwsi. Nigdy nie chciałabym oceniać, co jest lepszą, a co gorszą rozrywką, co jest rozrywką niższą czy wyższą. My przyjęliśmy pewien profil i rodzaj rozrywki, podejmując wszelkie starania, by dać naszym widzom rozrywkę na najwyższym poziomie. Natomiast nie chciałabym nigdy, oceniając czy odnosząc się do innych wydarzeń, oceniać gustu. Dlatego że każdy ma prawo coś lubić lub nie. Jednak to, o co dbamy w naszym Teatrze i o co zawsze zabiegam, to jakość naszych propozycji.

Czy Teatr Rozrywki ma wywoływać w widzach dobry nastrój?

Rozrywka to jest też to, co nas skłania do myślenia, do refleksji. Największą radością dla aktora, reżysera i także dla dyrektora teatru jest, kiedy widz wychodzi z teatru nieco inny niż do niego przyszedł, odmieniony. Ja też to właśnie lubię w teatrze, że kiedy oglądam spektakl, koncert, jakieś wydarzenie, wychodzę z niego inna. Zachodzi we mnie zmiana, noszę w sobie refleksję, myśl. Bo to znaczy, że coś się we mnie zadziało. I taki teatr chciałabym robić. I to jest dla mnie „rozrywka”.

A propos tego wysokiego poziomu... Od lat dba Pani o to, żeby widzowie na Śląsku mogli się wspaniać na musicalowe ośmiotysięczniki.

Tak, ja to tak nazywam.

Spójrzmy chociażby na kilka ostatnich. *Koty*, *Tootsie*, *School of Rock*... Imponująca wspinaczka! Bez zadyszki?

My te ośmiotysięczniki prezentujemy w Chorzowie od wielu, wielu lat. To przecież i *Cabaret*, i *Evita*, i *Skrzypek na dachu*, *Jesus Christ Superstar*...

To mój ulubiony.

Mój też! *Jesus Christ Superstar* to chyba mój najbardziej ulubiony musical. Ta mu-

zyka porusza niewiarygodnie, a ja miałam wielkie szczęście grać w tym spektaklu od premiery w 1999 roku. A zadyszka? Nie, dlatego że dla każdego z nas to jest kolejne wyzwanie, kolejna radość i energia do dalszej pracy. Nie realizujemy zbyt wielu premier w ciągu roku, przyjęłam taką zasadę, że robimy jeden nowy, duży musical w sezonie. Wtedy jest czas na to, żebyśmy spokojnie, właśnie bez zadyszki, mogli się do tego przygotować. Ale nie tylko dlatego. Tak się stało w ciągu ostatnich lat, może to zabrzmie nieskromnie, że nasze premiery spotykają się ze świetnym odbiorem widzów, a bilety wyprzedane są na wiele miesięcy do przodu. Wiąże się to z tym, że właściwie nie mamy czego zdjąć z afisza, a repertuar nie jest przecież z gumy. Z kolei kiedy przygotowujemy premierę nowego tytułu, to powinniśmy mu zrobić miejsce.

Znam to z własnego doświadczenia – bardzo trudno o bilet...

Wiem, z jakim żalem widzowie przyjęli informację o pożegnaniu *Producentów*, czy o zdjęciu *Młodego Frankensteina*, ale gdybyśmy tego nie zrobili, to nie pojawiłaby się *Tootsie*, nie pojawiłyby się *Koty*, bo naprawdę nie byłoby przestrzeni w repertuarze. Pokazujemy duże musicale, stawiamy ogromne dekoracje, potrzebujemy co najmniej kilku dni na próby wznowieniowe. Na przykład montaż *Tootsie* trwa dwa dni, *Kotów* ze światłami – trzy i pół. A jeszcze trzeba ustawić orkiestrę, zespół, więc to jest po prostu niemożliwe, żeby grać co dwa dni. Oczywiście są takie teatry na świecie, które w ten sposób funkcjonują. Pojechałam do jednego z nich, żeby to zobaczyć. Byłam bardzo ciekawa, jak to robią, że grają dwa dni jeden tytuł, dzień przerwy, dwa dni i następny tytuł. Okazało się, że dekoracja jest w dużej części wizualizacją na ekranie. W ten sposób jest to pewnie łatwiejsze, ale my chcemy pokazywać państwu spektakle z pełnym rozmachem, dać naszym widzom magię teatru, mamy scenę obrotową, mamy sztankiety, duży zespół i chcemy, żeby to wszystko zagrało.

To gra i na widzów działa.

Ale się wiąże z tym, że co dwa dni nie jesteśmy w stanie przestawić repertuaru teatru.

Rozmawiamy parę dni po premierze *School of Rock*. Przygotowania trwały łącznie z castingiem przeszło rok. Proszę powiedzieć, jak się pani czuje już po premierze? Jaka atmosfera panuje w zespole?

Jest wspaniale. Na początku miałam trochę obaw, Jacek Mikołajczyk [reżyser *School of Rock* – KW] w dużo mniejszym stopniu, bo ma większe doświadczenie w pracy z dziećmi jako reżyser. Kiedy prowadziłam z nimi warsztaty i poczułam ten huragan energii, to zaczęłam się zastanawiać, jak się uda to okiełznać na scenie. Okazało się, że są niesamowite. Połączenie obsady dorosłej z obsadą dziecięcą dało nam kompletnie nową jakość. To jest coś zupełnie innego niż nasze wcześniejsze spektakle z dziećmi – *Billie Elliot* czy *Oliver!*, gdzie również grały dzieci. Rock to jednak zupełnie inna energia. Ja jestem przeszczęśliwa. Jednak już nas serce boli, bo wiemy, że właściwie co set będziemy się musieli z niektórymi z tych młodych wykonawców pożegnać. A my się po prostu zaprzyjaźniliśmy i pokochaliśmy. Ale to jest właśnie specyfika występów z obsadą dziecięcą, szczególnie wtedy, kiedy warunki licencyjne bardzo ściśle określają wiek, wzrost...

Czyli ich dojrzewanie jest tu przeszkodą?

Tak, bo jeśli wejdą w mutację albo urosną zbyt wysoko, to my nie mamy wyjścia, takie są warunki licencji. Jednak wierzę w to, że wielu z tych młodych wykonawców zobaczymy w przyszłości na scenie.

Najpierw przerażona, a potem szczęśliwa.

Takie jest to ryzyko... Już przy *Kotach* miałam coś takiego. Niedługo przed premierą mam wrażenie, że rzuciłam się głową w dół i nie wiem, czy na dole jest woda. Bo to są naprawdę bardzo poważne wyzwania... Tu było podobnie. Trzecia generalna i zobaczyłam tę wymianę energii, to, jak energia płynie ze sceny, ale i z widzów. Popłynęliśmy! I to jest to! Bo i ten

spektakl jest o tym. On jest o relacji dorosłych z dziećmi i dziećmi z dorosłymi. O tym, że powinniśmy się nawzajem słuchać. To jest najważniejsze. A *rock and roll* jest tylko pretekstem.

O to właśnie chciałem zapytać: o to, czy musicale są opowieścią o czymś? Czy taką niezobowiązującą rozrywką, bez wyraźnego przekazu? Czy ten repertuar, który pani buduje, jest także zaproszeniem widza do rozmowy i do tej rozrywki, o której pani mówiła na początku?

Mówi się, że musical zastąpił w pewnym stopniu operetkę. Że jest niższą formą sztuki. Ja tak nie uważam. Oczywiście, że musicale są różne, zarówno tekstowo, jak i muzycznie. Bardziej lub mniej udane – celowo nie będę podawała żadnych tytułów – i niektóre służą wyłącznie rozbawieniu widza. Natomiast to, co chcemy i robimy w Chorzowie, a co przecież zaczął dyrektor Dariusz Miłkowski, to wybieranie tytułów, które niosą coś więcej, takich jak *Jesus Christ Superstar*, *Skrzypek na dachu*, czy *Cabaret*. Ta realizacja *Cabaretu*, którą mamy teraz w repertuarze, jest drugą premierą tego tytułu w naszym teatrze, zupełnie inną... A przecież trudno powiedzieć, że *Cabaret* to jest czysta rozrywka.

Jakiś dyrektor teatru miał powiedzieć Dariuszowi Miłkowskiemu, po obejrzeniu *Cabaretu*, że zaczyna robić teatr publicystyczny, a on odpowiedział, że publicystyka jest wtedy, kiedy rozmawiamy z widzami na tematy, które stają się aktualne. Tak, dla mnie teatr jest właśnie po to, żeby rozmawiać z widzami. Musimy to robić, obie strony, dlatego mówię o tej wymianie energii pomiędzy sceną a widownią. W ogóle trend w tej chwili w musicalu jest taki, na świecie, że musicale zaczynają od paru lat mocno dotykać bardzo poważnych tematów. W ogóle zmienia się musical. Z widowiska, z wodewilu, właśnie z ogromnej operetki, takiej jak *My Fair Lady*, zaczyna się przekształcać w muzyczną opowieść, często intymną, kameralną, opartą na bardzo nowoczesnych formach muzycznych. Taki jest na przykład *Six*, świetny musical o sześciu żonach Henryka VIII, grany zresztą w warszawskiej Syrenie. Ale na przykład *Next to normal* opowiada o chorobie afektywnej dwubiegunowej i o schizofrenii. A zrobiony jest tak, że naprawdę wciśka w fotel. Albo *Rehab*, który się pojawił całkiem niedawno [poświęcony Amy Winehouse – KW]. Więc musical to nie tylko czysta rozrywka, a ważna forma teatru.

Pomyślałem sobie o tym, kiedy oglądałem tutaj *Tootsie*. Kiedy patrzyłem na tę historię na scenie, to niemal zapominałem o filmie, a zacząłem sobie osadzać te dialogi w kontekście dyskusji na temat roli płci kulturowej.

Julie wypowiada taką piękną kwestię: „Przejdź tysiąc kroków na tych obcasach, dowiedz się, jak to jest, a nie udawaj, że

jesteś kobietą”. Musical *Tootsie* powstał zresztą wiele lat po filmie, jest dość świeży i rzeczywiście dotyka tego tematu. Kiedy Michael rozmawia ze swoim przyjacielem, to mu mówi: „Słuchaj, one walczą o swoje prawa, a ty robisz to w ten sposób, że to jest po prostu absolutnie niewybaczalne”. Ale to wszystko musical podaje w takiej formie, która jest atrakcyjna, porusza również wykonaniem, muzyką. Może czasem jest nieco lżejsza, natomiast ja bardzo bym chciała, żeby przekaz wybrzmiewał.

Nawet w takim spektaklu jak, bo ja wiem, *Koty*?

Mogłoby się wydawać, że *Koty* są wyłącznie brawurowym popisem wykonawczym. Oczywiście, że są. Też. Trzeba mieć rzeczywiście zespół na absolutnie najwyższym światowym poziomie, żeby móc zrobić *Koty*. Nie da się tego zrobić inaczej. Są zero-jedynkowe. Albo są świetne, albo nie wyjdą. I to widać po filmie, który zrobiono w Hollywood. On nie wyszedł, a mieli wszystko. Natomiast i w *Kotach* przesłania jest bardzo dużo. Bo przecież opowiadamy o przyjaźni, o starości, o szacunku do starości, o hierarchii, o relacjach.

Oczywiście, Teatr Rozrywki to nie tylko musicale, ale także formy bardziej dramatyczne. Wspomnijmy chociażby przedstawienia, w których pani gra – farsę *Hotel Westminster*, czy komedię *Harold i Maude*. Albo poważny monodram *Mariacka 5*. Tu wybrzmiewają różne inne tonacje. Takim tytułem, z którego ja byłam bardzo dumna, choć to jeszcze za dyrektora Miłkowskiego odbyła się premiera, to *Stańczyk*. Musical [w reżyserii Eweliny Marciniak – KW]. Wydawałoby się, że to tylko kawałek historii, a to publicystyka naprawdę z najwyższej półki. Znakomicie narysowany obraz nas, Polaków. Bardzo żałuję, że nie możemy tego grać, z uwagi na obsadę, w której mamy gościnnie dwa-

dzieścia osób z całej Polski i nie jesteśmy już w stanie zebrać jej w jednym miejscu. Bardzo tego żałuję, bo to naprawdę wybitne przedstawienie,

Jeśli mówimy o wykonawcach, bo nie jesteśmy w stanie w czasie tej rozmowy wspomnieć o wszystkich, to tytułem przykładu, wielkiego przykładu, chciałbym zapytać o Panią Marię Meyer, która jest legendą tego teatru i występuje we wspomnianym *Harold i Maude* czy w spektaklu *Dwanaście godzin z życia kobiety*.

Maria jest bez wątpienia jedną z największych osobowości tej sceny i największych osobowości musicalu w Polsce. Maria to jest ten teatr, ona go tworzyła. Ja, kiedy przyszłam tutaj do pracy, patrzyłam na Marię już wtedy jak na legendę. To wspinała Artystka. W spektaklu *Dwanaście godzin z życia kobiety* po raz kolejny stworzyła – mimo że to niewielki, intymny spektakl muzyczny – wielką rolę. Maria ma tę umiejętność, z którą się trzeba urodzić, tego się nie da nauczyć, umiejętność skupiania uwagi widzów na sobie. Ma też jednocześnie: ogromny dystans do siebie i nie boi się niczego na scenie. To jest naprawdę cecha u aktorki, wcale nie tak często spotykana, a ona ją ma. Ja jestem bardzo dumna i szczęśliwa, że nie wyjechała sobie nigdzie do jakiejś Warszawy, że ciągle jest z nami.

Powiedzmy przy okazji *Dwunastu godzin*, że mała scena, na której to przedstawienie jest grane, to chyba przestrzeń bardziej przystosowana do takiej intymniejszej rozmowy z widzami?

Tam się staramy pokazywać naszym widzom nieduże formy, bo mała scena pozwala na taką bliskość pomiędzy wykonawcą a widzami. Uruchomiliśmy niedawno nowy cykl *Spotkanie przy fortepianie*, w ramach którego, raz w miesiącu Ma-



fol. Artur Wacławek

„12 Godzin z życia kobiety”, Maria Meyer

rianna Dufek rozmawia z osobami związanymi z naszym teatrem, niekoniecznie z pracownikami, artystami naszego teatru. Czasem są to po prostu osoby w pewien sposób związane z Teatrem Rozrywki. I są to takie rozmowy, w których Mariannie udaje się rzeczywiście dotknąć bardzo prywatnych czasem tematów, pytań o to, co ukształtowało gościa, co go dotyka, co go wzrusza, co go denerwuje. Niesamowicie ciekawe są te rozmowy, więc zapraszam wszystkich na spotkanie raz w miesiącu, w poniedziałek.

Zapewne raz w miesiącu się uda. Choć w poniedziałki można zobaczyć coś ciekawego w Teatrze Telewizji. Niedawno przeprowadzono relację na żywo z krakowskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego i pokazano 1989.

Nie widziałam tej telewizyjnej wersji, ale tę graną na żywo w teatrze.

W każdym razie zacząłem się zastanawiać, czy i Panią interesowałaby taka forma. Czy chciałby pani mieć takiego swojego *Hamiltona*?

Zdecydowanie takim spektaklem był *Stańczyk*. To było lustro postawione Polakom. I dlatego tak mi żal tego przedstawienia, tego, że nie możemy go grać. Dochodziło do sytuacji, że niektórzy widzowie wychodzili oburzeni z widowni w trakcie spektaklu. Mówili, że my sobie nie życzymy takiego przedstawiania Polaków. I tym bardziej wtedy wiedzieliśmy, że postawiliśmy lustro. Bo to wszystko, co można było odnieść do współczesności, jest wciąż aktualne. To był taki spektakl... Natomiast 1989 zobaczyłam jesienią zeszłego roku, tuż przed wyborami. Pojechałam do Krakowa, żeby zobaczyć to przedstawienie. Przez pierwsze dziesięć minut byłam nieco w szoku. To znaczy musiałam się przyzwyczaić do tej konwencji, do tego rapowego rymowania. Po dziesięciu minutach przepadłam, absolutnie przepadłam w tym spektaklu. On jest bardzo podobny do *Stańczyka*. To

jest na pewno zadanie dla teatru. To jest ważny kierunek.

Myśli Pani, że dałoby się tak opowiedzieć historię Królewskiej Huty, Śląska?

Wie Pan, na pewno tak, bo to jest historia mocno niejednoznaczna, wciąż żywa, poruszająca. I każdy ma na nią inne spojrzenie. Widzimy to za każdym razem, kiedy się zbliżamy do rocznicy powstań śląskich. A ja czekam na taki musical, który by tego dotknął, zmierzył się z tematem, wszedł w dyskurs. Tak się składa, że materiał, w pewien sposób nawiązujący do tamtych czasów, leży na moim biurku.

O! Musical o powstaniach?

Mam znakomity materiał napisany przez Jacka Cygana, opowieść o Janie Kiepurze. Naprawdę świetny musical, muzykę do niego pisze Piotr Rubik. I chcemy to tu wspólnie zrobić, ale szukamy pieniędzy, bo to będzie bardzo kosztowne przedsięwzięcie. Zapowiada się ogromne widowisko. I w nim, z perspektywy chłopca z Sosnowca, pokazany jest czas powstań śląskich.

No tak, przecież Kiepura był powstańcem!

To jest spektakl o słynnym śpiewaku, ale i o powstaniach, o trójkącie trzech cesarzy... Przedsięwzięcie, do którego Jacek się bardzo długo przygotowywał. Natomiast jeszcze nie wiem, kiedy mogłoby dojść do realizacji. Na pewno nie w ciągu najbliższych dwóch lat. Musimy się do tego bardzo mocno przygotować.

Ale to świetny pomysł. No tak, historię naszego regionu można opowiedzieć poprzez losy Kiepury!

Można, choć to nie proste. To naprawdę ogromne przedsięwzięcie. Ale ta opowieść zabrzmi dobrze właśnie z takiej perspektywy, bo wchodzenie w dialog śląsko-polsko-niemiecki, czy nawet czeski, jest bardzo trudne. A jeżeli przyjmiemy właśnie taki punkt widzenia – bo Kiepura jest z Zagłębia, podobnie zresztą jak Jacek Cygan

i ja, chociaż mam korzenie i śląskie, i nie tylko – to może uda nam się uniknąć jakiejś klótni. W dodatku sięgamy po formę muzyczną. A przecież powstał już taki spektakl w Operze Śląskiej.

Ma Pani na myśli *Sól ziemi czarnej* na kanwie filmu Kazimierza Kutza? Bardzo mi się to przedstawienie podobało, choć na początku miałem mieszane uczucia – jak można tańcem opowiedzieć powstania. A w dodatku część ról grają obcokrajowcy...

Byłam pod takim wrażeniem tego przedstawienia, że zaprosiłam reżysera tamtego przedstawienia, Artura Żymelkę, do współpracy i w tej chwili jesteśmy przed premierą spektaklu tanecznego *Curie – trzy kolory*. Zapraszam do teatru już od 13 września. Będzie to opowieść o miłości, o tęsknocie za krajem, o pragnieniu uczenia się i o szukaniu takiej możliwości, o emigracji, o poświęceniu – a tak jest ułożone to przedstawienie, bo to nie jest czysta biografia. Opowieść o kobiecie, herstory, której prawie nie znamy. To niezwykle porusza. Zaglądam na próby na salę baletową, oglądam to na razie jeszcze przecież bez dekoracji, bez kostiumu, a już jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co Artur robi. W ogóle bardzo się cieszę, że tak się zadziało. W *School of Rock* nie ma baletu. Po prostu z założenia w tym przedstawieniu nie ma baletu, nie ma tanecznego. A więc to był jedyny i znakomity moment, kiedy mogliśmy zrobić po wielu, wielu latach spektakl baletowy w naszym teatrze. Ja się bardzo cieszę, że nasz zespół baletowy w końcu będzie miał swój spektakl, będzie na pierwszym planie. Tak właśnie powstała koncepcja *Curie*.

A to jest opowieść bardziej o Curie, czy bardziej o Skłodowskiej?

Francuzi w ogóle nie używają nazwiska Skłodowska. To Marie Curie. My uważamy, że jest Polką. A ona była strasznie rozdarta, to niezwykła postać. Byłam zdumiona, że w Polsce nie powstał żaden spektakl o Marii Curie, że właściwie nie mówi się o niej jako o kobiecie, jako o osobie. Mówi się o niej tylko w kontekście bycia fizyczką, chemiką.

Mamy jeszcze opowieści filmowe o Curie.

Nie było takiej, poprzez którą naprawdę dotknęlibyśmy tego, jaki to był człowiek. Jest musical o Curie, ale on powstał w Korei.

Przepraszam – gdzie?

Tak. W Korei Południowej. Widziałam ten koreański musical. Ale to przecież my powinniśmy o niej opowiedzieć.

Czyli główną premierą sezonu 2024/2025 będzie *Curie*?

Tak. Przygotowujemy jeszcze farsę na wiosnę. Ale będzie też musical na jesieni, specjalnie dla nas napisany. Bardzo jestem



tego ciekawa, świetna muzyka Krzysztofa Maciejowskiego nowocześnie zagrana i z nowoczesnymi technologiami. A do tkniemy tematyki wampirów.

To nierzadkie tutaj klimaty.

Nie będzie odniesień do Śląska, ale akcja opowieści rozgrywa się tu, a dotyczy, między innymi, miłości. Tak dawno nie mieliśmy tutaj czegoś tak romantycznego, choć w każdym musicalu gdzieś trochę tego jest... I jesteśmy również już w fazie produkcji musicalu *Beetlejuice* z Teatrem Syrena w Warszawie. To będzie polska prapremiera. Mamy te plany dość mocno zarysowane.

Czy jeszcze ma pani jakieś teatralne marzenia?

Oczywiście, że je mam, że myślę o tym, co bym chciała zrobić. Ale potem idę do zobaczenia, przemyślę to i mówię: „A jednak nie”... Zupełnie niedawno odwiedzałam przyjaciół w Nowym Jorku, to był wyjazd zupełnie prywatny, ale oczywiście przejechałam się po Broadwayu, po 42 ulicy, zobaczyłam, co grają, co pojawiło się nowego. Więc rzeczywiście ten trend jest taki, jak mówiliśmy, taki...

...taki musical zaangażowany, można tak powiedzieć?

Musical zaangażowany, dotyczący poważnych problemów. Choć pojawił się na przykład *Powrót do przyszłości*, który jest tam w tej chwili hitem.

Musical na bazie filmu Roberta Zemeckisa?

Całkowicie oparty na tym scenariuszu. Widziałam zdjęcia z tego musicalu i mogę chyba powiedzieć, że to właściwie jest kopia. Ale pojawiają się takie musicale jak *Hell's Kitchen* Alici Keys. Myślę, że i takich rzeczy musimy poszukać, ale pytanie, czy nasi widzowie w Polsce są już gotowi na to, bo my przyzwyczailiśmy naszych widzów i ja chcę im to też dawać, bo tego jest coraz mniej, ogromne widowiska z ogromną scenografią, z orkiestrą, z baletem...

Dostajemy coś takiego przecież.

Tak, ale musical światowy idzie akurat w odwrotną stronę. Cztery osoby na scenie, pięcioosobowa orkiestra, tak wygląda *Next to normal*, tak wygląda *Six*, tak wygląda musical *Friends* i tak dalej. To idzie w tę stronę.

Musical kameralny, tak?

Musical jakby zaczął skręcać w stronę form kameralnej.

Chciałaby pani skrócić w tę samą stronę?

Nie, właśnie nie chciałabym. Dlatego ciągle szukam jednak tych dużych jeszcze form, które dałoby się w ten sposób naszym widzom pokazać, ale w którymś momencie musical będzie skręcał w tę stronę. Wydaje mi się, że ten trend przyszedł po



School of Rock

pandemii. Odnoszę wrażenie, że dzieje się tak przede wszystkim z przyczyn finansowych. Czym innym jest trzydzieści osób w orkiestrze, a czym innym pięć; czym innym czterdzieści czy pięćdziesiąt osób na scenie, a czym innym dziesięć osób na scenie. Na razie chcę sięgać po duże musicale, chcę, żeby to tak wyglądało jak do tej pory.

Są jeszcze jakieś ośmiotysięczniki do zdobycia?

No oczywiście! Są *Nędznicy*, *Upiór w operze*, *Miss Saigon*. No jest tego bardzo dużo. Moim wielkim marzeniem byłoby wystawienie *Króla Lwa*. Ale to jest praktycznie w Polsce niemożliwe.

Dlaczego?

Dlatego, że warunki licencyjne *Króla Lwa* mówią o tym, że cała obsada, poza jedną osobą, musi być ciemnoskóra... Ale jest tych ośmiotysięczników jeszcze trochę.

Jest wiele gór do zdobycia.

Jest ich wiele, a w dodatku one ciągle powstają. Takim ośmiotysięcznikiem jest *Hamilton*, czy *The Book of Mormon*. Tylko pytanie, czy *Hamilton* jest musicaliem, który zainteresowałby polskiego widza.

Skoro 1989 jest polskim *Hamiltonem*, który przecież odnosi sukces...

I to jest dla mnie niesamowite, bo przecież 1989 powstał w teatrze stricte dramatycznym. Zresztą pięknie to Krzysztof Gluchowski powiedział, kiedy odbierał nagrodę w Poznaniu. W czasie tej gali wyszedł po nagrodę i powiedział, że „My nie umiemy robić musicali”. No bo przecież Teatr Słowackiego nie jest teatrem muzycznym...

A czym jest robienie musicali?

Kiedy się pojedzie na Broadway czy na West End, to się zobaczy, jaki to jest biznes. Jaka to jest maszynaria, która od lat po prostu działa w ten sposób. To rzeczy-

wiście wyspecjalizowany biznes do robienia musicali. W Polsce są teatry muzyczne, musicalowe, które oczywiście też są wyspecjalizowane wyłącznie w robieniu musicali. A ja uważam, że Teatr Rozrywki takim teatrem nie jest.

Rozrywka taka nie jest?

Nie. My nie jesteśmy wyłącznie przemysłem musicalowym. Dlatego bardzo chcę inwestować w małą scenę. Stąd chcę, żeby się pojawiały inne formy na dużej scenie. Właśnie dlatego, że nie chciałabym być wyłącznie częścią przemysłu musicalowego. On jest taki trochę, mam wrażenie, odhumanizowany. Przynajmniej w Stanach czy w Londynie. To jest maszyna. Ośmiu spektakli w tygodniu. Od wtorku do niedzieli, przy czym w sobotę i niedzielę gra się dwa razy. I jeden tytuł jest ograany przez dziesięć, czy piętnaście lat. A *Koty* w Hamburgu to już jest, nie wiem ile, trzydzieści lat?

To już prawie jak produkcja taśmowa.

Kiedyś rozmawiałam o tym z dyrektorem Miłkowskim, który mi powiedział, że być może przyjdzie ten moment, kiedy będziemy tak grać jak tam, czyli jeden tytuł, bo tak gra Roma na przykład. Jak oni robią premierę, to grają jeden tytuł przez, powiedzmy, dwa lata. Ale oni są w Warszawie, gdzie teatrów, nawet muzycznych, jest zdecydowanie więcej. Tutaj to jest niewykonalne. W zasadzie ja tego wcale nie chcę, bo to nie jest ani rozwojowe dla zespołu, ani atrakcyjne dla mieszkańców. A może stanowić wyłącznie atrakcję turystyczną – wtedy widzowie przyjeżdżają tu na ten konkretny spektakl. Zdecydowanie nie chciałabym, żeby Teatr Rozrywki w ten sposób funkcjonował.

Niech zatem Teatr Rozrywki pozostanie różnorodny – i dla siebie, i dla nas.

Rozmowa odbyła się w Teatrze Rozrywki w Chorzowie 20 czerwca 2024 roku.

Laudacja dla ks. prof. dr. hab. Jerzego Szymika z okazji nadania mu godności doktora Honoris Causa przez Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie

prof. dr hab. JAROSŁAW KUPCZAK OP

Dostojny Laureacie, Magnificencjo Księżu Rektorze wraz z prześwietnym Senatem, Szanowna wspólnota uniwersytecka, Dostojni Goście!

Łacińskie słowo *laudatio* tłumaczymy jako „pochwała”. W tym znaczeniu moje zadanie jest proste. Chodzi o wskazanie licznych dokonań ks. prof. dr. hab. Jerzego Szymika na polu działalności naukowej i publicystycznej, akademickiej, teologicznej i literackiej, wymienienie jego licznych publikacji, tytułów, nagród i wyróżnień.

Jeżeli myślimy jednak o dokonaniach dzisiejszego Laureata, to takie ich wyliczenie może nie wystarczyć. Znajdziemy je zresztą w recenzjach zamieszczonych w publikacji przygotowanej na dzisiejszą uroczystość. Obecność Księdza Profesora wśród nas, jak zawsze, prowokuje do nie-odtwórczego, ale świeżego myślenia nad jego dorobkiem, ważkimi pytaniami, które stawia, rozwiązaniami, które proponuje. Gdybym nie zdobył się na takie „poszukiwanie słów”, używając jego własnego określenia, czułbym się nieswojo, nierzetelnie.

Mistrz i uczeń

Ksiądz Profesor uczył się od najlepszych. Jego pierwszym Mistrzem był promotor pracy doktorskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim poświęconej relacji między teologią i literaturą – ks. bp prof. Alfons Nossol, jeden z pierwszych polskich teologów, którzy po Soborze Watykańskim II podjęli refleksję nad chrystocentrycznym zwrotem soboru, a także nad jego chrystocentryczną antropologią, czy też chrystologicznym antropocentryzmem.

Wiele można powiedzieć o relacji Nossol-Szymik, moja ulubiona anegdota opowiada o tym, jak Mistrz tłumaczył

uczniowi, a potem współpracownikowi różnicę pomiędzy pracą habilitacyjną i doktorską: habilitacyjną można poznać po tym (zachowuję gwarę oryginału), że „jak się nią cylnie, to idzie zabić”¹.

Drugi mistrz to Czesław Miłosz, polski laureat nagrody Nobla, ważny rozmówca Profesora Szymika na temat Boga, świata i człowieka. Od niego chyba pochodzi to przekonanie tłumaczące wielość form literackich, w których wypowiada się nasz Laureat:

Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,
Która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą
I pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo,
Autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu².

Nie narażać czytelnika ani słuchacza na „męki wyższego rzędu” – także dzisiaj biorę to sobie do serca. No i trzeci wielki Mistrz: Joseph Ratzinger/Benedykt XVI, któremu poświęconych zostało kilka ważnych książek Laureata z ostatniej dekady. Nie da się dzisiaj czytać niemieckiego teologa w języku polskim, nie czytając równocześnie tekstów Profesora Szymika.

Dlaczego rozpocząłem od tego punktu: mistrz-uczeń? Dlatego, że tę tak rzadką dzisiaj relację Ksiądz Profesor Szymik potrafił wprowadzić w swoje stosunki ze studentami na Uniwersytecie Śląskim, i nie tylko. Bez zazdrości patrzyłem nieraz na relacje Laureata z kręgiem jego studentów, z którymi przyjeżdżał na różne konferencje, patrzyłem na podziw i przywiązanie, jakie Mistrzowi okazywali jego uczniowie; patrzyłem bez zazdrości, jak powiedziałem, ponieważ wiem, że to owoc wysiłku, pracy i troski o studentów, seminarium magisterskie i doktoranckie, czyli to, czego nierzadko brak innym, zagonionym wykładowcom.

Słowa jako wyraz miłości

W naszym kręgu kulturowym żyjemy w czasach nadmiaru. Wszystkiego jest za dużo: za dużo jedzenia, za dużo miejsc, gdzie można pójść na spacer, wyjechać na wakacje. Za dużo informacji, rzeczy do zrobienia, książek do przeczytania, podcastów do wysłuchania, filmów do zobaczenia.

Szczególnie bolesny jest nadmiar słów. Za dużo słów, które niczego nie komunikują, niczego nie nazywają, niczego nie pomagają zrozumieć. Wprost przeciwnie – utrudniają spotkanie, utrudniają nazywanie, wikłają nas w sztuczność, także w Kościele. Paplanina, hałas, gadulstwo, które uniemożliwiają nam wykonanie najbardziej podstawowego re-



ligijnego ludzkiego aktu: kontaktu z tym, co naprawdę jest, co naprawdę istnieje.

Jak zapewne dzisiaj każdy badacz w dziedzinie humanistycznej, sam zmagam się z nadmiarem słów, płacząc się w labiryncie możliwych języków i narracji. Dlatego też podziwiam szacunek dla słowa u Profesora Szymika, ascezę słowa, prostotę i precyzję w doborze słów.

Poeeci, a szerzej: ludzie kultury, mają szczególnie dziś ważne zadanie do wypełnienia wobec Kościoła. Ich zadaniem jest poszukiwanie słów, które nazywają rzeczywistość Boga i człowieka, prawdziwych słów. Uświadamiają nam, że często Kościół mówi fałszywym i sztucznym językiem. Dzieje się to zwłaszcza w dwóch przypadkach. Po pierwsze wtedy, gdy nie kocha, gdy nie jest szczerze zainteresowany ludźmi, którzy przecież tworzą telos Kościoła; dla których ma on być znakiem, sakramentem zbawienia.

W moim głębokim przekonaniu twórczość Laureata rodzi się z zainteresowania ludźmi, które jest kształtem miłości. Czują miłość do ludzi, tzw. zwyczajnych miejsc i zwyczajnych spraw, to jeden z głównych wątków poezji Księdza Profesora. Zwyczajność odsłania w niej swoją sakramentalną i inkarnacyjną strukturę, wskazuje na nadzwyczajność.

W wierszu *Przez szybę starbusia* z 2014 roku czytamy:

Oto blondyn jak z Nirvany (Kurt Cobain)
podnosi dziewczynę jak z Nirvany (Courtney Love),
a ta podnosi przekłutą brew. Zachwycona.
[...] Mrugam porozumiewawczo,
udając, że wiem tyle co oni
albo nawet mniej:
niczego im nie zdradzam.
Wszystko w swoim czasie,
kochani. Idzie grudzień, cichnie wiatr.
Ale jestem z nimi znacznie bardziej,
niż wynikałoby z tego, co napisałem.
Chcę dla nich tylko dobra
i nic nie jest w tym wierszu prawdziwsze³.

„Chcę dla nich tylko dobra i nic nie jest w tym wierszu prawdziwsze”. To ważne słowa, może nawet motto pracy twórczej: poetyckiej i literackiej, kapłańskiej i teologicznej Laureata, a może nawet auto-definicja Kościoła, która wskazuje na drugi fałsz eklezjalnego i teologicznego języka. Kościół mówi fałszywym językiem, kiedy kokietując świat, zapomina o Chrystusie, stara się być taki „fajny”, nowoczesny, dzisiejszy, „do przodu”. Mówi o tym kolejny wiersz Księdza Profesora *Prawie jak Liga Mistrzów* z 2017 roku:

Kiedy podczas pewnej naukowej sesji
powiedziałem o katolickim Kościele coś
niepoprawnego politycznie (zbyt dobrego),
mój kolega nie wytrzymał i dostało mi się
za wszetecznictwo. Przyda mi się ta nauczka:
o Kościele nigdy nie za dobrze, zawsze krytycznie
i z zatroskanym obliczem. Zapamiętam.
Mój kolega długie lata się męczy,
grając w drużynę, która gra przeciw
Barcelonie, a ta, jak wiadomo, stale
prowadzi atak pozycyjny. [...] Mój kolega jest tak zdesperowany,
że jako defensywny pomocnik z ambicjami rozgrywającego,
z bezsilności zaczyna atakować ślizgami własnych
napastników.
Rozwiązaniem byłby transfer do Barcelony⁴.

Transfer – stałe marzenie wielu w kraju nad Wisłą. Transfer realny bądź mentalny, gdziekolwiek, gdzie jest prawdziwe życie: do Paryża, do Berlina, do Rzymu, do Madrytu, do Barcelony.

Ksiądz Profesor Szymik nie planuje transferu, nie tylko z powodu wieku. Jest stąd, z Pszowa i Katowic, ze Śląska,



fol. Grzegorz Firiński

z Polski. W jego przypadku, tak jak w przypadku największych synów polskiej ziemi, nie oznacza to prowincjonalności, kołtuństwa, zamkniętego umysłu. Wprost przeciwnie. Dopiero będąc stąd, z konkretnego miejsca, można być prawdziwie uniwersalnym.

Teolog Słowa

Zawsze myślę o dzisiejszym Laureacie jako o Teologu Słowa; swoją drogą nie wiem, czy dla teologa można (*teo-logos*) znaleźć szlachetniejsze określenie. Chodzi o Słowo, o którym czytamy w prologu Ewangelii św. Jana: „En arche en ho logos, kai ho logos en pros ton theon, kai theos en ho logos” (J 1, 1).

Ze Słowa, które „było u Boga i Bogiem było Słowo” pochodzą ludzkie słowa. W jednej z pierwszych publikacji Księdza Profesora znajdujemy ważny dla jego twórczości cytat z pism wielkiego Hansa Ursa von Balthasara: „Wszystkie rozsypane po świecie słowa Boże zbiera Chrystus w sobie, jakby w olbrzymim ognisku Objawienia”⁵. „Nie tylko «niektóre słowa», ale wszystkie słowa rozsiane we wszechświecie należą do jedyne go, wiecznego, żywego Słowa, które stało się dla nas ciałem”⁶.

Jedna ze starych anegdot opowiada o spotkaniu między św. Tomaszem z Akwinu a papieżem Grzegorzem X w Rzymie. Dominikanin wszedł do papieskiego pokoju, gdy Grzegorz przeglądał sprawozdanie finansowe Stolicy Świętej. Papież, widząc wchodzącego, zażartował: „Widzisz Tomaszu, nie mogę powiedzieć, jak apostoł Piotr, nie mam srebra ni złota”. Na co zaprzyjaźniony z papieżem dominikanin odpowiedział: „Byłoby znacznie gorzej, gdyby Jego Świątobliwość nie mógł powiedzieć drugiej części tego zdania”. Jak pamiętamy, Piotr mówi do chromego człowieka: „co mam, to ci daję: W imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka, chodź” (Dz 3, 6).

Ta stara anegdota zwraca uwagę na ważny problem słów w Kościele, które tracą swoją moc. Słowa bez mocy, słowa niepotrzebne, słowa nieskuteczne i nieprawdziwe, „mowa-trawa”, a czasami słowa raniące i bez mocy uzdrawiania.

Można popatrzeć na pracę dzisiejszego Laureata jako na wysiłek przywracania mocy, dostojności, prawdziwości i piękna ludzkim słowom poprzez odnoszenie ich do „Słowa, które było u Boga”.

Czcigodny Księżę Profesorze, wyrażam nie tylko swoją radość z powodu tego, że od dzisiaj jesteś już częścią środowiska akademickiego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Serdecznie gratuluję!

Przypisy

³ J. Szymik, *Akropol z hołdy, czyli teologia Śląska*, Katowice 2002, s. 61.

² C. Miłosz, *Ars poetica?*, w: C. Miłosz, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2011, s. 588.

³ J. Szymik, *Dobre wino. Wiersze z lat 2014–2017*, Katowice 2017, s. 51.

⁴ Tamże, s. 27.

⁵ H.U. von Balthasar, *Modlitwa i kontemplacja*, tłum. Z. Włodkowska, Kraków 1965, s. 14.

Przepraw się i pomóż nam! Teologia i kultura

ks. JERZY SZYMIK

Czcigodni, Szanowni, Drodzy!

Jestem wdzięczny, najgłębiej. Kraków to miasto mojej formacji i studiów, a Papieski Wydział Teologiczny lat 70. ub. wieku to fakultet gdzie uzyskałem moje pierwsze magisterium. I teraz, pół wieku później, to czerwcowe święto w królewskim mieście, ze św. Janem Pawłem II na sztandarze... Dziękuję, dziękuję. Tytuł dedykuję moim Rodzicom, Salomei i śp. Emilowi. Bogu niech będą dzięki!

1
Najbliższą mi dewizę teologii, opis jej właściwego zadania, zawdzięczam Ryszardowi od św. Wiktora, który w XII-wiecznym Paryżu tak uczył adeptów teologii: *Quaerite faciem eius semper* – „zawsze szukajcie Jego oblicza”¹. To mój niepodważalny priorytet.

Było i jest mi daleko z jednej strony do racjonalistycznego wysuszenia teologii, do typowo gnostyckiej absolutyzacji nauki, do technokracji, zwłaszcza cyfrowej, grantowo-procedurowej itp., zaś z drugiej strony – do fideizmu, do spirytualistycznego odlotu od rozumu i od inkarnacyjnego ciężaru i konkretności tego, co katolickie. Starałem się zawsze o istotną i ścisłą więź uprawianej przeze mnie teologii z kulturą i sztuką – na użytek tego wykładu będę je traktował jako bliskie krewne, czasem zamiennie – pomny przestrogi mojego najważniejszego teologicznego nauczyciela, Benedykta XVI: „Teolog, który nie kocha sztuki, poezji, muzyki, może być niebezpieczny. Taka ślepota i głuchota na piękno nie jest czymś drugorzędnym, bo odbija się ona w sposób nieuchronny w jego teologii”². I pomny na ab-

solutnie fundamentalny dla chrześcijaństwa (f)akt Wcielenia Logosu, który jest sięgającym samej Tajemnicy Boga modelem owocnej więzi i skutecznego wyrażenia Boskiego w ludzkim, niebieskiego w ziemskim, duchowego w cielesnym. I wzorem teo-logicznej in-kulturacji.

Lecz przecież wiemy doskonale, czym jest najaktualniejsza *cancel culture* wobec spraw Boskich, to znaczy czym jest tragizm zaćmienia sprawy Boga we współczesnej kulturze. Nie da się żyć dzisiaj, nie doświadczać tegoż skutków. Choćby cierpienia i atrofii sensu. Rozpadu więzi społecznych. To, co się dzieje ze sprawą Boga – straszliwie boli. Doświadczamy na własnej skórze jak współczesna kultura, zwłaszcza popkultura i zwłaszcza sztuka z antychrześcijańskim wektorem, epatuje prowokacją i turpizmem, de-

foto. Grzegorz Finowski





kadencją i destrukcją, konsumeryzmem i pustką, nihilizmem i rozpaczą. Więc bez złudzeń i naiwności i co to ma znaczyć dla „teologa Kochającego sztukę, poezję i muzykę”? I kto tu jest niebezpieczny, co jest niebezpieczne, za którą z postaw czai się groza? Jaką przyjąć postawę? Czym jest tu dobro? Miłością kultury czy jej odrzuceniem?

2
Postawmy pytanie decydujące.

Dlaczego właściwie wiara chrześcijańska prawie nie dociera obecnie do człowieka szeroko rozumianego Zachodu? Poprzednie generacje dzieci Oświecenia jeszcze się jąkały: może Chrystus tak, a Kościół nie, może wystarczy demitologizacja Biblii albo poszukiwanie bez końca i bez jasnego celu, może agnostycyzm, może ogarek nierozrwalnie spleciony ze świecą. Natomiast dzisiaj zdaje się spełniać na naszych oczach pragnienie Fryderyka Nietzschego: zaczęto atakować chrześcijaństwo frontalnie, totalnie i nareszcie we właściwy sposób, z godną szatana perwersją – oto Ewangelie jako przemocowy program Jezusa, głoszony „mową nienawiści”, w plemiennym języku pogardy i wykluczenia, skutkują powstaniem amoralnej religii i zdeprawowanego wszechstronnie kościoła. Żeby żyć w sposób wolny i moralny trzeba strząsnąć ten wrogi radości

życia niehumanistyczny ciężar³. Tym bardziej, że „nauka” odsłoniła całą miałość intelektualną chrześcijaństwa i nie da się go pogodzić z racjonalnością nowoczesności. Dlatego należy dokonać radykalnej emancypacji człowieka od Boga i ostatecznie usunąć Go z publicznego życia ludzkości⁴. Kościół nie jest zły dlatego, że jakiś jego funkcjonariusz popełnił błąd bądź przestępstwo, ale jest zły, bo jest zły z istoty, od korzenia. Dlatego należy odesłać go do lamusa, ba, do narożnika. Dlatego opiólowywanie go jest aktem wyższej moralności. To konsekwencja głównego pasma kultury Oświecenia.

Następne kroki są tyleż logiczne, co oczywiste: w ewolucyjnie, „naukowo” rozumianym świecie nie może istnieć coś, co jest zawsze złe bądź zawsze dobre, ale normy moralne należy wynegocjować przez pogodzenie interesów, przez głosowanie; człowiek nie powinien być nieracjonalnie poczęty, ale racjonalnie produkowany – eliminacja niedoskonałych egzemplarzy doprowadzi do człowieka doskonałego, cierpienie zniknie, życie – coraz wyższej jakości – będzie pasmem przyjemności. Dla „zmęczonych życiem” – eutanazja. Tuż za rogiem czeka już globalna dyktatura, wyczekiwana przez jednych, zwalczana z anarchiczną wściekłością przez drugich. Wolność niszczenia jawi się tu jako istotna część wolności jako takiej.

System się domyka, ponieważ zideologizowana wolność prowadzi prostą drogą do autodestrukcji i dogmatyzmu, który okazuje się wrogi wolności i w którym wolność pożera samą siebie. W powszechnej świadomości króluje głęboka rozpacz (vide: literatura, film, plastyka – za szczerą uważa się tu jedynie karykaturę życia), która jest maskowana obowiązkowo prezentowanym optymizmem. Ubóstwiane są utopie i ziemskie raje, więc ucieczka w narkotyki jest logicznym odpowiednikiem takich quasi-religii. Okultyzm, magia, gnoza, ezoteryka – chciałoby się mieć jakiś ersatz religii, w której nie byłyby konieczne wysiłki i uciążliwe „zawieszenie” wiary⁵. I samozbawienie, po linii selfizmu.

Eksteologowie apostaci nie zostawiają suchej nitki na micie zmarłych Jezusa, redaktorzy katolickich periodyków uznają ateizm za wiodący temat epoki i piszą książki, w których uzasadniają „dlaczego odchodzimy od religii”. Nietzsche doczekał się późnych wnuków. Nienawiść znów jest piękna.

Jeśli ten skrótowy szkic kłopotów epoki z wiarą chrześcijańską wydaje się zbyt mocny, to proszę wziąć pod uwagę, że w dziedzinie diagnoz nie ma nic gorszego niż wmawianie sobie, że gruźlica jest katarem, niż urzędowy, oficjalny optymizm, który udaje cnotę nadziei i blokuje tym



samym zaordynowanie trafnych recept i właściwego leku.

3

Tymczasem jeśli ludzkość, życie człowieka i jego godność, mają istnieć i trwać, Bóg nie może zniknąć z pola widzenia. I właśnie to jest naszym – chrześcijan katolików, naszej kultury i teologii – fundamentalnym i najpilniejszym zadaniem. Zachować świat w stanie wrażliwości na Boga. Uratować świat i bliźnich dla największej z ludzkich spraw: Sprawy Wiary. Zaś „Bóg może przyjść na powrót do ludzi tylko przez ludzi, którzy zostali dotknięci przez Boga”⁶.

Konieczne jest więc wyrwanie się z cynizmu postoświeceniowej, skrajnie zeszewczonej kultury, która neguje własne fundamenty i źródła. Konieczna jest pełnokrwista kultura i sztuka, w których wiara będzie obecna nie tylko i wyłącznie jako wątpliwość i demaskacja, obrazoburstwo i negacja, czyli *de facto* jako niewiara, ale jako witalny impet. Konieczna jest do tego wywieziona z Prawdy wizja i idea, bo idee, jak wiemy, mają swoje konsekwencje. Konieczny jest renesans kultury prawdziwie pro-ludzkiej, opartej na najgłębiej sięgających fundamentach teologicznych. Jakich?

Pierwszy: teologia stworzenia – niezwykły punkt wyjścia rozumienia życia i kultury.

Drugi: teologia Wcielenia – zasadniczy paradygmat kulturotwórczy.

Trzeci: teologia Paschy – jedyna nadziejorodna odpowiedź na pokusę absurdałności istnienia, dramat przemijania i tragedię śmierci. Po kolei.

Po pierwsze: powrót do teologii stworzenia, ortodoksyjnej, czyli nie sprowadzonej do potrzeb ekoideologii, ale akcentującej sam rdzeń, czyli prawdę o Bogu Stwórcy. Wynika bowiem z teologicznej kreaologii światopogląd, który ma przemożny wpływ na kulturę i sztukę.

Oto Bóg jest tu s–twórcą, człowiek artysta i autor kultury jest twórcą, jedynie i aż. Prawdziwym kreatorem istnienia i jego form jest więc Bóg, a nasza kreacja i kreatywność są z Niego, dokonują się we wnętrzu Jego kreacji i w zależności od Jego kreatywności. I jeśli tak jest, jeśli to Bóg jest tu pierwszym działającym, jeśli to On jest *Arche* kultury, jeśli do Niego należy inicjacja kulturotwórcza i finalnie zbawcza, to ontyczna zależność i artystyczna mitematyczność⁷ są właściwą odpowiedzią na prawdę o stworzeniu, a nie przechodzące w antyboski bluźnierczy bunt próby s–tworzenia świata na nowo, wbrew Stwórcy, w postaci *non serviam*. To właśnie owa *hybris*, antyteza pokory stworzenia, jest dla kultury destrukcyjna, śmiercionośna. Ona prowadzi do detronizacji Stwórcy i do antykultury, do śmierci kultury. Powrót do prawdy

o Stwórcy i stworzeniu jest zarazem powrotem do metafizyki wypieranej przez filozofie ewolucyjne (które należy odróżnić od naukowej hipotezy o ewolucji)⁸, metafizyki, bez której kultura ulega nieuchronnie materialistycznemu spłaszczeniu a sztuka siada okraciem na ołtarzu, uzurpując sobie rolę religii, jej ersatzu i kulminacji.

Po drugie: powrót do teologii Wcielenia, do kultury opartej na paradygmacie Inkarnacji. Czyli do kultury chrystokształtnej. Konieczność jej budowania uważam za serce kwestii. Co to znaczy, jak to rozumieć?

Jezus Chrystus, „przychodząc na świat”, deklaruje: „ofiary ani daru nie chciałeś, aleś Mi utworzył ciało; (...) Wtedy rzekłem: Oto idę (...) abym spełniał wolę Twoją, Boże” (Hbr 10,5–7). To antyteza lucyferycznego *non serviam*.

Dlatego fundamentem takiej kultury/sztuki jest przedłużenie tego *par excellence* Chrystusowego aktu, czyli zgoda na Boga, na Jego wolę, zgoda ludzkiej wolności na Wcielenie Boga – na Boskie pierwszeństwo i plan w sprawie ocalenia człowieka i świata. Oto też maryjny komponent kultury w pigułce, komponent koniecznego *fiat*... Zgoda na Wcielenie Boga jest zgodą na całą resztę: na udział w pełni Wydarzenia Chrystusa, na powtórzenie losu Jezusa. Nasz ludzki los przybiera

w ten sposób kształt Jego losu: we Wcieleniu, Śmierci i Zmartwychwstaniu Jezusa objawia się kim jesteśmy i kim mamy być w naszym człowieczeństwie, śmierci i powstaniu z martwych. Ludzka kultura przybierająca kształt tej zgody (będąca jej artykulacją, alfabetem, tworzywem i skutkiem zarazem) „przyobleka się w Chrystusa” [Ga 3,27], jest chrystostkształtna. Z teologicznej, chrześcijańskiej perspektywy proces ten jest kwestią życia bądź śmierci człowieka i jego kultury; „zbawione”, czyli udane życie jest możliwe tylko w Chrystusowym kształcie. Na chrześcijaństwie więc, a w dziedzinie idei zwłaszcza na jego teologii, spoczywa nieustanny obowiązek „chrystostkształtności” i chrystologicznej anamnezy, by przypominać sobie, współczesnym i cywilizacyjno-kulturowym strukturom naszego świata, że Transcendencja (czyli ocalenie i pełnia) „wchodzi” w naszą historię i przestrzeń drogą Inkarnacji Bożego Syna.

Wynika stąd cały szereg wniosków. Np. to, że kultura oparta na Boskiej Inkarnacji pokonuje „prometejską” i „szyfrową” rozpacz, bo człowiek nie musi „podskakiwać”, „wyrywać się” w górę, sięgając niedosiężnych sensu i zbawienia – zbawienie i sens „spadają z góry na dół” (Karl Barth). Zbawienie jest darem. Dalej: Bóg i człowiek w żadnej dziedzinie nie są rywalami. Nigdy nie jest tak, że jeśli w jakiejś „przestrzeni” jednego z nich przybywa, to drugiego ubywa. Osobowy związek dwóch pełnych natur Chrystusa jest tu modelem i dowodem. Bóg i człowiek są, by tak rzec, wprost proporcjonalni (negatywnie: odrzucając Boga – odrzucamy człowieka; i odwrotnie!). Człowiek „nada się” do tego, by w nim Bóg wyraził swoją Boskość. Bóg i człowiek nie są „nierelacyjnymi” monadami, a historia ich „predylekcji” nie jest jedynie asymptotyczna. W Jezusie Chrystusie tworzą integralną osobę, co jest istotą Dobrej Nowiny dla człowieka i jego kultury: pełna wspólnota Boskiego z ludzkim jest już faktyczna i przez to możliwa dla każdej sfery rzeczywistości. Boskie nie zagarnia ludzkiego.

Konieczne jest zatem budowanie kultury na modelu Wcielenia, paradygmatycznym *par excellence* Wydarzeniu dla istoty ludzkiej kultury⁹.

Po trzecie: powrót do teologii Paschy, do życiodajnej tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. To absolutnie konieczna klamra całości postulowanego paradygmatu, pełnej chrystostkształtności kultury. To ważne: izolować Wcielenia

od Krzyża pod żadnym pozorem nie wolno. Kreowałoby to fałszywy mit i spleśzczoną kulturę, chrześcijaństwo bowiem nie jest „in-karnacjonizmem” rozumianym jako wyłącznie zakorzenienie w doczesny świat. Jest czymś wręcz przeciwnym w świetle Chrystusowej Paschy: obumarcie temu światu¹⁰. Takież i z chrystostkształtną kulturą. Wywiedziona ze stworzenia i wcielenia jest przecież wcielona nieostatecznie, jest chrystostkształtna, gdy prześwituje przez nią Wieczność, nowe niebo i nowa ziemia. Teologia paschalna obecna w chrystostkształtnym paradygmacie kultury umożliwia też wyrażenie tego, co jest ciałem i krwią człowieka i jego epoki, prawdziwy puls współczesności, prawdy egzystencji, jej cierpienie, trwogę i nadzieję. *Gaudium et spes, luctus et angor...* Taka kultura przewyższa Szekspira i Homera: zna równie dobrze zbrodnię i śmierć, jak oni, ale też wie co z tym dalej, zna dalszą drogę, już poza horyzontem tragedii przemijania.

4

Wcielenie, śmierć i zmartwychwstanie – zakorzenienie, oderwanie, przemienienie. Chrystostkształtna kultura nie istnieje bez tego potrójnego rytmu. Logos Stwórca i Logos Wcielony prowadzą do Logosu Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego¹¹. Oto paradygmat dla renesansu ludzkiej kultury. Odrodzenie kultury musi stać się wcieleniem ducha i duchowym natchnieniem dla ciała¹². Jak? W Chrystusowym paradygmacie, w chrystologicznym ruchu, w procesie, który anglosaska teologia zwała *back to Christ. Instaurare omnia in Christo*¹³ – *anakefalaios* w greckim oryginale, czyli „ugłowanie” wszystkiego w Chrystusie, zjednoczenie w Nim na nowo wszystkich elementów życia i kultury (Ef 1,10).

Jeśli ludzkość ma przetrwać, wyjść z ponowoczesnego *krisis*, musi oczyścić studnie, z których czerpie wodę dla swej kultury. Musi raz jeszcze w swoich dziejach zmierzyć się z wyzwaniami i przesłaniem chrześcijaństwa, stawić mu czoła¹⁴. Musi wrócić do Chrystusowego paradygmatu, do samego Chrystusa. I to nie „jakiegokolwiek Chrystusa”, jakkolwiek wierzonego i rozumianego, ale do Chrystusa prawdziwego, czyli kościelnego. Trzeba nam to mówić i służyć tej największej ze spraw jasno, choćby cały świat oskarżał nas o fundamentalizm i wszystkie grzechy ciemnogrodu. Jesteśmy to winni naszemu światu. Bo „nie ma w żadnym innym zbawienia, gdyż nie dano nam ludziom pod niebem żadnego

innego imienia, w którym moglibyśmy być zbawieni” (Dz 4,12).

Rektor UPJPII pisał w liście na drugie święto Bożego Narodzenia 2023 roku: „Chcemy wznieść nowoczesną uczelnię, ale nade wszystko kształtować moralny kręgosłup naszych studentów, a także dawać świadectwo chrześcijańskiej wiary”. Niech to dzisiejsze wydarzenie okaże się małą cegiełką w dziele świadectwa i powrotu. Bo jak pisał „geniusz nawrócenia kultury”, John Senior, „celem uczelni, jak każdego ludzkiego przedsięwzięcia, jest doprowadzenie nas do Tego, od którego się oddaliliśmy”¹⁵.

5

W azjatyckiej Troadzie święty Paweł miał nocne widzenie: „jakiś Macedończyk [czyli Europejczyk] stanął przed nim i błagał go: – Przeprowadź się do Macedonii [czyli do Europy] i pomóż nam!” (Dz 16,9). Właśnie to robimy jako uczniowie Chrystusa: przeprowadzamy się przez ciemne morze epoki, by pomóc Europie i jej kulturze. ■

Pszów, 23 kwietnia 2024 r., wspomnienie św. Jerzego

Przypisy

¹ Ryszard od św. Wiktora, *De trin* III 1 (PL 196, 915n).

² J. Ratzinger, *Zur Lage des Glaubens. Ein Gespräch mit Vittorio Messori*, München–Zürich–Wien 1985, s. 135 (tł. własne).

³ A. Nowak, I. Ziemiński, *Chrześcijaństwo. Amoralna religia*, Warszawa 2023, s. IV okładki.

⁴ J. Ratzinger, *Bóg wiary i Bóg filozofów*, w: *Opera omnia* 3/2, tł. J. Kobienia, Lublin 2021, s. 658–659, 673 [dalej: OO].

⁵ Por. OO 3/2, s. 582, 625, 629, 669, 681–683.

⁶ OO 3/2, s. 673, 676.

⁷ Por. E. Auerbach, *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu*, tł. Z. Żabicki, Warszawa 1968.

⁸ OO 3/2, s. 625.

⁹ Por. J. Szymik, *W światłach Wcielenia. Chrystologia kultury*, Katowice–Ząbki 2004, s. 106–111.

¹⁰ H. Urs von Balthasar, *Teologia Misterium Paschalnego*, tł. E. Piotrowski, Kraków 2001, s. 21.

¹¹ Por. H. de Lubac, *Paradoksy i nowe paradoksy*, tł. M. Rostworowska–Książek, Kraków 1995, s. 31.

¹² Por. J. Senior, *Upadek i odbudowa kultury chrześcijańskiej*, tł. T. Milcarek, B. Biały, Dębogóra 2021, s. 118.

¹³ Por. Senior, s. 47.

¹⁴ Senior, s. 243, 265.

¹⁵ Senior, s. 561, s. IV okładki (P. Milcarek).

Capreolus capreolus. Buteo jamaicensis

unieść słowem piękno tamtego spaceru
w poniedziałkowym rudawym lesie
z pomrukiem autostrad w oddali
z marną pogodą na Palowickim Pojezierzu

wszystko już czekało na pierwszy śnieg

ciemne kratery po stawach
ze strużkami cieków wodnych
ze wspomnieniem srebrnej tafl
odbijającej perkoza i lot do Mediolanu
pomarszczonej lądowaniem ciepłej kaczki

pododdziały wiatru ścierały się co chwila
w rozkołysanych koronach dębów
w trzęsących się listkach osik

pod brzemieniem chmurami niebem
przyszedł czas i na nią

stała nieruchomo jak wypchane trofeum
patrzyła bez drgnienia śledząc każdy ruch
mojej lornetki titanium delta optical

mógłbym tak trwać w nieskończoność
widząc pulsujące miejsca na jej sierści
gotowe do skoku mięśnie
ogromne i czarne jak greckie oliwki oczy

wtedy zrozumiałem
co się tak naprawdę wydarzyło
między Johnem Eldredge'em
a myszołowem rdzawosternym

wprawdzie daleko stąd
bo pod jodłami Colorado
ale też nagle
tak samo głęboko
i zupełnie niespodziewanie

po czymś takim
wszystkie wtorki świata
będą już zawsze inne

Dywany

o festiwalu benefisów ślubów
konferencji szczytów święceń
rozwijane czerwone dywany

ilu was wzięło za solidny lód
dogadany ze światem na tyle
że nie miał prawa pękać

czerwone dywany kruchy lód
bezpieczny jedynie wtedy gdy się
chce lekkości i pokory aniołów

Pierścienie wzrostu

Pokoleniu Z

rozczytać ich tajemnice
laserem opuszki palca
jak najwyższej jakości dysk
ze słabszym latem w 62.

dotknąć narodzin dziadka
wbić paznokieć w sam środek wojny
zakryć kciukiem dekady udręki
gnięść sączącą się żywicę wolności

ścięte stare drzewa
czekające pod Hamerlą
na transport do kominków
ze słojami lat do policzenia

błogosławieni którym się
jeszcze będzie chciało
przytulić pieniek przeszłości
policzyć słoje i zgodzić na drzazgę

między jednym i drugim startupem

Matnia

czyli mimo wszystko
podnosi się wtedy
szlufkę z podłogi

zakręca kurek
odwiesza ręcznik
stawia potrącony flakonik

dopina każdy guzik
opuszkami jeszcze
pełnymi krwi

szczotkuje zęby
poprawia przedziałek
przeciera buty

po nocy
bez ostatniego
snu

Philtrum

po obu stronach granie
głęboka dolina pośrodku

wydechy dmące z północy
wdechy ciągnące z południa

cudowny kształt zapomniany
nad ostrą szminką pod wusem

...

o wzruszający dołku anioła
rynienko dyspenso powagi

wszyscy tak samo cię mamy
gdy się nie uśmiechamy

z ciepłym
śniadaniem
w brzuszku

z należycie
opłaconą
taksówką

pozostając
ludzkim
do końca

byle ich tylko
rozwalić o coś
twardego

Katowice, 11 września 2023,
w 22. rocznicę zamachu



rys. Bogna Skwara

Kolizja

Wieczorem na obszarze całego kraju przewidywane intensywne opady śniegu oraz silny, porywisty wiatr powodujący zawieje i zamiecie. Na Bał- tyku sztorm...	droga sucha dobry biomet mały ruch
ale ja was w ogóle nie znam	jak mogłaś mnie nie widzieć
przecież mieliście swoją pas	... o nieznanym obsypani teraz okruchami szkła
patrzmy jak jeździmy wariatko	powiedźcie coś nie krztućcie się przytulcie mnie
jeszcze z dziećmi w fotelikach	niech nas stąd zabiorą zbudzą chlustem krwi
ja nie mam teraz czasu na szpitalu	zanim ściemnieje jak kredka którą poprawiałam brwi
szef mnie nie chce połamanie	przepraszam naprawdę nie chciałam
	...trwa usuwanie skutków zderzenia dwóch osobowych na 343 km autostrady A2 w stronę Poznania. Ruch w obu kierunkach odbywa się jednym pasem.

Puls

Oh Chong Songowi

wsuwające cię pasożyty
czterdzieści naboju
pięć głębokich ran
wstrząśnięci lekarze
stres pourazowy

gigantyczne kłamstwa
zawsze kończą się
strzałami w plecy tych
którzy uciekają
w stronę prawdy

13 listopada 2017 r., o godz. 15.11, 24-letni Oh Chong Song rozpoczął swoją ucieczkę w stronę linii demarkacyjnej w Panmunjom na granicy z Koreą Południową pod ostrzałem ciężkiej amunicji żołnierzy Kim Dzong Una. Ranny upadł na ziemię już po stronie Korei Południowej teoretycznie martwy, dlatego odpuścili. Pomoc okazał mu amerykański żołnierz, który przetaszczył go po ziemi w bezpieczne miejsce. Przetrasportowany śmigłowcem do szpitala Oh, mimo utraty połowy krwi, przeżył. W trakcie operacji lekarze znaleźli w jego przewodzie pokarmowym pasożyty z gatunku *Ascaris lumbricoides*. Największy z nich miał 27 cm długości. Jak później powiedział w wywiadzie – większość ludzi w Korei Północnej je ma... Wiersz dedykowany Oh Chong Songowi i wszystkim ofiarom jakichkolwiek reżimów.

Niemożliwe

to niemożliwe by kulistość kropli rosy	a wirujące nasionka lip i klonów
nie miała związku z gałką oka	z piruetem na czubie łyżwy
i napiętą skórką jagody	z czarną tutą cudowronką
z gładkimi bilami planet	

Zabawki

elastyczność nosów uszu i policzków	saszetki przypraw z zakazanej szafki	pokręta klucze frędzle przyciski
buszowanie w nie swojej fryzurze	godziny spędzone nad portmonetką	rzadko dostępne klamki i lustra
wnikliwie analizy plusków kąpiel	cicha degustacja sznurowadeł	od lat tak samo
tajemnice chłodu łyżeczki i słoika	nieskończoność rolki papieru	najlepsze zabawki to te
kosmetyczka mamy sprzączka paska taty	miękkie lądowania w kociej sierści	które nie są zabawkami
rzep parasolki duże buty gości	coraz większa dziura w skarpecie	
trofea wytargane z kuchennych szuflad	demolka doniczek z rozszponką	

Świrszczyńska

Z JÓZEFEM BARANEM rozmawia MIROSŁAWA SZOTT

Anna Świrszczyńska

Zostanę babką klozetową

Zostanę na starość
babką klozetową.
Będę pisać wiersze
przychylne cielesności
jak dwa zera.

Nauczę się pokory
wobec ludzkiego pęcherza i jelit,
co są o tyle mądrzejsze
ode mnie.

Może pewnego dnia
do dwóch zer przyjdzie
cynik Diogenes.
Może pogada ze mną
o siostrze pęcherza i jelit –
o duszy.

Mirosława Szott: Może najpierw zastanówmy się nad starszymi kobietami pracującymi w toaletach publicznych, które zwane są babkami lub babkami klozetowymi. Kasują pieniądze, dbają o czystość. Pokazał je Roman Polański w etiudzie *Gdy spadają anioły* z 1959 roku (z inspiracji opowiadaniem Leszka Szymańskiego *Klozet babcia*). Wspominał też: „Nikommu nigdy nie przyszłoby na myśl przyglądać się siedzącej nad żalonym spodkiem z monetami staruszce, o twarzy bez wyrazu, ze wzrokiem wbitym w pustkę. Któż mógłby przypuszczać, że życie tej kobiety pełne było namiętności i dramatów?”. Zauważyłeś kiedyś mężczyzn w tej roli?

Józef Baran: Tak, dziadki klozetowe były rzadsze od babek klozetowych. Poza tym babki klozetowe po odejściu Peerelu wymłodziły, a klozety wyładniały. Nie ma już takich klozetów jak dawniej... brudnych, zafajdanych. To jest jedna ze wspaniałych cech transformacji ustrojowej, o czym może młodzi nie wiedzą.

MS: W Zielonej Górze było takie miejsce, gdzie babkami klozetowymi były właśnie poetki. Mogłeś kupić tomik poezji, wychodząc prosto z ubikacji. I wiesz co? To były zawsze niezwykle spotkania. Mimo że część środowiska oburzała się na taką praktykę. Może to jest cały czas gorszące połączenie? Dla mnie więc poetka i babcia klozetowa mają wiele wspólnego nawet w bardzo powierzchownym rozumieniu. A jaki jest dla Ciebie wspólny mianownik?

JB: Myślę, że w tym wypadku deklaracja poetki miała charakter raczej metaforyczny. Chciała jakby podkreślić, że bliżej jej do ciała niż do opiewanej duszy i kobiety, która według romantyków jest „puchem marnym, wietrzną istotą”. Pani Anna (moja starsza koleżanka z ówczesnego Iwaszkiewiczowskiego ZLP) potrafiła odkryć poezję nie tylko w babciach klozetowych, ale w ogóle w babach. Poświęciła im mały, ważny w jej dorobku tom pt. *Jestem baba*. Był to z jej strony nowatorski gest, buntowniczy. W 1978 roku zrobiłem z nią wywiad do tygodnika „Więści”. Mówiła mi wtedy o ciężkiej doli bab wiejskich i żon robotników. Bardzo chwaliła Konopnicką i jej nurt społecznikowski, wołała ją od pięknoduchowskiej, salonowej Pawlikowskiej-

Jasnorzewskiej. Opowiadała mi, że spotykała proste kobiety i to ładne, które nigdy nie zaznały pocałunku, które nie wierzyły, że istnieje miłość. Pani Anna przyjaźniła się z żebraczkami z krakowskich plantów, buntowała się przeciw wielowiekowemu uzależnieniu od mężczyzn, garów. „Proszę pana, niektórzy górale uważają, że kobiety należy bić i jest to dobry zwyczaj”¹ – dodawała z oburzeniem. „Jak czytałam chłopkom wiersze na spotkaniach autorskich, to one się popłakały i pytały, gdzie można dostać, bo one by je chętnie kupiły, dlatego, że tam w nich pisze, że stara baba też jest człowiekiem. U nas na takie jak my gada się: «Ty głupia babo, ty stara babo, co ty masz do gadania, idź za piec»”². Jej bunt dotyczył także faktu, że kobiety są obciążone biologicznie, bo choć macierzyństwo należy traktować jak wielkie szczęście, to – jak twierdziła – zabiera ono czas kobiecie w ważnym okresie życia.

MS: Chyba nawet dziś trudno jest to otwarcie przyznać kobiecie przed samą sobą. „Dałam mojemu dziecku ciało i krew, / torturę rodzenia / i nie znużoną troskliwość kwoki, / wysuszającą w kobiecie płeć i mózg” pisze w wierszu *Patriarchat*. Muszą się wyłączyć na cztery lata i zgodzić na regres w pewnych sferach życia. To jej pisanie o macierzyństwie to takie siłowanie się ze sobą: „Czy to samą siebie tak wielbię / w owocu swego ciała, / czy oddaję się na ofiarę / ludożerczemu bóstwu instynktu? / Skądże wezmę siłę, by się oprzeć / temu, co tak bardzo słabe” (*Macierzyństwa*). Ale poznaje je też poprzez relację ze swoją matką. I tu pojawia się wiele myśli o cielesności. Świrszczyńska fantazjuje nawet na temat chwil sprzed narodzenia, bo nicość przypomina jej nieśmiertelność (*Nie narodzona*). W tym wierszu, któremu się dziś szczególnie przypatrujemy, ona afirmuje niedostępność części ciała, które kojarzone są z procesami fizjologicznymi – pęcherz i jelita. W innym utworze pisze o wchodzeniu do wnętrza swoich wnętrzności (*Szczyt kondensacji*). To ją po prostu fascynuje i ma to też wymiar metafizyczny (dusza jest w *końcu siostrą pęcherza i jelit*).

JB: Kiedy ją poznałem, miała powierzchowność malutkiej siwej pani. Jednak należała do osób, gwałtownych, emocjonalnych i zbuntowanych, także u schyłku życia – kiedy jako jedna z pierwszych w Krakowie fascynowała się jogą i praktykami joginów – przeciw sobie, własnemu ciału i własnej starości. Napisała wtedy wiersz bliski myśleniu buddyjskiemu, a może nawet mistyczno-chrześcijańskiemu. Można go przeciwstawić także – jak myślę – analizowanemu utworowi o babci klozetowej:

Chcę być czysta,
żeby moje ciało
nie miało cienia.
Żeby jak umarły Egipcjanin
nie miała w środku wnętrzności.
Żeby zamiast wnętrza
miała w środku światło.

No cóż, Poetce i Poecie wolno się zmieniać – są złożeni z kontrastów.

MS: Wiersz *Jak Egipcjanin* daje zupełnie inne spojrzenie. Tutaj ciało jest czymś wydrążonym, czystym, jest opakowaniem na światło. Ale ono jednak już nie żyje. Śmierć chyba odcina nas od zainteresowania wnętrznościami. Wiesz, ja nie do końca rozumiem te dwa zera: „Będę pisać wiersze / przychylne cielesności / jak dwa zera”. Dlaczego one są przychylne cielesności?

Jak to rozumieć? Dla mnie to tajemniczy moment tego wiersza. Ale być może to nie jest tak skomplikowane jak mi się wydaje.

JB: „Dwa zera” to nawiązanie do powiedzenia „jesteś zerem”, czyli nikim. Zerem w dodatku podwojonym.

MS: Mogą być one przychylne cielesności, bo są puste jak wspomniany w wierszu Egipcjanin? Świrszczyńska uznawana jest za pisarkę stojącą najbliżej ciała spośród polskich poetek i poetów. W 2023 roku w Wydawnictwie Marginesy ukazały się (w monumentalnej formie, ponad 900 stron) *Poezje zebrane*. To chyba dobry czas na powrót do Świrszczyńskiej – trochę jakby z niebytu?

JB: Nie wiem, czy to jest powrót z niebytu... Kiedy żyła i tworzyła, też był ceniona, np. przez Miłosza, który był nią bardziej zachwycony niż Wisławą Szymborską i przetłumaczył jej wiersze na angielski, lansował w Ameryce (podobno tom miał wzięcie, jako deklaracja feministyczna wręcz). Bardzo cenili ją Artur Sandauer i poświęcił jej esej. Cenili ją też inni znakomici krytycy, ale i czytelnicy. Kiedy parę lat temu robił z mną wywiad holenderski poeta i dziennikarz Saan der Van, dopytywał się w nieskończoność o Świrszczyńską. Tom *Budowałam barykadę* był rewelacją i rewolucją, bo demitologizował i odheroizował powstanie warszawskie.

MS: Masz rację, ona nie była w niebycie. Ale wydanie wierszy zebranych to duże wydarzenie – przypomnienie, impuls do nowych dyskusji. Była w niej jakaś niezaspokojona potrzeba buntu. I chyba nawet wyprzedzała myśli współczesnych feministek. Taka osobowość musiała sprawiać dyskomfort tym, wśród których się pojawiała.

JB: Nie była specjalnie kochana w Domu Literatów na Krupniczej w Krakowie, bo miała ostry język i mówiła co myślała. W odróżnieniu od swojego męża aktora Jana Adamskiego, który był natury bujnej kresowej – była postna i ostna (od ostu).

MS: Dodajmy, że kiedy wyszła za męża za Adamskiego miała czterdzieści cztery lata, a on dwadzieścia dziewięć. Nie widziała w tym żadnego problemu (były lata 50. XX wieku!).

JB: W końcu się rozeszli i, co ciekawe, jak większość kobiet-poetek po odejściu męża zaczęła pisać znakomite wiersze. Inne przypadki: Kamińska – po śmierci męża Śpiewaka, Szymborska – po odejściu Włodka, a może nawet i owdowiała po Międzyrzeckim Julia Hartwig czy Urszula Kozioł pisząca treny po śmierci Przybyłaka. W ostatnich tomach Kozioł jest nie tylko koncept, sprawność warsztatowa i intelektualna, ale doszło przeżycie, cierpienie.

MS: Masz na to swoją teorię?

JB: Po pierwsze – nieszczęście, trauma, cierpienie w życiu, jeśli nie zabijają – mogą uskrzydlać twórczość. Po drugie – czasami wydaje mi się, że mężowie-poeci jakby zacieniali swoje żony-poetki...

MS: Czyli każda strata to jednocześnie uwolnienie? Przypomniało mi się jak opowiadałaś, że Anna Kamińska mówiła, że czytając wiersze Świrszczyńskiej, czuje jakby niedomyte kobiece ciało. To mocne stwierdzenie poetki (zwłaszcza, że to obrzydzenie dotyczy kobiecego ciała). Miałeś podobnie?

JB: Ja? Nie. Pani Anna Kamińska, z którą darzyliśmy się sympatią, rzeczywiście nie pałała sympatią do wierszy autorki *Jestem baba*. Ale Mickiewicz też nie lubił Słowackiego... To częste zjawisko u „demiurgów słowa”, w dodatku konkurujących ze sobą. Kamińska była bliżej duszy i tematów uniwersalnych, eschatologicznych, pod koniec życia nawet religijnych, bo przeszła na katolicyzm. Świrszczyńska zaś w swoim wierszu o babce klozetowej chciała powiedzieć, że będzie się zajmować tymi tematami tabu w poezji, którymi nie zajmowali się zwykle poeci. Tymi, że tak powiem „brudnymi”, pospolitymi tematami pomijanym przez tradycyjną lirykę pełną uniesień. Tak było w jej tomach *Budowałam barykadę* i *Jestem baba*. Tak było, w innym sensie, gdy pisała o macierzyństwie, buntując się przeciw niemu. Buntowała się też przeciw „godnej starości”, pisząc wiersze o staniu na głowie o praktykach i ćwiczeniach jogi, o tym że biega po plantach, mimo że ma siwe włosy. Stała po stronie tych, o których się nie pisze ani pięknych, ani romantycznych utworów. Ja jednak najbardziej lubię jej miniaturki, bardzo ulotne, impresyjne z tomu *Wiatr, Szczęśliwa jak*

psi ogon czy *Cierpienie i radość*, gdy zaledwie dotykała metaforami czy nagimi słowami nastroju, chwili i... jednak duszy. W ogóle uważam, że o sprawach ducha i filozofii powinno się w poezji pisać poprzez konkret, obraz zmysłowy i jak najbardziej „cielesny”, obrazowy. Inna sprawa, że w poezji trzeba obcinać skrzydła patosowi i wzniosłości, gdy stają się one nieznośne, ale równocześnie nie należy zapominać o tym, że w poezji najwięcej powinno być jednak poezji, tym się różni przecież ona od prozy. Sądzę, że pani Annie to się znakomicie udawało, mimo że operowała słowem i metaforą jak lancetem, wielką precyzją i największą możliwie, a więc sugestywną prostotą... choć niekiedy jej wiersze wydawały mi się szyte zbyt grubymi nićmi... Ale co poeta to inny gust.

MS: Ale co to znaczy, że czasem miałeś wrażenie szycia zbyt grubymi nićmi? Czy ona przez te wszystkie lata nie szukała właśnie takiego sposobu wyrażania?

JB: Grubymi nićmi w tym sensie, że miała jakiś pomysł na cały tom, dziś mówi się „projekt” i ten pomysł, tę tezę, ten projekt wypełniała wierszami. Tak było w najbardziej znanych jej tomach *Budowałam barykadę* i *Jestem baba*. Wszystkie wiersze są temu poświęcone. Nie zawsze musiały one mieć samoistną, oryginalną wartość. Ja wolę wychodzić od pojedynczego wiersza i – gdy uzbiera się ich już dużo – komponować całość. Ona wychodziła od całościowego pomysłu, skądinąd świetnie realizowanego, bo wytrawny poeta wie, kiedy podwyższyć ton, a kiedy obniżyć, kiedy uziemić wzniosłość, a kiedy upoetyczyć przyziemność, kiedy posługiwać się wysokim stylem, a kiedy strzec się go, gdy popada on we frazes, w patos i w banał. M.in. dlatego Świrszczyńska z babki klozetowej uczyniła bohaterkę liryczną wiersza, mimo że robiła tak dlatego, że była empatyczna i wstawiała się w poezji za „maluczkimi” i pomijanymi... A gdy pisała o powstaniu warszawskim, to odcinała lotki patosowi i nie miało to nic wspólnego z wierszami akademickimi i przemówieniami polityków podczas kolejnych rocznic.

MS: Czyli jesteś (jak mawiał klasyk) równocześnie „za i przeciw”?

JB: Nie. Jestem „za”, ale jak pytasz o szczegóły, to wynajduję też w tych poetyckich plusach minusy.

MS: Jakiego tematu Ty byś nigdy nie podjął w poezji?

JB: Czy ja wiem? Chyba nie ma tematów „niepoetyckich”, tylko trzeba na te bardziej „prozaiczne” tematy znaleźć nowy język, formę i błysnąć. Np. Białoszewski potrafił pisać wiersze o wprowadzeniu sztucznej szczęki i jest to zabawne, nie turpistyczne... Bez formy, pomysłu (czyli polotu) nic w literaturze nie istnieje. A co do mnie... nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, bo po napisaniu wiersza nigdy nie mam pojęcia, jaki będzie następny. One przychodzą same, ze środka, niezapalane.

MS: Jak myślisz, po co był jej w tym wierszu „cynik Diogenes” – ekscentryczny filozof mieszkający w beczce i gorszący swoimi zachowaniami ludzi? Tylko że tym razem przychodzi rozmać o duszy. Czy wszystko, co robił miało właśnie ten cel? Być może Świrszczyńska daje nam do zrozumienia, że naruszenie tabu służy nie tylko wywołaniu oburzenia, ale przede wszystkim jakiemuś wstrząsowi?

JB: Po prostu chodziło jej o to, że w czasach, gdy żył Diogenes też uważano go za „zero”, bo z perspektywy materialisty był zerem. A jednak to on pozostał w historii i zapisał się. Prawda? A co do wstrząsów – pani Anna powiedziała mi w trakcie wywiadu, że poeta zadaje pytania naiwne jak np. dziecko, które płacze, widząc karpia na wigilijnym talerzu. „Co ta ryba zrobiła takiego złego?” – pytała. A my dorośli jesteśmy już znieczuleni rutyną i dziwnym się pytaniu dziecka. Poeta – dodawała – jest jak kosmita, który przylatuje z innej planety i widzi wszystko „świeżym okiem”. Ba, nazywa to co widzi... inaczej. A wrażliwość i wyobraźnia czytającego może dzięki temu doznać kuracji wstrząsowej.

MS: Dziękuję za kolejną rozmowę.

Przypisy

1 J. Baran, *Wieczne zdziwienie*, w: tenże, *Autor! Autor! Rozmowy z ludźmi pióra i palety*, Warszawa 1986, s. 50.

2 Tamże, s. 51.

WILHELM SZEWCZYK

Dziennik 1937 (7)

Z rękopisu opracował **MARIAN KISIEL**

Czwartek, 11 lutego.

Wczoraj napisałem, że idea słowiańska warta jest uśmiechu Boga. Twierdzenie to dzisiaj wydaje mi się cośkolwiek za „górne”. Powinienem być raczej powiedzieć, że idea słowiańska jest warta uśmiechu świata. To znaczy, że świat powinien poznać, iż może mu ona dać, może go wzbogacić o nowe wartości. Kulturalne i inne w tym samym stopniu, co humanizm, co religia chrześcijańska, co wynalazek kina czy radia. Każda przecież idea, jeżeli tylko pozostawia się jej samej sobie, jeżeli pozwala jej się skupić w pracy dla samej siebie – jest opoką. Idea słowiańska niesie Słowiaństwu pełne naręcze ciepłych, rodzinnych słów. Coś podobnego jak możliwość osiągnięcia spadku zbiera rozproszoną rodzinę. Idea ta przynosi właśnie dla poważnionej rodziny Słowian możliwość spadku supremacji kulturalnej czy nawet politycznej nad światem po Germanach i Romanach. Dla własnego interesu rodzina powinna się zebrać, na nowo się pokochać i działać.

Tu już wkraczam w świat wizyj Musiałka z[e] Słowian. A przecież to jest na razie, jeżeli nie w ogóle, niemożliwe. Chodzi tylko o porozumienie. W obliczu wspólne-

go wroga, którego dokładnie określa Musiałek (Niemcy i Włochy), a jeszcze dokładniej, bo mądrzej, „Ruch słowiański” – imperializm obcoplemienny na polu gospodarczym, politycznym i kulturalnym. Imperializm niezgodny z psychiką duszy słowiańskiej, duszy, która ma i zawsze powinna mieć swoje własne, plemienne aspiracje.

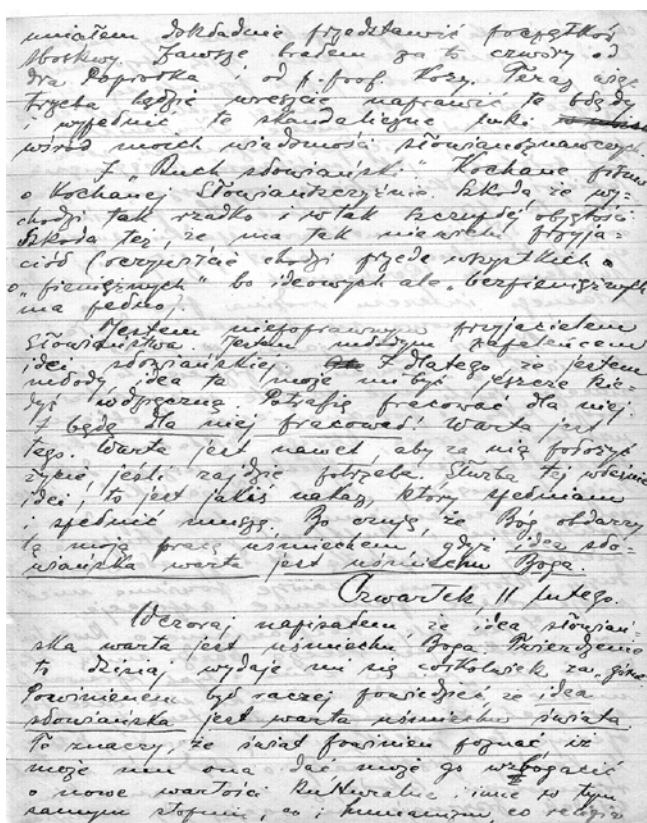
I tak dalej. Rozprawianie o kwestii słowiańskiej jest rzeczą bardzo miłą. Szkoda, że nie mam z kim o tych sprawach mówić. I szkoda, że nikt nie chce się sprzeczać ze mną na te tematy. Bo operuję tak wielką ilością dowodów, które by każdego przekonały o błędności swoich rozumowań. Szkoda, że nie mam z kim... Władek przyznaje mi rację, gdy zaczynam o tych sprawach mówić. Wiem, że czyni to bez przekonania, z grzeczności nawet, no i też dlatego, aby prędzej skończyć tę dysputę, w której mógłby się skompromitować brakiem elementarnych wiadomości z historii Słowian. Przyznaje mi rację prędko i zaraz zaczyna mówić o czym innym. Wypada się właściwie za to obrazić, ale nie można, gdy się stoi przed Władkiem w jego własnym płaszczu. Mógłby mi ostatecznie wyrzucić, że chcę rajcować o jakichś tam Słowianach (tak!), że kupuję jakieś tam książki, a na płaszcz się nie mogę zdobyć; lepiej bym zrobił, gdybym nie marnował czasu na głupstwa, a chwycił się jakiejś uczciwej, porządnej pracy, aby móc kupić sobie letnie ubranie na niedzielę, gdyż to, które posiadam, wkrótce będzie niemożliwe do noszenia. Tak, tak – u Władka jest wszystko możliwe, nawet największe świństwo.

Przypominam sobie, że w czasach gimnazjalnych lubiłem się z mną sprzeczać na te tematy – Pyzik.

– Ukraińcy, jakimi są, pokazują nam strzały do śp. Pierackiego¹, a Czesi objawiają swoją duszę w prześladowaniach Polaków za Olzą. Ostatecznie Jugosławia i Bułgaria, ale to za dalekie zainteresowania i mało konieczne. Bo o Rosji nie ma mowy; to pół-Azjaci.

Tak twierdził Pyzik. Na tym tle wynikała zawsze długa dyskusja, prawie nigdy, ba – do dziś nierozstrzygnięta. On stał na straży ideologii „Straży Przedniej”²: przede wszystkim egoizm narodowy. Ja zaś na straży programu założonego przez siebie w gimnazjum „Koła Przyjaciół Kultury Słowiańskiej”: przede wszystkim przyjaźń i równość między słowiańska, żadnego egoizmu narodowego, który jest prostą pychą, a pycha stwarza wrogów wśród najszczerzych braci. – Dlatego nie mogliśmy się nigdy zrozumieć.

W szóstej klasie będąc, należałem do komitetu redakcyjnego „Zewu Młodzieży”³. Zastępowałem w nim Pyzika – naczelnego redaktora. Było to zebranie przed wydaniem numeru „Zewu”, poświęconego spółdzielczości. Na zebraniu tym odczytywano prace, mające pójść do numeru. Ja napisałem artykuł o spółdzielczości Ukraińców w Polsce, którzy – wyraziłem się zupełnie słusznie –



mogą nam śmiało świecić przykładem jako pionierzy ruchu spółdzielczego i jako najlepsi realizatorzy idei narodowego gospodarstwa. Cały ten artykuł uznano za niemożliwy do umieszczenia w piśmie, w dodatku uczniowskim.

– Ale przecież nie ma w nim nic zdrożnego – broniłem artykułu, który napisałem wyjątkowo spokojnym i wysoce obiektywnym (to, jak zawsze) tonie.

– Dobrze, dobrze, ale nie możemy chwalić Ukraińców; nie możemy stawiać podwładnych na wzór panom – odpowiedział mi Pyzik i jeszcze ktoś.

Obecny na zebraniu mgr Chmielewski, lwowianin, dodał jeszcze, że mam mylne wyobrażenia o Ukraińcach. Że poznam dopiero, jacy z nich są świnię.

Na zebraniu już potem nie puściłem pary z ust. Ale miałem ochotę całkiem po prostu podejść do profesora i palnąć go za tamto słowo w twarz.

Pyzika miałem sposobność przekonać o mojej słuszności trochę później. Artykuł jednak nie poszedł.

Pyzik w ogóle w sprawach słowiańskich był dyletantem, a nawet laikiem. Mimo to próbował mnie czasem krytykować, zupełnie bezpodstawnie oczywiście. Zrobiłem np. raz do „Zewu” przekład paru wierszy poety czeskiego Nezvala⁴. Pyzik, nieznający języka czeskiego, ośmielił się krytykować wierność przekładu z oryginałem. Twierdził dalej, że trzeba oddać to wszystko w innym rytmie itd.

Rozpisałem się. Wspomnienia stanęły przede mną jak żywe. Jak dawno zapomniani przyjaciele, podający mi ciepłą – jak dawniej – dłoń. Może kiedyś napiszę o tym wszystkim, co się działo z umysłowością w czasach szkolnych. Może będę mógł w ten sposób również odkryć drogi, które doprowadziły do obecnego mojego stanu umysłowego i stwierdzić: dlaczego tak jest, a nie inaczej.

Piątek, 12 lutego.

Po dłuższej przerwie byłem znów u Szymurów. Przygotowuję obecnie również najmłodszego z Szymurów, Ottomara do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Dotychczas brał lekcje u nauczyciela Koterli, ale – pozał się Boże – mimo to popełnia błędy jak byki. Do tego nawet zadania,

które Koterla gorliwie „poprawiał”, roją się od błędów. Nie myślałem, że nauczyciel może przeoczyć i to kilkakrotnie taki błąd jak „skond”. Nieuwaga i nic więcej. Karygodna nieuwaga, tym bardziej, że brał za lekcje po złotym. Młodsza córka Nelli powiedziała, że już samo nazwisko: Koterla oznacza gamajdę. Może ma i rację. Z Ottomarem będzie robota. W dodatku jest krnąbrny, nieposłuszny i uparty. No ale wszystko będzie dobrze – grunt, że dostanę za tę pracę odpowiednią zapłatę.

Jedno mi się tam nie podoba. Muszę udzielać lekcji w pokoju, w którym zgromadza się cała rodzina. Wszyscy siedzą cicho (siedmioro ludzi) i uważają jedynie na mój głos, który się z tego powodu potyka i łamie. Nadal oczywiście improwizuję. Nie mam zaufania do wszelkich programów. Bez programu idzie mi lekcja raźniej i żywiej.

Z Ottomarem przerabiałem dziś jakąś dumkę Zaleskiego. Na ten temat podyktowałem mu ćwiczenie pisemne. Zgarnąłem się w sobie, zatęskniłem nagle za Ukrainą i zacząłem. O ile sobie przypominam, to podałem mu poetyczny opis wieczoru na stepie, gdy jest głęboka cisza i słychać tylko poszczekiwanie psów z dalekich futorów⁵, stłumiony tętent samotnego jeźdźcy i dumki nuczone przez czarnobrewę...

Czarnobrewę. Świetnie. Takim typem wybitnie ukraińskim jest siostra Polusa – Elfryda. Nie jest ani zbyt ładna, ani zbyt powabna, śmieje się za szeroko, ale mimo to podoba mi się utrwalac ją w mniemaniu, że mnie interesuje. Wychodzi ze mnie don juan⁶. Jest młodsza (16 lat) i mam wrażenie, że jej imponuję tym, iż na lekcji potrafię Henrykowi odpowiedzieć na wszystkie pytania oraz tym, iż jestem ze strony jej rodziców przedmiotem szczególnego uszanowania. Z gracją i z tym trochę za szerokim uśmiechem podaje mi płaszcz, gdy się zabieram do odejścia. Oczywiście, udając jak zawsze pana, obdarzam ją za to protekcyjnym „dziękuję”.

Oczy Henryka są bezwzględnie ładne. Błękitne i wygodne. Lubię się w nie wpatrywać po to tylko, aby nabrać ochoty do życia, które czasem, gdy się zdenerwuję na lekcji, brzydnie mi do ostatka.

Sobota, 13 lutego.

Niedziela, 14 lutego.

Poniedziałek, 15 lutego.

Zaczęło się w sobotę rano. O ósmej przyjeżdża Ryś z Rybnika.

- Musisz jechać – wali mi już w progu.
- Gdzie? Dokąd?
- Na kulig.
- Na jaki?
- Grzegorzcyk Henio urządzi. Będzie jego narieczona Bercia, będzie Stefa, będzie Maryś, no i naturalnie my.
- Henio jest burżuj – wiadomo. Ma swoje własne konie, swoje własne sanie i swoje własne pieniądze. Henio może więc dlatego śmiało urządzać podobne kuligi. Ale my? My jesteśmy bez grosza.
- Nie mamy nawet na kolej do Jaśkowic – zauważam.
- O nic się nie troszcz. Wszystko będzie. O dwunastej jedziemy.

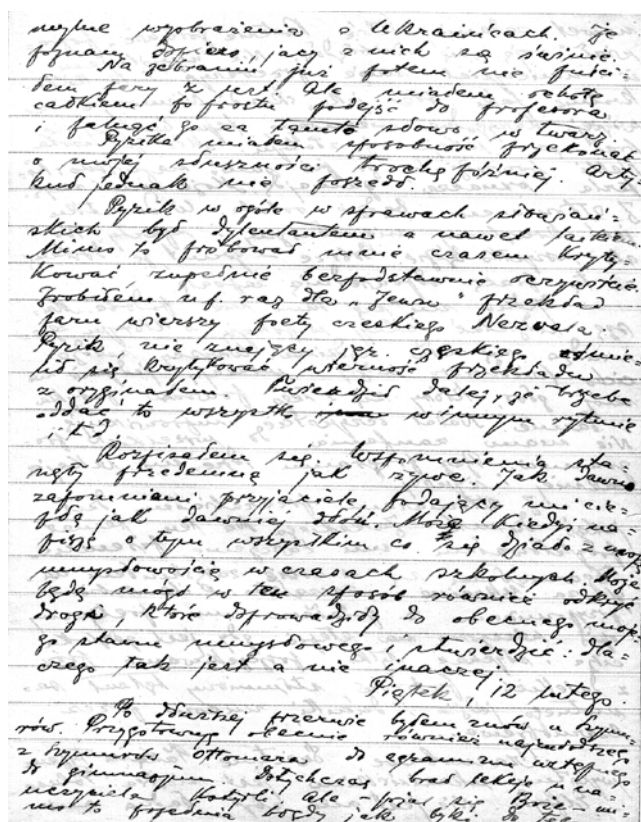
I pojechaliśmy. Wziąłem w wysokie buty Rysia, wziąłem jego czapkę studencką (bo przecież w kapeluszu nie pojedę na kulig) i hajdy!¹⁷...

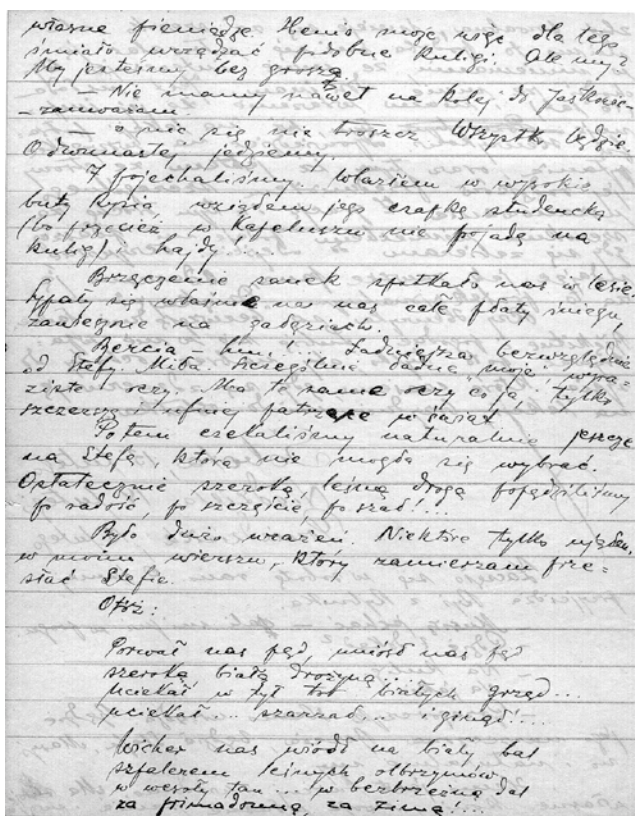
Brzęczenie sanek spotkało nas w lesie. Sypały się właśnie na nas całe płaty śniegu, zawieszane na gałęziach.

Bercia – hm!... Ładniejsza bezwzględnie od Stefy. Miła. Szczególnie ładne „moje” wyraziste oczy. Ma te same oczy, co ja, tylko szersze i ufniej patrzące na świat.

Potem czekaliśmy naturalnie jeszcze na Stefę, która nie mogła się wybrać. Ostatecznie szeroką, leśną drogą popędziliśmy po radość, po szczęście, po szal!...

Było dużo wrażeń. Niektóre tylko ująłem w moim wierszu, który zamierzam przesłać Stefie.





Otóż:

Porwał nas pęd, uniósł nas pęd
szeroką białą drożyną...
Uciekał w tył tor białych grzęd...
Uciekał... szarzał... i ginął...

Wicher nas wiodł na biały bal
szpalerem leśnych olbrzymów
w wesoły tan... w bezbrzeźną dal
za primadonną, za zimą!...

Wtłoczeni w wiotką łódkę sań
szczęśliwi z tego, żeśmy młodzi,
że krew nam wali burzą w krtań
i wre w szumiących słów powodzi,
że nam zakwita życia kwiat,
uśmiechem barwi usta panien –
– szalejąc, błogosławim świat
i to zimowe życiobranie!...

Hej! rozwichrzyła się sanna...
do nóg nawiało nam śniegu...
koń się potyka wśród biegu...
dal nas pochłania zachłanna...
dzwonki chybocą na wietrze,
dzwonki szaleją na mrozie...
...dzindzilindzin... dzindzilindzin...
Chłoszcze nasz zimne powietrze
za cały stek zamierzonych win,
za cały ogrom zamierzonych grzechów,
grzechów słodziutkich jak panna.
Hej! rozwichrzyła się sanna
Szaloną, śnieżną, zimową uciechą!...

Drzewa nam sypią białe okiście,
sypią nam proch zimny jak łód.
Jest nam cudownie – no, oczywiście!...
Jest nam bezbrzeźnie dobrze i błogo
jak okrętowi na barkach wód.
Tylko tak młodzi cieszyć się mogą –

szeroką białą, zimową drogą
pędząc po szczęście, radość, po szal!...
Któżby się swojej przyszłości bał?...
Miłość zwycięża wszyskie przeszkody,
Z losem i z życiem idzie w zawody.
A właśnie tutaj może zakwitnąć
na łonie białej kochanki zimy
radością białą, radością szczytną
wśród tych brodatych, śnieżnych olbrzymów,
wśród tych bajecznie rozkosznych drzew.
A właśnie tutaj może zakwitnąć
bo tu w nas raźniej nurtuje krew!...

Śmieje się głośno, najgłośniej – Maryś;
szepce jej w ucho: przysiądź się ku mnie.
Więc znów się śmieje i bezrozumnie
krzyczy: za starys dla mnie, za starys...
Stefa o lejce szarpie się z Heniem –
Bercia z miłością patrzy mu w oczy,
potem wymownym, długim milczeniem
zapala w chłopcu gorączkę zmysłów –
– chce ją ramieniem prężnym otoczyć,
by mu ten urok nagle nie przysnął
jak modra bańka, bańka mydlana,
jak arcypiękna fatamorgana.

Rys gdzieś Marysię w śniegu wywraca,
w białej pościeli cicho ją nurza –
– daremna siła, daremna praca;
Maryś się broni dziko jak burza
i za rękawy, za uszy łapie,
szczypie i kąsa, dusi i drapie!...
Biała jak bałwan, zarumieniona
ale wesoła, ale urocza,
wstaje jak z piany morskiej zrodzona,
jakby szarotka skwitła na zboczach...

Stefa się dąsa. No, naturalnie!...
Któż nieproszonych lubiałby gości?
Śmieje się skąpo, mdło, machinalnie,
w samej się sobie wstrząsa nawalnie,
może się wścieka, może się złości...
Coś jej tam szepce zaraz do ucha,
że trzeba, iżby nabrała ducha,
że trza się wreszcie wesoło śmiać,
że: głupstwo zimno, grunt, że jest kulig,
grunt, żeśmy życie w sobie odczuli
i że je można jak wino chlać
w nasze tętniące dziko arterie,
że trza nam życiem się mocno upić,
kielich rozkoszy wypić do dna
i z powszechności szarego dnia
nagłym porywem siebie wykupić,
żeby odprawić radosne ferie
po to, by kochać, szaleć i żyć!...

Stefa ma piersi ciepłe, gorące
i miękką, cichą, gorącą dłoń.
W ustach ma różę, a w oczach słońce,
głęboką złotą i stali toń...

Przepędza kulig szerokim traktem,
wesoło brzęczą maleńkie dzwonki...
Czuje, że żyje – życie jest faktem –
faktem jest również, że Ryś, że Henio,
że moja panna z wiejskiej ochronki,
że Maryś, Bercia, że ja, że oni...
że las się śmieje... że w uszach dzwoni...
że mi się kręci cała przygoda,
jakby mnie niosła gdzieś wartka woda,

że czuję ostre smaganie wiatru,
że mi za kołnierz śnieg zimny chlusta
i że się silne zapachy astrów
sączą słodziutko przez Stefy usta...

Ciche, uśpione miasteczko – Żory
ściga nas wzrokiem uśpionym wielce,
że jakieś młode skądś „profesory”,
że... panna Bercia porzuca lejce
zarumieniona i przestraszona,
pomrukiem auta mocno speszona.

A potem – wieczór. Szarzeją dale,
pokrowiec cienia nakrywa biel...
Na śniegu kwitną perły, opale,
las stoi cicho w wieczornej chwale,
bliższym się staje końcowy cel...
Tulą się chłopcy do swoich panien –
jak zjawa lecą powiewne sanie – –
koniom lśni skóra, pyski parują – –
oczy zmęczone ciężko musują – –
ręce zgrabiałe szukają rąk,
nogi się tulą do czyichś nóg –
– mgła idzie biała od białych łąk,
droga się zlewa z bezmiarem dróg – –
Ktoś nuci piosnkę, ktoś coś bełkoce,
za mało ciepła, dawają koce,
za mało w duszy radosnych drgnień...
Wszystkie zimowe zwały się noce
w jeden ogromny, gęstawy cień!...
Gdzieś jakieś światło błędne migoce,
jak zachodzący, jesienny dzień!...

I tylko dzwonki szaleją dalej,
tętnią im serca z srebrzystej stali,
głośno, przedziuchno, żywo, perliście,
no i srebrzyście, cudno-srebrzyście!!!
dzindzilindzin!... dzindzilindzindzin!...
dzindzilindzin!... dzindzilindzindzin!...
dzindzilindzin!...

W wierszu tym nie wszystko jest prawdą. Kulig ten nie
był samą poezją. Było w nim również wiele prozy. Ale
o tym wolę zamilczeć.

Ale po takim wypadzie w świat człowiek czuje się do-
brze i zdrowo. Tym bardziej, gdy się to łączy z wrażeniem
ciepłych dłoni i rozkosznym zimnem policzka, ocierają-
cego się o moją twarz.

Niedziela.

U Prostackiego, krawca (rodem z Ojcowa) była pija-
tyka. Władek stalował⁸. Ryś przyjechał na nartach i rów-
nież był z nami. Brat Prostackiego miał bowiem sprowa-
dzić z Rybnika dwie czy trzy panie, podobno prostytut-
ki z towarzystwa. Władek powiedział mi o tym dopiero,
gdy byłem już u Prostackiego. Inaczej nie byłbym poszedł.

W pewnej chwili zadzwonił telefon. Pan Prostacki po
krótkiej rozmowie wezwał mnie nagłym ruchem do
telefonu.

– Chce pan mówić?

– Mogę.

– Niech pan powie, że prosimy, aby koniecznie przyje-
chały. Podaj pan inne nazwisko i przedstaw się pan jako
mój kolega.

Podchodzę do telefonu.

– Hallo! Hallo!...

– Kto mówi?

– Tu Czertweryński – wyrwało mi się na chybił trafił.

– Tu ...ska. Mój panie, niestety, my nie możemy przy-
jechać.

– A dlaczego?

– Obchodzę tu urodziny.

– A! to gratuluję.

– Dziękuję. Ale panowie mogą przyjechać. Będziemy
na dworcu o piątej.

Oczywiście, że nie pojechaliśmy. Woleliśmy sami wy-
pić rum i koniak i sami zjeść smaczną kielbasę (ja i Ryś
straszenie lubimy kielbasę). Koło dwunastej w nocy Wła-
dek już zaczynał być pijany, a Ryś, zwykle zrównoważony,
zaczynał wygadywać świństwa. Ja, niewymownie szczę-
śliwy, kiwałem się nad radiem, skąd dochodziły dźwięki
upojnych tang. Ryś jednak miał jeszcze na tyle przytom-
ności, że udało mu się dokonać dobrego interesu. Mia-
nowicie w zamian za ładne sportowe spodnie dostarczył
Prostackiemu węgla, który *nb.* brat nazbierał na hałdzie.

W nocy było zimno, więc aby się rozgrzać, chwycili-
śmy z Władkiem każdy po jednym kijku w ręce i zaczę-
liśmy Rysia ciągnąć na nartach. Przepędziliśmy kilkoma
ulicami jak pijane duchy. Ale grunt, że nam było ciepło.

Władek nie wie, że byliśmy w sobotę na kuligu ze Ste-
fą i z Marysią. Lepiej niech nie wie. Wyrzucałby mi zno-
wu moje tchórzostwo i mój brak decyzji względem Stefy.
Powiedziałby mi, że jestem babą i że jestem wariat, wie-
rząc dziewczynom.

A ja? –

– Ja przecież zaczynam tęsknić za ustami Stefy. Tak jej
napisałem dziś, w poniedziałek. Nie mogłem wytrzymać.
Musiałem jej to napisać, że tęsknię, że kocham moją zło-
tą, najdroższą Stefunię. Tylko, że to jest miłość tragicz-
na. I to jest najstraszniejsze. To właśnie, ten brak wi-
doków jakiegokolwiek przyszłości naszej miłości, skła-
nia mnie do załatwienia się z miłości Stefy po chamsku,
po prostu, po świńsku. Żeby jednak napić się tej rozko-
szy, która umie być niepodzielną. ■

Przypisy

1 Bronisław Pieracki (1895–1934), legionista, pułkow-
nik Wojska Polskiego, poseł na Sejm, wicepremier w rzą-
dzie Walerego Sławka (1930–1931), minister spraw we-
wnętrznych w trzech kolejnych gabinetach (1931–1934).
Na rozkaz Stepana Bandery zabity przez Hryhorija Ma-
ciejko (1913–1966), działacza Organizacji Ukraińskich
Nacjonalistów.

2 „Straż Przednia” (właśc. Organizacja Pracy Obywatel-
skiej Młodzieży „Straż Przednia”), organizacja wychowa-
nia patriotycznego, działająca pod patronatem Minister-
stwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Zało-
żona w 1932 r. z inicjatywy Janusza Jędrzejewicza (ówcze-
snego ministra WRiOP) przez Adama Skwarczyńskiego,
jednego z głównych ideologów obozu piłsudczykowski.

3 „Zew Młodzieży” (1928–1939), czasopismo młodzie-
ży rybnickich szkół średnich, założone przez nauczyciela
historii, dr. Kazimierza Popiołka (1903–1986), późniejsze-
go pierwszego rektora Uniwersytetu Śląskiego. Najpierw
pismo było odbijane na powielaczu, od 1931 składano je
drukami. Zob. Inocenty Libura, *Co zapamiętał „Zew Mło-
dzieży”*, w: *Księga pamiątkowa Państwowego Gimnazjum
i Liceum w Rybniku* (1922–1924), Rybnik 1947, s. 159–169.

4 Vítězslav Nezval (1900–1958), poeta, prozaik i tłu-
macz, współtwórca poetyzmu, czeskiego kierunku lite-
ratury awangardowej lat 30. XX w.

5 *futor* (chutor), dawna zagroda wiejska na słabo za-
ludnionych obszarach Rosji lub przysiółek stacyjny kozac-
kiej na ukraińskich stepach.

6 *don juan* – tu w znaczeniu: bałamut, lowelas.

7 *hajdy* (gwar. Śl. Ciesz.) „precz”; tu w znaczeniu okrzy-
ku wyrażającego ponaglenie – „dalej, szybciej”.

8 *stalować* (daw.) zlecać wykonanie czegoś, zamawiać
jakąś rzecz.

industrial style / flashbacks

„Przyjedź i zobacz”.
Anonim, *Lustreise durch Oberschlesien*,
Schlesische Provinzial-Blätter 1805, nr 41

1
Ludzie zegara
i maszyny parowej
śpieszą
na pierwszą zmianę

Szepty familoków
niosą się
i cichną

2
Przerwa w dostawie
jest jak bezdech

(dusza rodzi się
z wody i z węgla)

a szyb zowie się
„Kunszt”

3
Brzuch huty

rozdyma się

w wierszowany
poemat

(cynk srebro
i ołów

mają długie
trwanie)

4
Są warstwy ziemi
i plamy krajobrazu
i tektonika serc

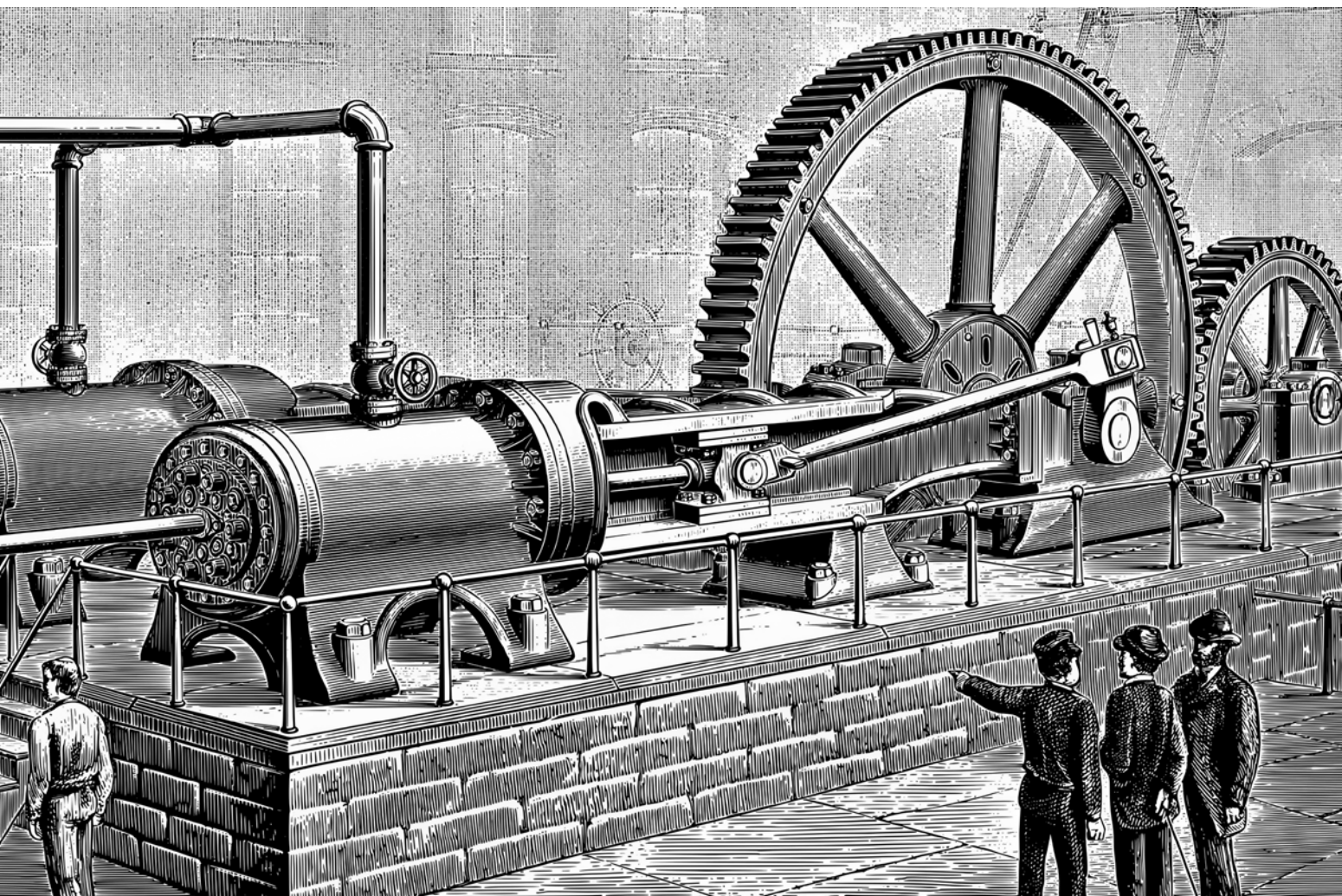
(nie ma już kuźni
nad Rawą

i dawnych puszczy,
ale lśnią Paprocany)

5
Tak bardzo staromodni
tak bardzo nowocześni

odtworzymy trasy
ludzi, lasów i rzek

Katowice – Tarnowskie Góry – Tychy



Powrót do Europy

Pracuje jako kierowca na Taxi w San Francisco, wydaje mu się, że jest częścią Ameryki. Ma obsesję na punkcie Ameryki – mówi o niej z dumą i miłością w szczególności, gdy pisze listy do rodziny, błogosławi Amerykę.

Błogosławiona niech będzie amerykańska wolność,
Dolar, thanksgiving, bazy wojskowe w San Francisco,
autostrada do Los Angeles,
łyse czaszki proroków z Haight-Ashbury Street,
struny gitar ulicznych grajków z Powell Street,
długie nogi i ciemne brzuchy ekspedientek
ze sklepu Macys na Union Square,
40 kanałowy telewizor,
niebiesko oświetlona reklama Pepsi Coli

Kręci kołem kierownicy 10 godzin dziennie przez 7 dni w tygodniu. Niekiedy uśmiech znika mu z twarzy, wzrok smutnieje, traci entuzjazm, nie cieszy się tęczą światła na Broodwayu ani panoramą mostów Bay i Golden Gate. Gdy jest smutny, zachód słońca skąpany w oceanie, majestatyczne wzgórza Berkeley tracą swą magię.

Nie widzi kolorów ani nie słyszy pisku kół, charczenia silników, wrzasku ludzi. Myśli płoną na stosie wspomnień (gdyby można było usunąć je operacyjnie, dobrze by zapłacił), gasi je łzami wzruszeń, tęsknotą.

Najlepszym lekarstwem jest przekleństwo, przeklina więc choroby zawodowe kierowców, nadwagę, ból kręgosłupa, hemoroidy, bezsenność, cztery koła swojej niedoli. Przeklina ból wędrujący od czaszki do dupy, powrót do pustego pokoju.

Piękne są zielone oczy Ameryki
jak las, nie jeden w nim zabłądził
wołał o pomoc
z głodu umarł

Piękne są zielone oczy Ameryki
jak dwa głębokie stawy z groblą nosa
nie jeden się w nich utopił
zachłysnął krwią

Piękne są zielone oczy Ameryki
jak dwa banknoty dolarowe
nie jeden wyciągał ręce po nie
sparzył się śmiertelnie

Wielki świat, łyż, napełnij oczy radością, a kąciki ust uśmiechem. Amerykańskie biura podróży sprawnie i szybko obsługują swych klientów. Nie ma potrzeby prosić greckich bogów o pomyślność. Samolot – puszka wypełniony jest snem i nudą, ale ciekawość budzi myśl. Jak przyjmą po latach? Czy brat właściciel budki warzywno-owocowej ucieszy się z prezentów, a syn jego z kamizelki kuloodpornej. Wyobraźnia szybsza od nóg, przyjazd, oczy już widzą, usta układają gorące słowa powitań.

Prośba, aby powitania były krótkie,
mało pytań,
jak najmniej pytań
niech wszystko odbędzie się bez łez,
bez jednej łzy.
Jesteś zdobywcą nowego,
czy możesz przy obcych już ci ludziach wzruszać się.
Łzy
pokażą słabość,

pomyśl, że tam jest ci źle,
a tego nie chcesz.

Uwagę skierujesz na wielkie walizki, Master Card, paszport, jesteś od nich kilka wzruszeń bogatszy, nie bój się podróży do Europy.



Opis kosmosu dzieciństwa

Mur, krzywy, stary z wąsem zielonego mchu próbuje objąć cmentarz. Kręgosłup muru z polnych kamieni pamiętających ciepło dłoni zabitych w wojnach napoleońskich.

Lipy cmentarne kwitną i pachną dla muru, śmiertelnie zakochane w nim. Pieszczą go korzeniami palców, wciskając je pomiędzy kamienne zębra.

Powietrze ciepłe i lepkie od zapachu kwitnących lip, dzikie muchy i osy (nadużywające gościnności muru) wędrują pomiędzy kwiatem lipy a szparą w murze.

Owady nic nie widzą o głodnym pająku (ukrytym w szparze), który pewny swojej zdobyczy, przygląda się im z zimną obojętnością.

Słońce wie, że starzec mur lubi ciepło – wykorzystują to zaskrońce i jaszczurki wygrzewające swe ciała na nim.

Czasem wiatr zażartuje, poruszy listkiem bluszczu, wtedy czujna jaszczurka podniesie swój brzusek, mocno wesprze się na przednich łapkach, uniesie głowę, jakby czekała na odpowiedź wiatru – czego chcesz – zniecierpliwiona zapyta.

Trawy i ziele dzielą swe królestwo (przy murze) z pokrzywą i krzakami jeżyn, szkłem butelek po alkoholu, zardzewiałą puszką po sardynkach, damską rękawiczką, opakowaniem po papierosach. Śmiech, płacz, słowa tam bywają. Pusty panterz żuka, muszla ślimaka, nogą myszy potrącane, są częścią tego królestwa.

Gołębia czarno-biała piórka wiatr niedbale rozwiesza na czubkach traw, żółtym mleczu kolcach jeżyn i ostów. Jastrząb jest już daleko, ale pamiętają go rumianek, dzika koniczyna. Resztki z gołębia skubią z największą dokładnością i obojętnością mrówki – grabarze kosmosu.

Śmierć Kanta Esej o melancholii

JOLANTA TRELA

Jest w życiu Immanuela Kanta jakaś tajemnica, która nie pozostawia obojętnym nikogo, kto się z nią zetknie. Jest tak intrygująca, że pozwalamy jej, aby pracowała w nas, dopóki nie dokona dzieła przemiany!

Zwykliśmy sądzić, że śmierć jest aktem jednorazowym i nieodwracalnym. Nieodwracalnym z pewnością, ale nie jednorazowym, bo jeżeli głębiej zastanowić się nad tym, czym jest śmierć, to okaże się, że jest to proces i że człowiek umiera przez całe życie. Każdy, co jakiś czas, po wykonaniu niejako pełnego obrotu, rozpoczyna obieg od nowa, na wyższym kręgu spirali. Równocześnie o tyle zachowuje tożsamość, o ile prawdziwe jest zdanie Rimbaud'a, *ja to ktoś inny*. Najczęściej ten proces jest niezauważalny, ale może mieć wręcz dramatyczny przebieg. Ma to związek z dynamiką rozwoju duchowego, która jest inna u każdego. Kant żył osiemdziesiąt lat i choć to może wydawać się dziwne, panuje powszechne przekonanie, że całe jego życie było monotonne i że nic specjalnego się w nim nie zdarzyło. Podobno Heine miał wręcz powiedzieć, że *trudno jest napisać historię życia Immanuela Kanta, bo on nie miał ani historii, ani życia*. Jednak pięciu współczesnych Kantowi biografów, wytrwale pisało o nim, że żył samotnie, w jednym mieście, wykładał na jednym uniwersytecie i że przez lata miał jednego służącego. Z tej perspektywy rzeczywiście niewiele widać. Kant też niewiele mówił na ten temat. Może nie chciał? Może, tak jak autorzy jego biografii, wołał patrzeć na swoje życie z perspektywy horyzontalnej, związanej z czasem? Może wołał sądy jednoznaczne i kategoryczne, jak ostatnie zdanie, które wypowiedział, *Jest dobrze?* I choć trudno orzec do jakiej rzeczywistości się odnosi, jego znaczenie nie budzi wątpliwości. Ale jest jeszcze inna perspektywa, wertykalna, poza czasem, która określa nas wobec wartości ostatecznych. Z tego punktu widzenia trudno nie zauważyć gwałtownych, a nawet dramatycznych wydarzeń. Ale stąd nie widać linii prostej; stąd nie ogląda się zdarzeń po kolei. Tu nic nie jest jednoznaczne. To jest stan, o którym pisał Edward Stachura, *kołowanie nad czymś, jak kondor kołowanie, nad tym co niby widne, ale nie tak bardzo*. Więc, co stąd można zobaczyć? Najpierw trzeba spróbować znaleźć trop. Kant żył osiemdziesiąt lat. Osemka symbolizuje nieskończoność, a także pętlę. Pętla, w pewnym sensie, przywodzi na myśl trasę, jaką wykonuje planeta krążąc po swoim torze. A także trasę, jaką wykonywał Kant w ciągu dnia, krążąc po torze swoich zawsze tych sa-

mych zajęć. Tylko on mógłby powiedzieć, ile odbył dynamicznych, transformujących okrążeń w swoim długim, pozornie nieciekawym życiu. Zamknięty w orbicie linii ciągłej, stanowiącej continuum czasoprzestrzenne, gwarancję bytu. A także w orbicie linii nieciągłej, a jednak nieprzerwanej, jaką wyznacza bieg myśli. Czyżby trzymanie się myśli było podobne do trzymania się nocą przez Kanta linki przeciągniętej od wezwłowa łóżka z jego wiecznie ciemnej sypialni do jadalni? Trzymając się jej można nocą wejść do labiryntu. Równomierne tykanie zegara, jak bicie serca, towarzyszy niepewnym krokom.

Godzina piąta

W wąskim kręgu świadomości, jak w sнопie światła lichtarza, który nie rozprasza całkiem ciemności nocy; w oparach dymu porannej fajki i w parze dymiącej z filiżanki gorącej herbaty, Kant siedzi w swoim gabinecie o piątej rano. Zegar wybija godzinę, zawsze tę samą, niezmienną, przewidywalną, jak następstwo pór roku. Nie trzeba się więc nad tym zastanawiać i o to chodzi. Raczej powoli przejść ze świata snu do rzeczywistości, które to przejście nie jest wcale takie oczywiste. Notując gdzieś na obrzeżach świadomości bicie zegara, Kant może czuć się bezpiecznie pograżony w czasie przeszłym albo przyszłym i w takim stanie pół snu, pół jawy, może jak zwykle bezwiednie kontemplować obłoki dymu rozwiewające się po gabinecie, jak poranna mgła nad Królewcem.

Wizerunek Kanta skłania do refleksji; bo oprócz tego, że miał, *tę dziwną rzecz, geniusz*, jak zwykł mawiać James Joyce; powstaje pytanie, skąd wziął tak niepospolitą siłę i upór w działaniu? Skąd u niego ta wytrwałość w dociekaniu prawdy? Jak wiadomo, był już w dojrzałym wieku, kiedy nie znany nikomu, jako jeden z wielu szeregowych pracowników prowincjonalnego uniwersytetu; przez ponad dziesięć lat pracował nad swoim najważniejszym dziełem *Krytyką czystego rozumu*. Jak to możliwe, że będąc tak niepozornym z wyglądu, był zarazem esencją ducha pruskiego i ikoną Królewca? A mimo to, jak każdy, umierał wiele razy. Bo, jak powiedział poeta sufi, *człowiek umiera najpierw z powodu swej natury, potem gdy gaśnie jego wola i dopiero na końcu, gdy dusza roz-*

staje się z ciałem. Nielicznym dane jest urodzić się po raz drugi, długo po narodzinach fizycznych; wielu natomiast umiera dużo wcześniej, zanim nastąpi fizyczny zgon. Odbywając tę samą podróż, mniej czy bardziej świadomie, każdy w pewnym momencie musi znaleźć się w miejscu, które opisał Dante: *W życia wędrowce, na połowie czasu, / Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, / W głębi ciemnego znalazłem się lasu*.

Każdy też, w czasie swojej życiowej podróży, przynajmniej raz, musi stanąć przed kluczowym momentem; czy przekroczyć próg i iść dalej, czy zawrócić. Założmy, że Kant należał do tych niewielu, którzy doświadczyli tego, czego może doświadczyć człowiek w mieście, w którym wilgoć i mgła są tak dojmujące, że przenikają ciało do głębi. Zimne krople wody spływają po twarzy, przenikają ubranie, wnikają w duszę. Więc co się stało tamtego pochmurnego dnia nad ranem, kiedy widok przez okno przesłaniała delikatna zasłona utkana z lodowatej mżawki? A potem, kiedy nad miastem powoli zaczynała gęstnieć mgła, skąd się wzięły te nagłe pomruki burzy? Wreszcie ten huk nie do zniesienia i równie nie do zniesienia widok za oknem, którego nie można już nigdy zapomnieć; grube mury zamku królewieckiego rozpadające się w pył, przy trzasku łamiących się drzew...? Jakże chciał wtedy usłyszeć kojący głos matki, *Manelchen, Manelchen, nie bój się, to tylko sen!* Ale to nie był sen. Czy właśnie pamięć o tym, albo o podobnym zdarzeniu, kazała mu po latach wypowiedzieć te, jakże zaskakujące słowa: *nie mam odwagi mówić o wszystkim, o czym myślę?* Czy dlatego, żeby to się już nigdy nie powtórzyło, Kant zaczął wstawać o piątej rano, codziennie, z żelazną dyscypliną? *Łóżko – gniazdo chorób, mawiał; nie można kłaść się na złym boku*. To nie takie dziwne, gdy pamiętamy, że Kant mówił o sobie, że *ma charakter melancholika*. Kiedy rozum nie ma kontroli nad uczuciami, melancholik może wpaść w egzaltację, mieć prorocze sny, wygłaszać przepowiednie. Kant w młodości żywo interesował się mistyką, podkreślając zarazem, że *swoje słabości trzeba znać, żeby nie pozwolić im się rozwijać*. Jednak tuż przed czterdziestym rokiem życia nastąpiło przesilenie. Być może zapłacił za wysoką cenę za zbyt duże zainteresowa-

nie szwedzkim mistykiem, Emanuelem Swedenborgiem? *Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy, / Bo mną owładła senna jakaś duża / W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.* Wiele lat później, Kant całkowicie wyprze się siebie i jak zawsze niewyraźnie, cichym głosem powie, że jest *umiarkowanym przyjacielem uczuć mistycznych.* Po co mówić o mistyce, o odrodzeniu duchowym; kiedy w zupełności wystarczy odnowa moralna? *Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie.* Najwyższy czas, żeby ułożyć sobie plan dnia.

Godzina szósta

Lampe już sprzątnął po śniadaniu, wyniósł stolik do herbaty i lichtarz. Wybiła szósta. Słońce wzeszło i Kant w naturalnym świetle siedzi przy stole i pisze. To są jego ulubione i najbardziej płodne godziny pracy. Teraz jest w najlepszej formie; wypoczęty i twórczy. Uparcie zmierza do centrum, do sedna, do istoty rzeczy; całkowicie oddany tropieniu prawdy; podąża za nią wszędzie, gdzie tylko może go zaprowadzić myśl! Właśnie teraz odbywa zdumiewające podróże po nieodgadnionych przestrzeniach ludzkiego umysłu. Wytycza drogi, którymi pójda inni. Nie tylko współcześni mu filozofowie i ich następcy; ale także naukowcy i fizycy w XX wieku; jednym z nich będzie Heisenberg, twórca *zasady nieoznaczoności.*

Podróż przez piekło stanowi początkową część wyprawy, której nie można ominąć. *Granice mojego piekła, są granicami mojego charakteru;* można powiedzieć parafrazując słynne zdanie Wittgensteina. Kant od dziecka cierpiał na hipochondrię. Jego matka umarła, gdy miał 13 lat; a ojciec, gdy miał 22 lata. W młodości przeżył też boleśnie śmierć innych, ważnych dla siebie osób. Wokół słowa miłość na zawsze zaległa grobowa cisza. Ta cisza, jak cień, pozostała z nim do końca życia; podobnie jak ucisk w głowie i ból żołądka. Nie pomogło ograniczenie jedzenia do jednego posiłku dziennie; oraz to, że był spożywany w starannie dobranym, miłym towarzystwie. Miłe towarzystwo nigdy nie zastąpi rodziny. *Człowiek tyle razy umiera, ile razy traci swoich bliskich.* Przesadne przywiązanie do spraw wielkich prowadzi do utraty radości życia. Można wręcz zarzykować matematyczne twierdzenie, że im dłużej Kant odbywał swoją życiową podróż, po ściśle określonym torze, a więc narzucając sobie wiele dobrowolnych ograniczeń; tym bardziej, w tempie jednostajnie przyspieszonym, wy-

gaszały ciekawość świata i zachłanność na życie. A potem także miłość, oddanie i cześć dla świata. Co więc zostało? Z pewnością niepospolita siła woli i determinacja. Ale także miłość własna i lęk. Lęk, na początku gwałtowny, lecz łatwy do opanowania, prawie nieobecny; pod koniec życia wzbierający, paraliżujący, obezwładniający, nie do wytrzymania. Znał go Lorca, hiszpański poeta, gdy pisał, *Sztylet / zapada w serce, / jak pazur brzozy / w ziemię jałową. / Nie / Nie wbijaj mi go. / Nie.* Dopiero po wielu latach, Kant mógł ze względny spokojem słuchać o tym, jak inni umarli; siedząc bezpiecznie przy stole, wśród współbiedników. *Moi drodzy przyjaciele, nie ma przyjaciół, mówił i pisał wiersze z oka-*



zji śmierci kolegów z uniwersytetu. Ale to przynosiło chwilową ulgę. Została skaza; niemoc, kładąca się cieniem na całym późniejszym życiu. Została także niechęć do nagłych i niespodziewanych dźwięków, do wszelkich dźwięków w ogóle i do wszystkiego, co nagle i niespodziewane.

Godzina ósma

Droga na uniwersytet, to droga życia Kanta; szlak jego pieszych wędrówek, których cel jest równocześnie celem jego życia! Wystarczy pomyśleć, że Kant nigdy nie założył rodziny, żeby w pełni uświadomić sobie, jaką rolę w jego życiu odgrywała uczelnia. Przemierzał tę

trasę od wczesnej młodości. Zaczął jako student, potem magister, wreszcie rektor. Dzień po dniu; w słońcu i w deszczu; w stosunkowo dobrym zdrowiu, jak i przy pogarszającym się z wiekiem samopoczuciu. To tu, na uniwersytecie, jak w alchemicznym tyglu, dokonała się zdumiewająca przemiana w Kancie! Przemiana tym większa, im bardziej niezauważalna, prawdopodobnie na początku nawet dla niego samego. Jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, jednakże w przeciągu wielu długich, zdawałoby się takich samych, lat, Kant – student powoli i nieodwracalnie przekształcał się w Kanta – filozofa. Z poczwarki w motyla, z pruskiego urzędnika uniwersyteckiego, jak go określił Nietzsche, w wielkiego myśliciela! Ale stop: ta przemiana nie była widoczna, bo jak zauważył Heine, Kant był *podobny do zegara z wieży królewskiej: beznamiętny i dokładny*, a styl jego najważniejszego dzieła filozoficznego *jest suchy i szary jak papier pakowy.* Zegar na wieży wybija godzinę ósmą. Kant na chwilę przystaje i spogląda na odbicie nieba w kałuży, a następnie w samo niebo. Nie lubi jesieni i mgły utrzymującej się nad miastem.

Zegar wybija kolejne godziny. I choć wędrówka zatacza coraz szersze kręgi, Kant w istocie nie rusza się z miejsca. Wiąże go myśl. *Myślę, więc żyję,* mógłby powiedzieć parafrazując słynne zdanie. Umrzeć – dla Kanta – to przestać myśleć! I nie ma tu żadnej sprzeczności, albowiem myśl to czas! Więc niech biegnie, niech prowadzi, niech krąży nad tematem, zataczając ósemki, pnąc się spiralnie w górę, jak struktura DNA!

Godzina pierwsza

Wybiła trzynasta. Piętnaście minut temu służący Lampe powiedział swoje sakramentalne: *za kwadrans* i zebrani goście zajęli już swoje miejsca w jadalni. *Tak więc, moi panowie, do dzieła,* tymi słowami Kant zwykł codziennie rozpoczynać obiad; kulminacyjny punkt dnia; czas na jedyny posiłek i na jedną lekką rozmowę, nigdy o filozofii. Oto jak go opisał Reichardt: *Kant był bardziej suchy, niż popiół, zarówno na ciele jak i na umyśle. Był małej postury i prawdopodobnie człowiek o bardziej wyschniętej, chudej i wysuszonej anatomii nie pojawił się na tej ziemi. Górna część jego twarzy była do stojna; czoło wysokie i jasne, nos o szlachetnej linii, oczy błyszczące i przenikliwe, ale intensywnie wyrażające najordynarniejszą zmysłowość, która objawiała się w nieumiarkowanym oddawaniu się jedzeniu i piciu.* Po zaspokojeniu pierw-

szego głodu, Kant pyta zebranych gości: *Teraz, moi panowie, pomówmy na jakiś temat; co nowego słyszał? i zaraz dodaje: z własnego doświadczenia wiem, że najlepsze jest wszystko to, co jest suche: suche powietrze, suchy chleb, suszone owoce i wytrawne wino.* Zdarzyło się kiedyś, że zażartował, najlepiej też, jak mówił Heraklit, mieć suchą duszę.

Śmierć woli jest etapem śmierci człowieka. Próbować przestać myśleć można wtedy, gdy się utraci wolę myślenia. Jednak, gdy umiera wola myślenia niekoniecznie musi umrzeć wola życia. Wygląda jednak na to, że u Kanta obie były jednym. Równocześnie z utratą ciągłości myślenia, nastąpiła utrata poczucia czasu; a więc chaos, dezintegracja. Powolny rozpad struktury. Nikt nie umierał tak powoli i tak beznadziejnie jak Kant. Nikt nie umierał tak jak on – bez powodu. Nie było to umieranie spowodowane chorobą, nawet nie starością. Była to śmierć z braku wyjścia, z braku innej możliwości. Śmierć z niemożności odnalezienia właściwej drogi. Nadaremno teraz dociekać; czy z niewiedzy, czy z braku wiary, że wyjście w ogóle istnieje? Wyjście poprzez samą śmierć! *Pamiętaj o rzeczy najważniejszej: drzwi są otwarte.* Kant nie zapamiętał Epikteta?

Godzina trzecia

Wybiła trzecia. Po obiedzie, jak zwykle, Kant spaceruje po ogrodach królewskich koło swojego domu. Zawsze sam. *Podobny do rysunków egipskich, sunie aleją lipową płaski jak własny cień.* Podobny do wskazówki zegara słonecznego; zataczając krąg; swoimi krokami niezmiennie odmierza czas dla mieszkańców Królewca. Idzie powoli, coraz mniej pewnie; coraz częściej przystaje. Aż pewnego dnia zdarzyło się, że nie wrócił na czas do domu.

Dlaczego Kant stracił poczucie czasu? Może przydawał mu za wielkie znaczenie? Obarczył zbyt dużą odpowiedzialnością? Na co wobec tego należało postawić? Co uczynić przewodnikiem w życiu? Czas nie sprostał oczekiwaniom Kanta. Okazało się, że nie jest partnerem w rozmowach. Czas to źle wybrany przewodnik. To nie ta nić.

Godzina piąta

Magiczna godzina zmierzchu. Kant siedzi nieruchomo i kontempluje widok za oknem, *ograniczony obraz przyrody zamknięty w prostokącie okna jak pejzaż w ramie.* Niezmiennie ten sam widok od lat; źródło odpoczynku i natchnienia. Chwila wyczekiwana z niecierpliwością, z mieszaniną niepokoju i podniecenia, niemalże z drżeniem. Wybiła piąta. Nikomu nie wolno wchodzić do gabinetu o tej porze. Nie ma i nie może być żadnych wyjątków od tej reguły. Teraz twarz filozofa zastyga w bezruchu. Nieruchomieją topole za oknem i wieża kościoła Löbenicht zwolna zaczyna się rozwiewać razem z mgłą

i zapadającym zmrokiem. Jeden jedyny raz, w ciągu dnia, Kant przekracza granicę czasu; jest w wieczności! Teraz i tylko teraz pozwala sobie na to, żeby stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, z teraźniejszością, z nieproszonym gościem. Bardzo ostrożnie, powoli wychodzi poza gruby mur obronny przeszłości, męczących wspomnień, rozderganych gorących emocji oraz zimnych, niewzruszonych kategorii i pojęć. Przekracza siebie i idzie dalej; w jednym momencie, krótszym niż jedna milionowa część sekundy, próbuje wykroczyć poza świat zjawisk i... ale zaraz; co się dzieje...? Nagle nic się urywa i słynne godziny dnia Kanta rozsypują się jak sznur pereł! Perły mieszą się z zimnymi kroplami mżawki i skraplają w mgłę nad Królewcem; perły eksplodują w miliardy galaktyk, które na wieczornym niebie wirują po elipsach bez końca! *Dosyć tego; zamknąć okiennice; to nie do wytrzymania!*

Śmierć Kanta zaczęła się o wiele wcześniej, znacznie wcześniej, niż zwykliśmy sądzić; być może nawet kilkadziesiąt lat wcześniej... Prawdopodobnie zanim po raz pierwszy sformułował swoje postulaty. To, co widzimy później, nie jest niczym innym, jak rozpaczliwą próbą zachowania pozorów życia. Próbą ponawianą heroicznie, jakby z poczucia obowiązku, wytrwale, codziennie, z pruską dyscypliną, od 5 rano do 22 wieczorem. Z coraz słabszym skutkiem; jakby zabrakło paliwa; jakby kilkadziesiąt lat wcześniej został zerwany kontakt ze źródłem zasilania. Życie toczyło się, siłą rozpędu, od lat na wolnym biegu, aż do zatrzymania.

Godzina siódma

Jest wieczór. Lampe zapalił już świece i wymienił na nową białą chustkę, którą Kant lubi mieć rozwieszoną na krześle. Wybiła siódma. Kant nie zauważył, kiedy wyszedł służący, bo siedzi zagłębiony w fotelu, oddany całkowicie lekturze. Pod koniec życia, w postępującym chaosie, w jakim pogrążył się jego umysł, Kant coraz częściej tracił kontakt z rzeczywistością fizyczną. Tu przeżywał sobie tylko znane męki, gdy godzinami czekał na kawę, albo tytoń. Prawdziwe życie było gdzie indziej, w przestrzeni mentalnej, którą latami budował jako wykładowca uniwersytetu. Wychowany na filozofii Greków i Rzymian, kochający Cyserona, jak siebie samego, mieszkał w stworzonych przez siebie ogromnych pałacach pamięci. Tu przeżywał sobie tylko znane rozkosze, gdy po raz kolejny omawiał prawo ruchu planet Keplera. I tak jak one, nie mogąc zboczyć z toru, po starych koleinach, krążył w kółko...

Zza mgły, która spowiła miasto i opisy biografów, wyłania się Kant student, Kant wykładowca i Kant starzec. Który z nich żył pełnią życia? *Ten, kto upiera się przy pewnym programie i nie słucha czego domaga się jego serce, ryzyku-*

je popadnięcie w schizofrenię. Taka osoba traci własne centrum, pisze Joseph Campbell, amerykański religioznawca, w swoim dziele o podróży bohatera mitycznego. Posłuchajmy samego Kanta. Gdy miałem dwadzieścia dwa lata wiedziałem, że szlak, którego będę się trzymał, został już przeze mnie wyznaczony, że pójść swoją drogą i nic mi nie przeszkodzi w jej kontynuowaniu! Zakochałem się w filozofii i jej pozostałem wiernym mężem i jej pozostawię liczne i nieśmiertelne potomstwo.

Podobno kto zamierzył wielkie dzieło, klęskę ponosi właśnie wtedy, gdy je ukończył. Posłuchajmy jeszcze raz, co mówi Campbell, *To wszystko, czego człowiek rzekomo chce, w co pragnie wierzyć, na co, jak sądzi, może sobie pozwolić, co postanawia kochać i do czego, jak sądzi, jest zobowiązany, to najgroźniejszy smok, który czai się w nim; to ego.* Wyspa ego, to obszar kartezjańskiego *cogito*; miejsce, które daje poczucie bezpieczeństwa, ale jest więzieniem. Jeżeli odważysz się ją opuścić, będziesz żył wiecznie, namawiała filozofia. Kant nie słuchał, bo trzymał nić. Pozostanie tu, to początek końca, przekonywała, to powolne umieranie. Nie wierzył, bo umieranie było jak życie, najpierw niezauważalne i bezbolesne. Ach, któż z nas zdoła tego uniknąć? Dopiero później, po latach, stało się nie do wytrzymania, nie do zniesienia; by w końcu stało śmiertelnie przerażać, kiedy do brzegu zaczęły podpyływać potwory; zmory koszarów sennych i bezsennych nocy. Kiedy śmiertelnym wrogiem stał się nawet wierny służący, Lampe; już nie pomagało, ani mówione, ani pisane zaklęcie: *wystrzegać się złych snów! Sztylet, / jak promień słońca / rozjarza straszne parowy. / Nie. / Nie wbijaj mi go. / Nie.*

Godzina dziesiąta

Sypialnia z wiecznie zamkniętymi okiennicami i z zimnym zielonym piecem. Wybiła dziesiąta. Jest noc. Kant przytrzymując na głowie podwójną szlafmycę, właśnie połknął tabletki doktora Trummera na trawienie. Jeszcze tylko powoli odsuwa podwójną koldrę i sprawdza, czy na pewno linka jest przywiązana do zagłówek łóżka. Co z tego, że trzymając się jej, kiedyś nocą wszedł do labiryntu, kiedy teraz nie może z niego wyjść? Równomierne tykanie zegara i urywane uderzenia serca, towarzysząc coraz bardziej niepewnym krokom...

Ach! Gdybyśmy wiedzieli – co dalej –! gdybyśmy mogli wytyczyć przyszłe linie naszych dróg... pisał Bolesław Miciński. Być może Kant już nie chciał wiedzieć: – *co dalej* –? Być może poprzez uparty i rygorystyczny rytuał powtórzeń każdego dnia, pragnął podświadomie zatrzymać czas, uniemożliwić godziny? Być może chciał sprowadzić wszystkie dni do jednego dnia? I osiągnął cel; niemożliwy dla nikogo, ani przed nim, ani po nim; zamknął się w jednym dniu, na wieczność, jak mucha w bursztynie. ■

Niemieccy sprawcy, niemieckie ofiary

JAROSŁAW KAPSA

Pierwszą ofiarą wojny, zdaniem Orwella, jest prawda. Jeśli tak, to kolejną jest rzymska tradycja prawna, odrzucająca zasadę odpowiedzialności zbiorowej. W czasie wojennym osąd i kara dotyczyły zbiorowości, kwestia indywidualnej odpowiedzialności była na drugim planie. Żydzi byli mordowani, bo byli Żydami; Niemców uznano za morderców, bo przynależeli do „ludobójczej wspólnoty”. W czasach wielkich zbrodni wykluczano „pięknoduchostwo”, zasada zbiorowej odpowiedzialności sprawców ułatwiała mobilizowanie mas do walki za Ojczyznę, zaspokajała poczucie sprawiedliwości. Rzeczywistość stawiała się czarno-biała: albo my, albo oni. Kto wybrał źle, odpowiadał za zdradę narodowości polskiej...

Powiat częstochowski, obszar pogranicza, ze swej natury wymykał się z tej czarno-białej rzeczywistości. Kwestia przynależności narodowej w okresie zaborów była wyrazem świadomości. Statystyka państwowa bazowała na podziałach wyznaniowych, przyjmując, że katolik to Polak, protestant Niemiec, prawosławny Rosjanin, wyznawca judaizmu – Żyd. Jak w tej urzędowości kwalifikować założyciela Huty Raków Bernarda Hantkego; rodziców miał żydowskich ortodoksów, sam przyjął wiarę protestancką, deklarował się jako Polak...? Co zrobić ze Steinhausenami, myszkowskimi „królami papieru”, protestantami i Polakami...? W powiecie częstochowskim w 1913 r. mieszkały 220 794 osoby, w tym 69 525 w miastach i 151 269 na wsi. Zdecydowanie przeważali katolicy, było ich 183 558. Żydów było 32 898, z tego w miastach 22 tys., protestantów 2 376, w tym 1 629 na wsiach. Powiat częstochowski, tak jak i dziś, nie obejmował samej Częstochowy. Tu w 1909 r. mieszkało 69 525 osób, w tym 65% katolików, 31% Żydów, 2% prawosławnych i 1,1% protestantów. Ziemia częstochowska, znajdując się w zachodniej części Królestwa Kongresowego, tej, która tworzyła Łódź, Pabianice, Żyrardów, podlegała procesowi niemieckiej kolonizacji na przełomie XVIII/XIX w. Wyznawany protestantyzm pozwalał kolonistom zachować narodową odrębność, choć najczęściej miała ona charakter lokalny. Uważano się za potomków Fryzów, Olendrów, Morawian, dopiero w końcu XIX w. wraz z wzrostem potęgi Rzeszy, za Niemców. W powiecie częstochowskim największe skupiska ludności protestanckiej były w 1913 r. w gminach Grabówka (331 osób), Huta Stara (163) Lipie (926). W sąsiednim powiecie radomszczańskim takie skupiska były w gminach Brzeźnica (347), Bru-

dzice (916) Dmenin (1166), Kobieles (236), Gosławice (319). Wyznanie mogło, ale nie musiało, determinować świadomość narodową. Huta Stara została w 1819 r. zasiedlona przez osadników z Moraw; protestantyzm ukształtował tu niemiecką świadomość. Pobliską Kamienicę Polską w tym samym okresie zasiedlili Morawianie; byli oni katolikami zachowującymi czeską tożsamość.

Po 1918 r., w odróżnieniu od spornych narodowościowo ziem śląskich, nie dążono w Częstochowskim do wymiany ludności i pozbycia się miejscowych Niemców. Byli oni „swoimi”, akceptowano ich prawo do tożsamościowej odrębności. Utrzymała się więc do 1939 r. taka odrębność, widoczna zwłaszcza w podczęstochowskich osadach Huta Stara i Czarny Las oraz w wioskach gminy Lipie (Natolin, Lindów, Rozalin). Nacjonalizm XX w. nie mógł ludzi zostawić w stanie obojętności, żądał od nich wyraźnego zdeklarowania, czy jesteście Polakami czy Niemcami. Zagrożenie wojną ze strony nacjonalistycznych Niemców powodowało wzrost nieufności władzy wobec mieszkającej w Polsce mniejszości. Część tych obaw miała swoje uzasadnienie. Przygotowując agresję, niemieckie służby partyjne i wojskowe próbowały pozyskać polskich Niemców do działań szpiegowskich i dywersyjnych. Nawet słuszne obawy nie usprawiedliwiała wykazywanej przez polskie służby nadgorliwości. W 1939 r. szukając szpiegów, polska żandarmeria przeprowadziła przeszukanie pomieszczeń parafii protestanckiej w Częstochowie, której proboszcz ks. Leopold Wojak był zadeklarowanym Polakiem.

Tego typu represje nie wpływały na zachowanie częstochowskiej mniejszości. W czasie kampanii 1939 r., mimo typowej dla wojny „szpiegomanii”, na ziemi częstochowskiej nie dowiedziano faktów współdziałania miejscowych Niemców z armią agresora. Wehrmacht, potrzebując wywiadowców i przewodników, korzystał z usług zniemczonych Ślązaków mieszkających po drugiej stronie granicy. Z nich także, ze względu na znajomość języka polskiego i lokalnych środowisk, tworzone personel okupacyjnych służb bezpieczeństwa. Do „Niemców” zamieszkałych w Polsce okupanci mieli mniejsze zaufanie. Niemieckiego pochodzenia mieszkańcy Lindowa lub Rozalina byli na równi z polskimi sąsiadami oburzeni brutalnością represji, w tym zabójstwem w pierwszych dniach września 1939 r. dwóch księży i organistów w kościele w Parzymiechach. Na listach ofiar masakry 4 września 1939 r., w której zgi-

nęło blisko 300 mieszkańców Częstochowy, znajdowali się także protestanci lub osoby noszące niemieckie nazwiska. Symboliczna była śmierć profesora gimnazjum Ignacego Schreiber, Niemca z pochodzenia, Polaka z wyboru, który samobójstwem zaprotestował przeciw ludobójstwu.

Nacjonalistyczna polityka hitlerowskich Niemiec prowadziła do zaostrzenia podziałów. Dekretem z 8 października 1939 r. zachodnia część powiatu częstochowskiego, w tym Kłobuck, Krzepice, Lipie, Blachownia, część gminy Grabówka, wcielona została do Rzeszy. Tym samym mieszkańcy pochodzenia niemieckiego uzyskali status reichsdeutschów (RD, pełnoprawnych obywateli) lub volksdeutschów (VD, ubiegających się o pełnoprawne obywatelstwo). Zgodnie z rozporządzeniem z 26 stycznia 1940 r. „przynależnym do narodu niemieckiego jest każdy, kto, nie posiadając niemieckiej przynależności państwowej, przyznaje się do narodowości niemieckiej, lecz musi to potwierdzić pochodzeniem, językiem, wychowaniem lub innymi okolicznościami”. W utworzonym z zachodniej części powiatu częstochowskiego nowego powiatu Blachownia przynależność niemiecką uzyskało do 1943 r. 4931 osób, dodatkowo 700 mieszkańców ubiegało się o ten przywilej. Mieszkańcy niemieckich wsi nie mieli wyboru; odnotowano w 1943 r. następującą liczbę reichs- i volksdeutschów: Huta Stara – 554, Czarny Las – 363, Lindów – 148, Rozalin – 78, Natolin – 146.

Ziemie wcielone do Rzeszy miały być zniemczone, z tym wiązało się przymusowe wysiedlenie ludności polskiej i żydowskiej, łączące się z konfiskatą ich majątku. Przed przesiedleniami w Kłobucku mieszkało 2900 Żydów, w Krzepicach 3500, w Lipiu 51, Truskolasach 820, w Przystajni 106. W 1940 r. pierwsze przesiedlenie dotyczyło żydowskich mieszkańców gminy Grabówka (m.in. wsi Kocin i Łojki) do Częstochowy. Ponieważ ograniczone były możliwości wchłonięcia przez getto częstochowskie przesiedlanych z zachodu, utworzono getta w Kłobucku i Krzepicach. W celu tzw. „produktywizacji” (wykorzystania pracy niewolniczej) okupanci niemieccy założyli obozy pracy w Szarlejce i Parzymiechach. W 1941 r. rozpoczęto przesiedlenia ludności polskiej. W pierwszej kolejności dotyczyło to rolników, właścicieli gospodarstw sąsiadujących z niemieckimi osadami. 30 kwietnia 1941 wysiedlono 200 polskich rodzin z Czarnego Lasu i okolic; w kolejnych miesiącach chłopów z Kamyka, Lipia, Grabówki, Szarlejki. W 1943 r.

przesiedlenia dotknęły polskich mieszkańców Krzepic i Kłobucka.

Przesiedlenia miały tworzyć przestrzeń dla rozwoju miejscowych, niemieckich gospodarstw rolnych. Jednak do potomków XIX-wiecznych kolonistów trafiła jedynie znikoma część skonfiskowanej ziemi. W Parzymiechach, na bazie dawnego majątku Potockich, utworzono wielkie, państwowe gospodarstwo rolne, „wzorcowo” zarządzane przez wysokiego funkcjonariusza SS Otto Schmelda. W skład gospodarstwa wcielono ziemię odebrane polskim chłopom z Parzymiech, Zimnowody, Napoleona i innych wsi gminy Lipie. Na rzecz gospodarstwa pracowali żydowscy więźniowie miejscowego obozu koncentracyjnego, przywiezieni tu z Sosnowca i Będzina. Wysiedlanie Polaków i Żydów służyć też miało pozyskaniu miejsca dla nowej kolonizacji niemieckiej. Od 1941 r. przywożono tu rodziny pochodzenia niemieckiego z Rumuni i Bukowiny, przydzielając im gospodarstwa 10–15 ha. Kolonizacja powiatu Błachownia projektowana była z rozmachem. Zamierzano m.in. wyburzyć żydowskie centrum Krzepic i Kłobucka, budując w ich miejsce „nowe miasta” dla ponad 2 tys. rodzin niemieckich. Szczęściem dla tych miast, planów nie udało się zrealizować z braku środków; nie było też aż takiego napływu kolonistów, by tworzyć „nowe miasta”.

Częstochowa włączona była do GG, nie stanowiła przedmiotu znieszczenia. Przed

wojną liczbę mieszkańców świadomych niemieckiej przynależności narodowej szacowano na ok. 1000. Znaczna część protestantów uległa polonizacji, dowodem tego postawa pastora Wojaka. Nie tylko odmówił podpisania volkslisty, ale też domagał się prawa istnienia polskiej (nie tylko niemieckiej) wspólnoty ewangelickiej. Wprowadzony dekretem 26 stycznia 1940 r. status ubiegania się o przynależność do narodu niemieckiego, w warunkach częstochowskich był formą pozyskania koniunkturalistów gotowych kolaborować z władzą okupanta. Magnelem były wyższe przydziały na kartki żywnościowe, dostępność lepszych usług publicznych, możliwość awansu w administracji oraz możliwość prowadzenia przedsiębiorstw komercyjnych, skonfiskowanych ludności żydowskiej. W niektórych przypadkach, zwłaszcza dotyczących osób z obywatelskiej elity, decydującym argumentem była groźba przemocy. Pamiętano postawę tych, którzy mieli odwagę odmówić. Sędzia Alfred Schlichter z Sądu Grodzkiego odmówił, mówiąc że tu w Polsce otrzymał pracę i chleb, mógł wykształcić syna. Zginął w obozie koncentracyjnym. Podobna śmierć spotkała Władysława Głuchowskiego, po matce związanego z rodziną pruskich junkrów. W warunkach terroru odwaga jest rzeczą wyjątkową, znacznie częściej pojawia się koniunkturalizm.

W 1943 r. było w Częstochowie 1283 volksdeutsche. Od kwietnia 1940 działała organizacja Deutsche Gemeinschaft zrzeszająca zarówno miejscowych, jak i przyjezdnych Niemców. Przy niej funkcjonowały organizacje dla dzieci i młodzieży (Związek Młodych Niemców, a dla starszych od 14 lat – HJ i BDM). Niemcy miejscowi, nawet zaliczani do najniższej kategorii „ubiegających się” (deutsche stammung), mogli korzystać z niemieckiej szkoły, niemieckiego teatru, niemieckiego kąpieliska i stołówek; mogli mieszkać w utworzonej w 1942, po wysiedleniu Polaków, niemieckiej dzielnicy.

Naturalna i zrozumiała była niechęć ogółu polskiego społeczeństwa. Miała ona także niebezpieczny dla volksdeutsche wymiar. W miarę rozwoju konspiracji zbrojnej uznano zasadność zdobywania środków materialnych w drodze napadów na niemieckie przedsięwzięcia, sklepy, spółdzielnie, a nawet prywatne mieszkania. Dla partyzantów, zwłaszcza z AL, niemieckie wsie były terenem, z którego przemocą wydzierano zaopatrzenie. Na volksdeutsche, konfidentach gestapo, z wyroku lub bez wyroku, żołnierze podziemnych organizacji dokonywali egzekucji. Zagrożenie przez partyzantów wymusiło na okupantach tworzenie „osad obronnych” w powiecie radomszczańskim, by chronić miejscowych



fol. Tomasz Biernik

osadników niemieckiego pochodzenia. Pomimo terroru przetrwała jednak zasada „żyj i pozwól żyć innym”. Część osób, które z przymusu lub z powodów koniunkturalnych, przyjęły kartę volksdeutscha, w miarę swoich możliwości pomagały polskim sąsiadom. Znany przed wojną przedsiębiorca Edward Kinderman stał się Niemcem, po uzgodnieniu z AK – spełniał dla organizacji funkcje wywiadowcze. Właściciel przedsiębiorstwa budowlanego Alfred Bülle, świadomie zatrudniał, ratując przed wywózką „na roboty”, ludzi związanych z konspiracją. Niemka z Austrii, wdowa po polskim oficerze, przyczyniła się do uratowania żydowskiego sędziego. Nic nie było czarno-białe, ale skala terroru hitlerowskiego powodowała nienawiść do ogółu Niemców, bez względu na ich indywidualne zachowanie.

Powojenny odwet miał charakter odpowiedzialności zbiorowej. Nowa władza, działając w imieniu i w porozumieniu z nowym, sowieckim okupantem, przyjęła, że międzynarodowe porozumienia dotyczące usuwania Niemców z obszaru Polski, dotyczą także osób zamieszkałych tu od kilku pokoleń. Reichsdeutsche i osoby kwalifikowane do II grupy volksdeutsche podlegać mieli przymusowemu wysiedleniu, a ich majątek ulegał konfiskacie. Szansę dostali wpisani do III i IV kategorii VD, musieli złożyć deklaracje lojalności wobec narodu polskiego, a wiarygodność ich potwierdzona miała być uchwałą rady narodowej. W Częstochowie MRN, uznając swoją niezdolność do oceny zachowań indywidualnych VD w czasie okupacji, przekazała kompetencje opiniodawcze Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego. MUBP sporządził, na bazie przejętych po hitlerowskim okupancie dokumentach, wykaz 972 VD, a na liście tej były osoby z przedwojennej elity przedsiębiorców i kupców: Jung, Kieslich, Klave, Stanisław Knop, Stefan Müller, Opala, Edward Kinderman. Około 100 osób z tej listy złożyło wnioski do MRN o rehabilitację. Byli wśród nich: Władysław Seifried, ur. 1889 r., wpisana na listę VD III grupy wbrew woli; Irena Miller, ur. 1926 r., córka znanego przed wojną rzemieślnika; Robert Najman, Aurelia Klave, ur. 1888 r., żona właściciela sklepu i wytwórni instrumentów muzycznych. O złożoności spraw świadczył list Jadwigi Tomzik do Starosty Grodzkiego z 7 grudnia 1945 r. W 1938 wyjechała do Niemiec, tam poznała Wilhelma Schullera, mieli dziecko, ślub zawarli w lipcu 1939, potem urodziła im się jeszcze dwójka dzieci. Mąż prowadził się niemoralnie, Jadwiga uzyskała rozwód w Niemczech. Czuje się Polką, dzieci też. Widząc złożoność spraw, częstochowska MRN odmówiła przyjmowania uchwał rehabilitacyjnych, oddając rzecz w dyspozycję UB lub sowieckiej komendantury miasta. Podobny proces toczył się w gminnych radach narodowych. W Kłobucku na posiedze-

niu inauguracyjnym MRN zgłoszony został wniosek o możliwe szybkie pozbycie się VD i osób skompromitowanych współpracą z okupantem.

Automatyzm z konfiskowaniem majątków VD przysparzał pracy sądom, pracującym według przedwojennego rozumienia prawa własności. Po odmowie rehabilitacji Klavego, właściciela kilku nieruchomości na terenie Częstochowy, do sądu o uznanie swych praw zwróciły się córki, obie uznające siebie za Polki, jedna – żona znanego lekarza, drugiej mąż pracował w magistracie. Ocalały po Zagładzie przedsiębiorca żydowski starał się o zwrot willi w Złotym Potoku, którą w czasie okupacji powierzył w użytkowanie miejscowemu obywatelowi niemieckiego pochodzenia.

Na obszarach wiejskich taka ochrona sądowa nie działała; zabór „mienia ponemieckiego” łączył się bezpośrednio z reformą rolną, będącą zaborem mienia polskiego. Częste były przypadki, że osoby wysiedlone z Kłobucka, Kalei, Szarlejki w czasie niemieckiej okupacji nie mogły powrócić do swych gospodarstw. Mienie przyznane przez okupanta osadnikom z Rumuni traktowano jako „ponemieckie” i przejmowano na rzecz państwa. Przedwojenny właściciel mógł odzyskać swoje, nie jako własność, ale dzierżawę wieczystą.

Kolejne raporty składane przez starostwo informowały o rozwiązywaniu niemieckiego problemu. W piśmie z lipca 1949 r. Starostwo Powiatowe informowało Urząd Wojewódzki, że na terenie powiatu częstochowskiego pozostało tylko 7 reichsdeutsche, 36 VD pozbawionych obywatelstwa, 58 VD, których sprawa wymaga wyjaśnienia. Dla porównania, w październiku 1946 r. w powiecie było 12 reichsdeutsche i 504 VD; po wyzwoleniu w samej tylko osadzie Wrzosowa mieszkało 420 VD, w Hucie Starej 303 VD.

Przed wysiedleniem ludność uznana za Niemców traktowana była jak jeńcy wojenni, wysyłano ją do różnych prac przymusowych. W 1946 r. Związek Zawodowy Górników wystąpił o skierowanie do pracy w kopalni rud żelaza w Konopiskach 300 VD z Huty Starej. Mieszkańcy Częstochowy wpisani na listę VD pracowali przy ekshumacjach, w szpitalach sowieckich, przy sprzątanii i porządkowaniu miasta. Część z tych osób została, na mocy decyzji sowieckiej komendantury, wywieziona na wschód, do prac przymusowych na terenie ZSRR. Były też przypadki przydzielania osób z listy VD do pracy w prywatnych gospodarstwach rolnych. W Blachowni miejscowa milicja wystąpiła z wnioskiem o pomoc dla sprzątajacej posterunek kobiety; uciekła ona z gospodarstwa prywatnego, gdzie była przydzielona jako robotnica, nie wytrzymała znęcania się ze strony właściciela.

Równocześnie z wywózkami ludności niemieckiej trwało zasiedlenie ich gospodarstw repatriantami ze wschodu. Do paź-

dziernika 1945 r. osiedlono w Czarnym Lesie 68 rodzin, w Natolinie – 16, w Hucie Starej – 32. „Życie Częstochowy” we wrześniu 1948 r. opisywało zmiany. „Częstochowianie pamiętają dobrze b. kolonię niemiecką Czarny Las w tut. powiecie. Mieszkańcy tej kolonii byli zażartymi hakatystami, w czasie ostatniej wojny dostarczyli wielu esesmanów [...]. Te złote czasy minęły z chwilą pogromu hitlerowskiego. Koloniści niemieccy pogwałciwszy obowiązek wobec narodu, których ich przyjął na swoją ziemię, zostali z niej wydziedziczeni, a na ich gospodarstwo osadzono Polaków – repatriantów i osadników ze wsi leżących w bliskości Czarnego Lasu”. Podobny los spotkał wsie z gminy Lipie; w Natolinie, Rozalinie, Lindowie zatarte zostały ślady niemieckości. Huta Stara zmieniła swoje oblicze, nie tylko przez wywiezienie miejscowych. Na przełomie lat 40. i 50. XX w. wybudowano tu duże osiedle mieszkalne dla robotników huty i cementowni.

Los częstochowian niemieckiego pochodzenia, tych, którzy nie wyjechali, nie był lepszy. Po 1947 r. zwiększyła się liczba spraw sądowych z oskarżenia o zdradę narodowości polskiej. Wcześniej kara dotyczyła udowodnionych przypadków kolaboracji, szkodzących ludności polskiej i żydowskiej. W maju 1948 r. na trzy lata skazano byłego strażnika z huty, który według zeznań świadków podpisał VD, by ratować aresztowaną siostrę i znany był z pomagania polskim robotnikom. W 1947 r. na 2 lata skazano właściciela drogerii Józefa K., który w 1940 r., przyjął jako Ślązak kartę VD. Polką pozostała jego żona Maria, małżeństwo wzięło fikcyjny rozwód. Świadkowie opowiadali o pomocy udzielanej przez nich przy organizacji „tajnych kompletów” i pomocy uwięzionym w Oświęcimiu. Wyrok więzienia dosięgnął także małżeństwa Z., które mając dziesiątkę dzieci zdecydowało w 1943 r. o podpisaniu VD, ratując własność piekarni, unikając wywózki „na roboty”. Świadkowie potwierdzili, że Z. ukrywali w swoim domu oficera WP, przechowywali broń, a także w inny sposób pomagali konspiracji. Niestety, w 1947 r. argument współpracy z AK był już traktowany jako obciążenie. Pracującego na rzecz wywiadu AK Edwarda Kindermana skazano na 10 lat, skonfiskowana została jego fabryka wózków.

Odwet i stosowanie odpowiedzialności zbiorowej były w 1945 r. czymś naturalnym wobec ogromu nieszczęść wywołanych przez niemieckiego okupanta. Czas jednak studzi uczucie gniewu, pozwala zachować więcej obiektywizmu. Byli na ziemi częstochowskiej niemieccy osadnicy, wzbogacili oni swoją pracę naszą „małą Ojczyznę”. Zniszczył ich nacjonalizm niemiecki, którego diabelska forma inżynierii społecznej doprowadziła do zatracenia ludzi nienawiścią.

„Po prawej stronie rzucają się w oczy wysmakowane fasady siedziby oddziału Banku Rzeszy oraz urzędu pocztowego. Stamtąd, idąc wzdłuż Bahnhofstrasse, w kilka minut docieramy do dworca kolejowego”. Tak o poczcie katowickiej pisał *Ilustrowany przewodnik po górnośląskim okręgu przemysłowym* wydany przez Leo Woerla w roku 1904. Poczta wydała się twórcom przewodnika do tego stopnia interesująca, że otrzymała osobną całostronicową fotografię. Budynek, pierwotnie neogotycki, później wielokrotnie modernizowany i przebudowywany, był i jest jedną z ikon Katowic – od niego i urzędu, który się tam mieści, pochodzi współczesna nazwa ulicy: Pocztowa.

Pod zarządem niemieckim

Usługi pocztowe w Katowicach obecne były od 1846 roku, czyli jeszcze przed uzyskaniem praw miejskich (11 września 1865), a ich pojawienie było ściśle związane z doprowadzeniem do miasta kolei. Miasto w swoich pierwszych latach rozwijało się dynamicznie, stąd też nie dziwi, że już w 1851 roku Katowice obsługiwał pełnoprawny posterunek pocztowy, który nieco ponad dziesięć lat później w 1864 roku został podniesiony do rangi urzędu pocztowego.

Gmach, który stanowi ikonę katowickiej poczty, powstał w latach 1892–1893. Pierwotnie był utrzymany w stylu neorenesansowym, a obecny neoklasycystyczny wygląd zawdzięcza licznym przebudowom, które miały dostosować budynek do bieżących czasów i potrzeb mieszkańców. Działka, na której stoi budowla, początkowo była własnością pierwszej katowickiej szkoły (mieszczącej się w... chałupie). Dynamiczny rozwój miasta i skokowy przyrost populacji w drugiej połowie XIX wieku spowodowały, że zarówno szkoła, jak i dotychczasowe rozwiązania w zakresie dostępu do usług pocztowych nie spełniały wymogów mieszkańców. W 1857 roku szkołę przeniesiono do nowego budynku na ulicy Młyńskiej, a działkę po niej, za cenę 57 tysięcy marek wykupiono od miasta Katowice celem ulokowania tam Cesarskiego Urzędu Pocztowego. Zdecydowano, że nowe, dynamicznie rozwijające się miasto zasługuje na okazałą budowlę, która mogłaby stanowić jego wizytówkę. Berlińscy architekci przygotowali zatem projekt dwukondygnacyjnego neorenesansowego budynku, przypominającego pałac. Budowa ruszyła w czerwcu 1892 roku i postępowała szybko mimo znacznych rozmiarów obiektu – uroczyste otwarcie miało miejsce już 3 grudnia 1893 roku. Szybkie wzniesienie okazałej budowli łączyło się z wysokimi kosztami, wynoszącymi około 200 tysięcy ówczesnych marek. W przeciwieństwie do dzisiejszej bryły poczta miała charakterystyczną



fol. SBC

Poczta w Katowicach

MICHAŁ SPURGIASZ

Poczta w Katowicach, od której nazwę wzięta cała ulica, ujrzała kajzera, dwie wojny światowe, powstania, wojewodę Grażyńskiego, okupację, „wyzwoliciele” z Armii Czerwonej, miasto Stalinogród, PRL, a nawet lata 90., by ostatecznie niemal polec w starciu z XXI wiekiem. Wraz z jej końcem skończyłaby się pewna epoka w historii Katowic oraz regionu.

wieżę, w której mieścił się węzeł telegraficzny. Projekt przewidywał też solidną bazę socjalną dla zatrudnionych – pracownicze mieszkania służbowe. Wieża z telegrafem istniała aż do przebudowy do 1904 roku. Współczesny wygląd gmach zawdzięcza pracom budowlanym z 1913 roku, kiedy dodano zachowaną do czasów obecnych kolumnadę i świetliki dachowe, oraz przebudowie z 1937 roku, która miała na celu modernizację budynku.

Ze względu na ówczesne położenie tuż przy granicy rosyjsko-niemieckiej poczta była miejscem gwarnym, często uczęszczanym i z każdym miesiącem zyskującym na znaczeniu. Poprzez pocztę w Katowicach transferowane były pieniądze kupców rosyjskich, jak i przelew dla Rosjan wypoczywających w baskijskich uzdrowiskach.

II Rzeczpospolita

Popowstańca rzeczywistość i nowe władze potraktowały katowicką pocztę godnie, czyniąc z niej niemalże instytucję pokazową. W międzywojniu w budynku mieściły się: Dyrekcja Okręgu Poczty i Telegrafów, Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny Katowice 1 oraz Rejonowy Urząd Telefoniczno-Telegraficzny.

Poczta całodobowo przyjmowała przesyłki polecane, natomiast nadanie przesyłki pocztowej było możliwe w godzinach między 8 a 20. Wpłaty na P.K.O. obsługiwano w godzinach 8–18, z kolei

listy miejscowe nadane do godziny 16 starano się dostarczyć jeszcze tego samego dnia. W mieście istniała sieć skrzynek pocztowych, które opróżniano co 2,5 godziny, a od 1936 roku w katowickich domach mieszkalnych montowano skrzynki obsługiwane przez pracowników poczty. O nowoczesności świadczyła także flota samochodowa urzędu obejmująca siedem samochodów ciężarowych, pięć półciężarówek oraz trzy motocykle. Cennik zakładał koszt od 15 do 30 groszy za przesłanie listu miejscowego. Przy liście krajowym, zależnie od wagi przesyłki, cena mogła wzrosnąć nawet do złotówki. Osobom, które musiały uważać na stan domowego budżetu, zawsze pozostawała możliwość przesłania kartki pocztowej za jedyne 5 groszy.

Znakiem czasu była podkreślana przez pocztę na wydawanych przez nią broszurach tajemnica korespondencji. Pocztownicy zarzekali się, że dołożą wszelkich starań, aby zachować możliwie jak najpełniejszą tajemnicę nawet w przypadku wspomnianych powyżej kartek pocztowych, których charakter uniemożliwiał zachowanie pełnej dyskrecji.

W budynku poczty mieścił się dział niedoreczalnych przesyłek, gdzie trafiały wszystkie paczki, które nie mogły być dostarczone do adresata ani zwrócone nadawcy. Przetrzymywano je w specjalnej poczekalni przez cztery tygodnie. Po upływie tego czasu paczkę komisijnie otwierano, aby podjąć próbę ustale-

nia nadawcy lub adresata. W przypadku braku jakichkolwiek dodatkowych wskazań zawartość przetrzymywano przez kolejne 3 miesiące, po czym komisyjnie niszczone. W przypadku zawartości wartościowej takiej jak pieniądze, zegarki, czy „przedmioty luksusowe”, przesyłkę przetrzymywano przez 6 miesięcy, a następnie zawartość licytowano. Jeśli jakimś trafem po licytacji nadawca lub odbiorca się odnalazł, to mógł zgłosić się po uzyskaną gotówkę. W przypadku, gdy nikt po gotówkę się nie zgłosił, jak zapewne kończyła się większość takich spraw, po upływie trzech lat przepadała ona na korzyść poczty.

„Telefoniczna sieć okręgowa Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego – stanowi z uwagi na rozpiętość i urządzenia techniczne jedno z najnowocześniejszych oraz wielce interesujących urządzeń telefonicznych w Polsce” głosiła wydana w 1937 roku broszura *Poczta, telegraf, telefon, radio. Podstawowe wiadomości. Organizacja służby w Katowicach*. Na wspomnianą sieć okręgową składały się 72 placówki rozsiane po całym Górnym Śląsku i Zagłębiu. Z Katowic można było telefonicznie stosunkowo swobodnie kontaktować się z mieszkańcami okolicznych miast oraz firmami i instytucjami publicznymi (zakładając, że rozmówca będzie poinformowany za czasu o rozmowie telefonicznej). Opłata za trzypięciominutową rozmowę telefoniczną wynosiła 20 ówczesnych groszy przy rozmowach górnośląsko-zagłębiowskich, natomiast w przypadku zamiejscowych stawka różniła się zależnie od miejscowości i tego, czy rozmowę odbyto za dnia, czy w nocy. Za trzypięciominutowe połączenie za dnia z Krakowem należało liczyć się z opłatą w wysokości 2 zł (1,50 zł nocą), a ktoś pragnący z Katowic odbyć rozmowę za dnia z mieszkańcem Warszawy narażał się na koszt 3,50 zł (2,10 zł nocą). Szczególnie istotnymi numerami z tego okresu zdawały się: 309 41 – Magistrat miasta Katowic, 307 59 – I Komisariat Policji, 345 15 – pogotowie ratunkowe, 345 14 – straż pożarna, 349 21 – Urząd Wojewódzki, natomiast pod numerem 322 96 mieściła się Dyrekcja Okręgu Poczty i Telegrafów. Katowicka poczta oferowała też usługę „Zegarynki” pod numerem 06. Usługa reklamowana była jako „podawanie dokładnego czasu” o każdej porze, jednakże z zastrzeżeniem, że dokładność wynosiła do jednej minuty.

Poczta miała szczególne znaczenie dla dynamicznie rozrastającego się miasta (Katowice w 1921 roku liczyły 50 020 mieszkańców, a w 1938 roku już 134 329). Szczęśliwcy z dostępem do własnego telefonu w wynoszącej 13 złotych cenie abonamentu mogli liczyć na 75 rozmów telefonicznych z miejscowościami na terenie Górnego Śląska i Zagłębia. Mieli też dostęp do nowoczesnej jak na swoje czasy usługi – pod numerem telefonu 07 mogli zgłosić swoją czasową nieobecność i zamówić usługę informowania o niej dzwoniących pod numer abonenta. Co więcej, z racji tego, że posiadanie telefonu zwykle łączyło się z przynależnością do majątniejszej części społeczeństwa, można było poprosić, aby pracownicy poczty sprawdzali, czy osoby wyznaczone do pilnowania nieruchomości aby na pewno wypełniają swoje zadania służbowe.

Oprócz placówki poczty na ulicy Pocztowej przez całą dobę czynna była ulokowana na dworcu kolejowym poczta peronowa umożliwiająca zakup znaczków, kartek pocztowych oraz nadanie listów i telegramów krajowych i zagranicznych.

Rzeczywistość powojenna

Poczta zaczęła działać jeszcze przed zakończeniem wojny – już od 19 lutego 1945 roku ponownie przyjmowała przesyłki oraz listy. Pocztcy świadomi byli sytuacji społecznej panującej na Górnym Śląsku w realiach dogasającej wojny. W wydawanych broszurach dawali klauzulę, że każdy telegram poza granice Polski zostaje wysłany na odpowiedzialność i ryzyko nadawcy. Pierwszy powojenny spis abonentów sieci telefonicznej wydany przez pocztowców zawierał też zastrzeżenie, że poczta nie bierze odpowiedzialności za błędne numery telefonów czy pominięcie niektórych abonentów. Zaniedbania uległa nawierzchnia drogi przed urzędem pocztowym i jeszcze w latach 50. w górnośląskiej prasie publikowane były artykuły nawołujące do jej naprawy.

Po wojnie wzrosły koszty usług pocztowych. W drugiej połowie lat 40. XX wieku za list płacono od 3 do 20 zł, koszt wysyłki kartki pocztowej wzrósł do 1,50 zł, natomiast trzypięciominutowa rozmowa miejscowa obciążała korzystającego z usługi kwotą 30 groszy w przypadku posiadania własnego aparatu telefonicznego bądź kwotą 1 złotego przy skorzystaniu z rozmównicy publicznej.

W realiach PRL oraz późniejszych, ciężkich latach 90. XX wieku katowicka

poczta – jedna z ikonicznych budowli śródmieścia – nieustannie pełniła swoją misję, obsługując ruch pocztowy. W grudniu zeszłego roku obchodziła swoje 130 urodziny.

Niedawna próba likwidacji placówki pocztowej była kolejną z szeregu prób usunięcia poczty z jej historycznej lokalizacji. Pierwszą podjęto bowiem w 2015 roku, kiedy to władze Poczty Polskiej bezskutecznie starały się sprzedać budowlę za 15 milionów zł. Koniec poczty w Katowicach byłby końcem pewnej epoki: to od niej nazwę wzięła cała ulica i jej obecność stanowi element historycznego dziedzictwa Katowic.

fot. Lestat



Don Giovanni – nieupudrowana postać z przeszłości

WIESŁAWA KONOPELSKA

Wolfgang Amadeusz Mozart znów za gościł na scenie Opery Śląskiej w Bytomiu. Na zakończenie niezwykle pracowitego i bogatego w wydarzenia, pierwszego po wielkim remoncie sezonu, wybrano *Don Giovanniego* – dzieło, które zawsze ma liczne grono odbiorców.

Była to trzecia inscenizacja w historii tego teatru muzycznego. Pierwsza, z 1965 roku, pod tytułem *Don Juan*, należała do Napoleona Siessa (kierownictwo muzyczne) i Sławomira Żerdzickiego (inscenizacja i reżyseria). Drugą, w 1993 roku przygotowali Tadeusz Serafin (kierownictwo muzyczne), debiutujący w roli reżysera Wiesław Ochman i Jerzy Duda Gracz jako twórca scenografii (w 2014 roku opera została wznowiona w 10. rocznicę jego śmierci). Tym razem z dziełem Mozarta i Lorenza da Ponte zmierzył się Michał Znaniecki – twórca dobrze znany bytomskiej publiczności, reżyser nagradzanych i zawsze oczekiwanych spektakli. Dwie pierwsze inscenizacje zrealizowane były w historycznym kostiumie – jedynymi elementami spoza epoki były w obydwu przypadkach scenografie. Inne podejście do klasyki zaprezentował Michał Znaniecki. W wyborze sposób miłosny, zdawałoby się dość niewinne erotyczne przygody Don Giovanniego sprzed wieków opowiedział współczesnym językiem, lokując je w kontekście problemów dnia dzisiejszego. Całość nasycał seksistowski, czasem nawet zdecydowanie przerysowanymi, zachowaniami bohaterów, które nie są tylko pojedynczymi podbojami zdegradowanego fircyka, ale przynębiającym zjawiskiem społecznym. Przy tym po mistrzowsku wykorzystał to, co wynika z dopisku Da Ponte do tytułu libretta: *dramma giocosa*. Reżyser już od pierwszych taktów uwertury wprowadził obrazy, które nadają ton całości przedstawienia. Z zamysłem reżyserskim znakomicie współgra scenografia zaprojektowana przez Luigię Scoglio – stałego współpracownika Znanieckiego i absolutnie wymyślne, piękne kostiumy Małgorzaty Słoniowskiej. Dynamiczna narracja, wymagająca częstej zmiany obrazów, była możliwa dzięki zamontowanej podczas remontu scenie obrotowej. Scenografia utrzymana w bieli i delikatnych szarościach nie nachalnie towarzyszyła akcji i bohaterom ubranym w jednoznacznie określające ich charaktery kostiumy. Kolory lateksowych długich płaszczy przypisane konkretnym postaciom mówiły dobitnie: płaszcz czarny należy do

czarnego charakteru, czyli Don Giovanniego, biały – do jego sługi Leporella, czerwony był przypisany drapieżnej Donnie Elwirze, a niebieski określał niezdeterminowanego Don Ottavia i towarzyszącą mu Donnę Annę. Zielony kolor należał do wieśniaków. Z kolei pojawiającemu się (i ginącemu, a następnie odradzającemu się pod postacią kamienną figurę) Komandorowi przynależna była gama kolorów błotnisto-szarych. Przemiany bohaterów, ich nowe wcielenia symbolizowały przemiany strojów – np. „biały”, zdawałoby się niewinny, Leporello okazywał się również postacią niezbyt krystaliczną, wobec czego mieszały się stroje i białe i czarne. „Krwista” Donna Anna, jak i inne postaci dramato-komedii w efekcie skończyły przedstawienie w czarnych kolorach. Nie było jednoznacznie pozytywnych i negatywnych postaci, „świętych” nietykalnych kobiet i upudrowanych młodzieńców, dla których zdobycie kolejnej kobiety było jednym wielkim żartem. Wulgarny chwilami Don Giovanni był nie tylko czarnym charakterem, ale kiedy zrzucając czarny płaszcz bywał również skłonny do wynurzeń i refleksji mężczyzną. Na bujających kanapach, niczym orientalni baszowie zarówno główny sprawca zamieszania, jak i jego przyboczny (chętnie naśladujący swego pana) dokonywali swego rodzaju rachunku sumienia, lecz nieskutecznie, bo nie straszna była im nawet wizja pochłonięcia przez piekielne czeluście i... zamordowanie (może umierającego nazbyt realistycznie, ale chyba na miarę nieco przystępowanej przez współczesne kino wrażliwości) Komandora. Tak więc *Don Giovanni* Michała Znanieckiego stał się nie tylko przypowieścią o złamanych sercach, ale o sercach kamiennych, bezwzględnych, poniżających, prymitywnych instynktach, naiwności i wyrachowaniu właściwymu obydwu stronom konfliktu.

Jeśli do tych wywołujących olbrzymie wrażenie efektów wizualnych dodać wspinał wyreżyserowane przez Ewę Garniec światło i projekcje video Stanisława Zaleskiego (nie po raz pierwszy uczestniczącego w realizacji spektaklu w Operze Śląskiej) widać, że *Don Giovanni* Michała Znanieckiego jest przedstawieniem perfekcyjnym, o doskonałe wyważonych proporcjach tego co historyczne z tym co nowoczesne, zachwyca konceptem i rozmachem (reżyser pokazał odmienne podejście do dzieła Mozarta od tego, jakiemu hołdował przed laty Wiesław Ochman).

Lecz to tylko jedna strona spektaklu – wrażenia wizualne. Pozostaje ta część najważniejsza – wokally-muzyczna. Pełna pięknych arii opera wymagała również pięknych głosów i aktorskich wykonawców. Wszystkiemu podołali z najwyższym kunsztem wykonawcy, a byli to m.in. w rolach męskich Stanisław Kufluk (baryton) jako Don Giovanni, który zamiast mozartowskiego bawidamka stworzył postać niebagatelną, silną, bezwzględna i nieco perwersyjną, także Bartosz Urbanowicz kreujący postać Leporella, fascynujący swoim głosem i aktorską sprawnością, uwielbiany przez publiczność Andrzej Lampert (Don Ottavio), który dał tenorowy popis wokalny i oczywiście umiejętności aktorskich. Zachwycali także pozostali wykonawcy: Bartłomiej Kos (Masetto) i Grzegorz Szostak (Komandor).

Partie kobiece kreowały znakomite solistki: Aleksandra Orłowska (Donna Elwira) – sopranowa perła tego przedstawienia, energetyczna i zdecydowana, Kamila Dutkowska w partii Donny Anny czy Monika Korybalska jako zmienna i łasa na bogactwo Zerlina.

Dla całości przedstawienia ogromne znaczenie miał chór, który był nie tylko komentatorem toczących się wypadków, ale aktywnie włączał się w akcję. Wielką w tym zasługą kierownik zespołu Krystyny Krzyżanowskiej-Łobody. Wspaniałe doznania muzyczne wspierała orkiestra Opery Śląskiej pod dyрекcją Tomasza Tokarczyka, który objął kierownictwo muzyczne spektaklu oraz realizującą *basso continuo* Larisa Czaban. Spektakl nie mógł się obyć bez zespołu baletowego przygotowanego przez Grzegorza Pajdzika.

Dodać trzeba, że premiera opery *Don Giovanni* Mozarta odbyła się w ramach 770-lecia Miasta Bytom. ■

Wolfgang Amadeusz Mozart: *Don Giovanni*, opera w 2 aktach. Libretto: Lorenzo Da Ponte. Kierownictwo muzyczne: Tomasz Tokarczyk, inscenizacja i reżyseria: Michał Znaniecki, scenografia: Luigi Scoglio, kostiumy: Małgorzata Słoniowska, choreografia: Inga Pilchowska, reżyseria światła: Ewa Garniec, projekcje: Stanisław Zaleski. Premiera na scenie Opery Śląskiej: 8 czerwca 2024 r.





Maja Golec, Iwona Loranc, Katarzyna Polewany



Roman Frankl i Alicja Majewska

Swing otworzył drogę do wolności

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Życie Marii Koterbskiej (1924–2021) nie było bynajmniej usłane różami, jak próbują przekonywać niektórzy z jej współczesnych biografów. W okresie powojennym miała niemało trosk i kłopotów. Jej brat Kazimierz siedział w więzieniu za wojenną przynależność do Armii Krajowej, a ówczesne kierownictwo Polskiego Radia wydało jej kategoryczny zakaz nagrywania piosenek utrzymanych w konwencji swingu. Amerykańskie fascynacje muzyczne artystki bardzo drażniły komunistycznych decydentów.

O ciemnych stronach życia Mamy w niełatwych czasach tzw. Polski Ludowej opowiadał m.in. jej syn Roman Frankl, który z powodzeniem wcielił się w rolę gospodarza okolicznościowego koncertu zorganizowanego w Bielsku-Białej w dniu setnych urodzin Damy Polskiej Piosenki. Plenerowa impreza na śródmiejskim placu w sobotni wieczór, 13 lipca 2024 roku, zgromadziła niezliczoną rzeszę mieszkańców stolicy Podbeskidzia oraz wielu osób przyjezdnych. Muzyczne spotkanie z nieśmiertelnymi przebojami Koterbskiej zatytułowano *Królowa swingu*. Koncert doszedł do skutku dzięki staraniom Bielskiego Centrum Kultury, noszącego od trzech lat imię artystki.

Amerykańskie upodobania piosenkarki
Wybitna piosenkarka urodzona w Białej Krakowskiej (wtedy jeszcze nie istniało miasto o nazwie Bielsko-Biała) była związana przez całe życie ze swoją rodzinną miejscowością. Nie skorzystała nigdy z żadnej oferty przeprowadzki do jakiegokolwiek z wielkich metropolii. Nie zmieniła też nigdy swoich upodobań artystycznych. Była trwale zauroczona muzyką amerykańską. – „Ella Fitzgerald i Frank Sinatra to mój chleb powszedni” – opowiadała wszystkim, którzy chcieli jej słuchać.

Do tych słów odniósł się jej syn, który stwierdził podczas jubileuszowego koncertu: – „Mama znacząco przyczyniła się do zerwania komunistycznych kajdan. Pełne swingu piosenki w jej wykonaniu rozpoczęły drogę do wolności” – powiedział Frankl do publiczności. Utwory z repertuaru Koterbskiej, stanowiącej bez wątpienia muzyczny symbol wizerunkowy Bielska-Białej, rozbrzmiewały w zupełnie nowych aranżacjach. Śpiewającym artystom towarzyszyła orkiestra pod kierownictwem skrzypka i kompozytora – Krzysztofa Maciejowskiego.



for Agata Rucińska

Goście z różnych zakątków kraju

Na uwagę zasługiwała spora rozpiętość wieku aktorów, muzyków i wokalistów, którzy przypomnieli w letni wieczór słynne piosenki z bogatego dorobku polskiej „królowej swingu”. Najmłodsza z zaproszonych do udziału w koncercie osób miała 21 lat (Maja Golec, córka Pawła Golca ze znanego zespołu folk-rockowego z Milówki), a najstarszy z grających i śpiewających gości liczył sobie aż 85 lat (Czesław Majewski, pianista, kompozytor, artysta kabaretowy).

Koncert był w całości rejestrowany przez ekipę z TVP2. Znalazł się potem w programie telewizyjnej „dwójki” w przedostatnią niedzielę lipca. Było to w pełni zrozumiałe. Postać Marii Koterbskiej nie ma i nigdy w przeszłości nie miała przecież tylko lokalnego charakteru. Od lat jest ona znana i ceniowana w całym kraju, choćby za sprawą popularnych piosenek o wrocławskich tramwajach czy augustowskich nocach.

Koterbska na telebimach

Pulsująca swingiem impreza nie przeistoczyła się na szczęście w banalną „akademię ku czci”. Nie była to też stereotypowa składanka estradowa wybranych szlagierów. Scenarzyści koncertu przewidzieli różne atrakcje – barwne wspomnienia o artystce, zabawne anegdoty z jej życia oraz projekcje dawnych wywiadów telewizyjnych z Koterbską na telebimach ustawionych z dwóch stron potężnej estrady. Najciekawsze były chyba rozmowy młodzieńczej Bożeny Walter ze sławną już wówczas piosenkarką.

Nie zabrakło największych hitów Koterbskiej. Rozbrzmiewały m.in. dźwięki *Augu-*

stowskich nocy, Karuzeli, Parasolek, Wrocławskiej piosenki. Rozśpiewana publiczność nuciła wraz z artystami refreny melodyjnych utworów: *Brzydula i rudzielec, Do grającej szafy grosik wrzuc, O tak, w Polskę idź, Serduszek puka w rytmie cha-cha*. Śpiewali je m.in. Roman Frankl, a także Anna Dereszowska, Iwona Loranc, Alicja Majewska (w asyście wybornego pianisty i kompozytora – Włodzimierza Korcza), Kasia Moś, Katarzyna Polewany. Najbardziej dynamiczny charakter miały bezspornie występy trzech wokalistek – Mai Golec, Iwony Loranc i Kasi Moś.

Ponownym odkryciem estradowym była dla mnie 31-letnia Katarzyna Polewany. Niedługo debiutowała jako utalentowana wokalistka 16-latką w dynamicznym spektaklu „High school musical” na deskach Gliwickiego Teatru Muzycznego. Została wtedy wyłoniona – wraz z innymi – w drodze ogólnopolskiego castingu. Już wówczas wykazywała oczywiste predyspozycje artystyczne. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Przed ośmioma laty uśmiercono bezlitośnie scenę muzyczną w Gliwicach, a dawna nastolatka przeobraziła się w dość atrakcyjną gwiazdę estrady, po ukończeniu studiów na Wydziale Aktorskim Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie.

Trzeba obiektywnie przyznać, że trwający ponad dwie godziny plenerowy koncert był wyjątkowo udany. Widzowie nagrodzili wykonawców długotrwałą owacją, a artyści spontanicznie zrewanżowali się im na koniec zbiorową interpretacją piosenki *O tak, w Polskę idź*. Wracający do domów po imprezie bielszczanie nucili w nocy wiele niezapomnianych melodii wylansowanych niegdyś przez Marię Koterbską.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Słowotwórcza produktywność wrażania

Jedna z moich tarnogórskich krajanek ukazała niedawno w telewizyjnym „Słowniku polsko@polskim” niezwykłą w mowie śląskiej produktywność czasownika *wrazić*, kontrastującą pod tym względem z językiem ogólnym, w którym – w znaczeniu „siłą umieścić coś w czymś; wepchnąć, wbić”, „wpoić, wszczepić coś komuś” – jest on używany już nader rzadko i dlatego współczesne leksykony słusznie opatrują go stylistycznym kwalifikatorem książkowości czy okazjonalnej ekspresywności (*wrazić koniowi bok w ostrogi, wrazić coś w pamięć* – „zmusić do zapamiętania czegoś”).

Za to bez trudu znajdujemy *wrażanie* w tekstach dawnych: „Strzały twoje wrażony są w mię” (Psałterz puławski z XV/XVI w.), „Ja mu sam wrażę miecz w serce zuchwałę” Piotr Kochanowski 1566–1620), „Diabeł tego Focjusza na tę stolicę wraził” Piotr Skarga 1536–1612), „Żem się tu wraził, podobnom co pilnego w rozmowach przekaził” Mikołaj Rej 1505–1569).

No a już w polszczyźnie śląskiej czasownik *wrazić* i urobione od niego derywaty – powtórzymy – odznaczają się do dziś wyjątkową wręcz produktywnością.

Oczywiście, najczęściej używana jest forma podstawowa, współwystępująca z wariantami *wrażyć* i *wrażować*: „Kaj żeś wraził te pazury – dyc mi sie

łoparzisz!”, „Musiałach to kajś wrażyć”, „Wiele razy bydziesz wrażowała tyn bajtlik do taśki?” (Bożena Częstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, s. 285).

Ale niewiele mniej produktywny są derywaty od *wrazić*, zarejestrowane przez przywołany słownik trojga autorów na s. 285 i 286: przymiotniki *wrażicki* i *wrażidlaty* o znaczeniu „wścibski, ciekawski, wtykający nos nie w swoje sprawy, wszędobylski”, także „dokuczliwy” („Ta baba jest tako wrażicko, wrażo sie do kożdyj sprawy”, „I tyn ch(ł)op miał tako wrażidlato baba”, „Wrażidlate ludzie zawdy chcóm ło wszystkim wiedzieć”, „Te wrażickie dzieciśka mi tak wyrzondzają, że niy poradza ś niymi wytrzymać”), rzeczowniki osobowe *wrazipyrtek*, *wrażipyrtek*, *wrażitek*, *wražitko* – „człowiek wścibski, ciekawski” („Łón wszyńdzie musi swój nos wrażyć, pierziński wrazipyrtek”, „Z niego to taki wrażitek”, „Niy godej mu nigdy wszystkiego, bo ón je taki wražitko”) oraz czasowniki *wrażać sie*, *wrożać sie*, *wrołzać sie*, *wrożać sie*, *wrażować sie*, *wrażować sie* – „wtrącać się do czegoś” („Teściowo jim sie durś wrożala w jejich sprawy”, „Ty sie tam lepij nie wrażuj do tyj familije”, „Do dzieci sie niy ma co wrażować, bo óny sie same pogodzóm”).

Do tego rejestru dodajmy jeszcze jeden rzeczownik oso-

bowy, przywołany przez telewizjkę z Tarnowskich Gór, a mianowicie *wrażidloka* („Ty, wrażidloku, kaj zaś tam pazury styrkosz! Chcesz, żeby cie pokopało?!”). Wykorzystywany on jest, jak widzę w internecie, również jako nazwa paru lokali gastronomicznych i stowarzyszenia zrzeszającego ludzi zafascynowanych Górnym Śląskiem. Ten ostatni pomysł nazewniczy podoba mi się szczególnie!

Powiedzmy wreszcie i to, że tak jak wielka jest produktywność słowotwórcza *wrażania*, zasygnalizowana w tytule niniejszego artykułu i potwierdzona licznymi przykładami, tak i bardzo rozbudowana jest rodzina wyrazowa, do której ta forma należy. Tworzą ją powszechnie używane słowa, takie jak *raz*, *razić*, *porazić*, *porażka*, *obraz*, *obraza*, *uraza*, *obrazić*, *urazić*, *obrażliwy*, *odraza*, *narazić się*, *przerazić*, *zaraza*, *zarazić*, *zaraźliwy*, *zrazy*, *razem*, *wraz*, *naraz*, *teraz* (z dawn. *tenraz*), *nie-raz*, *coraz*, *zaraz*, *zrazu*, *dorażny*. Wszystkie one zaś wiodą do prasłowiańskiej postaci *raz* – „cięcie, uderzenie, cios, sztych”, a była to pierwotnie nazwa czynności od prasłowiańskiego czasownika *reza-ti* „ciąć, rżnąć, przecinać, naciąć” (por. *rzezać*), z wymianą samogłoski rdzennej „e” na „a” (Wiesław Boryś: „Słownik etymologiczny języka polskiego”, Kraków 2005, s. 511). ■

Śląski dowcip antyhitlerowski

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Czas wojny zawsze znajdował swoje odzwierciedlenie w folklorze. Zwłaszcza w pieśniach (nie tylko bojowych, ale również żałobnych), opowieściach ludowych, wreszcie w dowcipach. One zaś ośmieszały wrogów. Tak było i jest. Dowcipy często były dodatkowo inspirowane przez elity, przez konkretne ośrodki polityczne. Zauważmy, że przecież i teraz na terenie krwawiącej Ukrainy, o tragedii której coraz częściej zapominamy, ten rodzaj bujnie się rozwija. Przykładem dowcip o spotkaniu Włodzimierza Putina z ministrem Siergiejem Szojgu. W wersji obecnej, w powszechnym przekazywaniu jest w taki sposób: „Prezydent pyta: Siergiej, dlaczego wycofujemy się z Chersonia? A minister odpowiada: Kochany prezydencie przecież sam wydałeś rozkaz, żeby wyzwolić Ukrainę z rąk wszystkich faszystów i nazistów. I to robimy”. Ale ponieważ jest wrzesień to oczywiście my Polacy mamy skojarzenie z II wojną światową. Mamy? Na pewno. Wtedy Europę ogarnęły dowcipy antyhitlerowskie. Były obecne także na ziemiach polskich, w tym na obszarze Górnego Śląska, czyli wówczas ziemiach okupowanych przez III Rzeszę. U nas ich rodowód był różny, bo albo był wytworem samorodnej twórczości ludności rodzimej, albo też był efektem inspiracji zewnętrznej, zorganizowanej przez Armię Krajową i konkretne jej agendy.

W tym przypadku odwołać się należy do akcji referatu N, w tym do Akcji N. Jego działalność polegała na oryginalnej walce psychologicznej z Niemcami. Wydawano zatem pisma i ulotki w języku niemieckim, które miały wywoływać u Niemców wrażenie, że są efektem działalności grup antyhitlerowskich. A kiedyś płk Józef Słaboszewski, ps. Toruń (wybitna postać, żołnierz AK) mówił mi o tym, że w tym zakresie również tworzone dowcipy antyhi-

tlerskie, ale już w języku polskim. Jak mówił: „ku pokrzepieniu serc”. Czyli tworzono swoistą wspólnotę śmiechu. I tu trzeba się odwołać – ale w szerszej perspektywie – do socjologa prof. Kazimierza Żygulskiego i jego pracy o komizmie. Wprowadza on własne pojęcie „wspólnoty śmiechu”. To właśnie ona jest swoistym spoiwem łączącym i wzmacniającym relacje w grupie społecznej. Śmiech odzwierciedla panujące w grupie poglądy, nastroje, ale także system aksjologiczny, normy kulturowe.

Przejdźmy już do wspomnianych realiów górnośląskich. Okazuje się, że dowcipy antyhitlerowskie funkcjonowały na tym terenie już przed wybuchem wojny. Oto przykład: „Erwin, rodem z Chebzia, jedzie do kolegi Ericha, mieszkającego w Essen. Jak do niego przyjechał, zaraz go pyta, jak wam teraz w tyj waszyj III Rzeszy leci. A Erich na to: Po prowadzie godom. Nic a nic nie mogą złego pedzieć, nie możemy narzykać”. A kiedy już wybuchła wojna, niektóre dowcipy relacjonowały prawdziwe zachowania Górnoślązaków. Zapanowała niemiecka administracja i do urzędu została wezwana mieszkanka ówczesnej wsi Piotrowice, obecnie dzielnicy Katowic. „Ta kobieta z urzędu godo, coby zapłacić podatek łód ziemi do końca 1940 roku, a nie yno za pierwsze półrocze. A ta baba godo jeji na to: O Ty mój Pon Bocku. To wy tu jeszcze myślicie tak dugo być?”. Kolejny dowcip. „Roz jedyn chop godo do swojego sąsiada, co to naroz mu pizło na łeb i uważo się za jakiegoś lepszego: Wysz ty co. Tyś nie jest żodyn kulturtreger ino hosentreger”.

A kiedy w pewnym momencie pojawiły się na omawianym obszarze kłopoty z dostawami żywności, pojawił się dowcip funkcjonujący już w latach międzywojnia:

- A coś taki bład?
- A to z marmolady.
- A coś taki siny?
- A to z margaryny.

Dowcipy uległy zaostrzeniu po wkroczeniu wojsk niemieckich do Związku Sowieckiego, czyli – „diabelskich najduchów do bezbożników”. Nastąpił czas przerażenia, strachu i obawy o najbliższych. Wszelka nadzieja umierała. Ale wtedy pojawił się następujący tekst. Swoista zgadywanka: „Jaka jest różnica między słońcem a Hitlerem. Wielko, wielko. Bo słońce chowo sie na zachodzie, a Hitler skończy sie na wschodzie”. Hitler choć wzbudzał strach to jednak pojawiał się w ludowym dowcipie i podlegał ośmieszeniu. „Antek pyto swojego kamrata, czy to prowa-da jest, że te Niemcy chcom snieść stopień frajtra. A tamten pado, że to niemożliwe. A Antek: Śniesom, bo sie bojom, że juzaś komuś takemu chce sie zostać Führer und Reichskanzler”. Jakże zastanawiający i intrygujący jest natomiast tekst zanotowany przez znakomitego folklorystę prof. Adolfa Dygacza:

„Hitlerami uorać
Göringami włóczyć
Trzeba takich rabośników
Roboty nauczyć
Żeby pamientali
Co ludzkie stworzenie”.

Folklorysta komentując ten tekst, odniósł go do ludowej koncepcji kary, której – jak pisał – „nie zwalnawoży śmierć przestępcy, lecz zmuszenie go do prostej, uczciwej pracy”.

A kiedy Niemcy ponosili klęski na froncie wschodnim, po Stalingradzie i Kursku, pojawił się między innymi taki dowcip: „Czymu łoni nom durch kazujom kopac te doły? Przeciwno ruskim tankom? Kamrat mu łodpowiado: Aleś ty gupielok, dyć łoni Polski Podziemnyj szukajom”. Wtedy też napis na schronach LSR (Luftschutzraum) tłumaczono już inaczej, czyli „Lerne schnell russisch”, czyli „ucz się szybko rosyjskiego”. A z czasem NSDAP tłumaczono jako „Nasi są daleko, ale przyjdą”, a NSDAP czytane wspak, jako „Pieronie Adolf dej Slonsk nazod”. Pamiętajmy. Taki był również nasz region.

Realizm grecki

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I
12 września 490 roku p.n.e. Grecy pokonali Persów pod Maratonem. Ocalili Zachód przed wschodnią despotią. Pierwszy wielki wódz, o którym czytał kiedyś, w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, uczeń szkoły średniej, to Miltiades – niemal legendarny zwycięzca właśnie spod Maratonu. Jakoś nie zaznaczono specjalnie w podręcznikach, że ów pogromca Persów wcześniej był tyranem jednego z greckich miast w Jonii, a potem walczył w szeregach armii perskiego Króla Królów. Miltiades pozostał dla uczącej się młodzieży bohaterem jednego, to prawda – wielkiego, epizodu historii. Dalsze losy Miltiadesa również zdają się tonąć w pomroce nauczanych w szkole dziejów. Nie tylko dlatego, że nie były tak spektakularne, jak tryumf pod Maratonem, za który wdzięczni Ateńczycy wystawili mu posąg. Oto na fali zwycięstwa nad Persami popularny wódz zaproponował bowiem, by jego rodacy ukarali sprzyjającą najeźdźcy wyspę Paros, co miało – dodatkowo – przynieść Atenom materialne profity. Najazd na Paros zakończył się jednak klęską Ateńczyków. Ci nie mieli dla niedawnego idola litości – Miltiades wyładował w więzieniu, gdzie zmarł.

II
W tym samym czasie (połowa lat siedemdziesiątych, w PRL-u) na lekcjach języka polskiego omawiano Antygonę Sofoklesa. Celem było, jak należy rozumieć, pokazanie uczniom i uczennicom istoty problemów i dylematów moralnych, niemniej z wyeksponowanym heroizmem Antygony w tle. Sugerowanym jako pożądanym wzór postępowania. I dobrze. Ale może równie ciekawym byłby do rozpatrzenia inny przypadek – z tego samego okresu greckiej historii. Idzie o Temistoklesa – zwycięzcę spod Salamin (480 p.n.e.). Ale nie tylko tym zapisał się on w dziejach. To wreszcie jego projekt – uczynienia z Aten potęgi morskiej – stał się później fundamentem polityki, która stała u podstaw strategii Peryklesa w wojnie ze Spartą.

III
Pisze Tukidydes: „Ateńczycy, natychmiast po wycofaniu się Persów z Attyki [...] przygotowali się do odbudowy miasta i murów [...] Lacedemończycy zaś dowiedziawszy się o tych pla-

nach przybyli w poselstwie do Aten; chętnie by bowiem widzieli, żeby ani oni sami, ani nikt inny nie miał murów. Popierała ich w tym większa część sprzymierzeńców z obawy przed silną liczebnie flotą ateńską, która przedtem nie istniała, i przed odwagą Ateńczyków okazaną podczas wojny z Persami. Posłowie wzywali Ateńczyków, żeby nie stawiali murów, ale raczej wspólnie z Lacedemończykami zniszczyli mury wszystkich innych miast poza obrębem Peloponezu. Posłowie nie wyjawiali swych właściwych intencji i podejrzeń wobec Ateńczyków; jako argument podawali, że nie chcą, aby Persowie w razie ponownego najazdu znaleźli punkty oparcia dla swych wypadów tak jak ostatnio w Tebach, i twierdzili, że wszyscy Grecy znajdą dostateczne schronienie na Peloponezie. Ateńczycy za namową Temistoklesa odpowiedzieli Lacedemończykom, że sami wyślą poselstwo do nich w tej sprawie, i szybko odprawili posłów lacedemońskich; Temistokles zaś doradził im, żeby jego samego jak najszybciej wyprawili do Lacedemonu, innych zaś posłów, którzy mieli mu towarzyszyć, nie tak prędko, lecz żeby zatrzymali ich do chwili, aż wzniosą mur do takiej wysokości, która pozwoli na obronę przed atakiem; wszyscy zaś bez wyjątku obywatele, mężczyźni, kobiety i dzieci mieli zająć się budową muru nie oszczędzając, jeśli będzie trzeba, ani prywatnego, ani publicznego budynku, burząc wszystko bez różnicy. Podawasy te wskazówki i przyrzekłszy, że resztę sam załatwi w Lacedemonie, odjechał. Po przybyciu do Lacedemonu nie udał się od razu do władz, lecz zwlekał pod rozmaitymi pozorami. Ilekroć zaś któryś z lacedemońskich urzędników zapytywał, dlaczego nie pojawia się przed zgromadzeniem lacedemońskim, odpowiadał, że czeka na swych towarzyszy, że pozostali oni w domu z powodu jakiegoś zajęcia, ale spodziewa się ich lada chwila i dziwi się, że dotąd nie przybyli. Oni zaś słuchając tych słów wierzyli Temistoklesowi, gdyż go lubili. Kiedy jednakowoż rozmawiający przybył twierdzili z całą pewnością, że w Atenach buduje się mur i że osiągnął on już pewną wysokość, nie mogli temu nie wierzyć. Dowiedział się o tym Temistokles i radził

Lacedemończykom, żeby słowom nie dawali wiary, lecz raczej wysłali spośród siebie do Aten ludzi poważnych, którzy obejrzawszy rzecz na miejscu złożą im wiarygodną relację. Wysyłają ich więc, a Temistokles potajemnie zaleca Ateńczykom zatrzymać u siebie posłów lacedemońskich w sposób jak najmniej zwracający uwagę i nie wypuszczać ich wcześniej, aż posłowie ateńscy nie powrócą z Lacedemonu. Bał się bowiem, że Lacedemończycy dowiedziawszy się całej prawdy nie wypuszczą ich już z powrotem. Ateńczycy więc zgodnie z zaleceniem zatrzymali posłów, Temistokles zaś wystąpiwszy przed Lacedemończykami oświadczył otwarcie, że Ateny zostały już obwarowane i mury potrafią zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom; jeżeli zaś Lacedemończycy albo sprzymierzeńcy pragną wysłać w przyszłości poselstwo do Aten, niechaj wiedzą, że mają do czynienia z narodem, który dobrze umie ocenić, co jest korzystne dla niego samego i dla wspólnej sprawy wszystkich Hellenów”.

Aha, za czas jakiś oskarżony o spiskowanie przeciw demokracji Temistokles schronił się... w Persji. Mógł powołać się na pewną przysługę, którą oddał Królowi Królów... pod Salaminą. Czy rzeczywiście tak było? No cóż, Kserkses był pewnie lepiej od nas poinformowany. A Temistoklesa nie tylko ugościł, ale na resztę życia dobrze zaopatrzył – w chleb i wino. I wiele innych potrzebnych do dostatecznego życia rzeczy. Historia, jak widać, z rzadka bywa jednoznaczna.

IV
Budowę tzw. Długich Murów kontynuował w połowie V wieku p.n.e. Kimon. Ten konserwatysta (zwolennik sojuszu ze Spartą i polityki antyperskiej) i – co warto podkreślić – przeciwnik polityczny zarówno Temistoklesa, jak i – czło-wieka, który miał później pchnąć Ateny do wojny ze Spartą – Peryklesa, czynami kontynuował idee pierwszego z nich, jednocześnie stwarzając podwaliny pod strategię przewidywanej wojny z Lacedemonem opracowaną przez drugiego. Po wybudowaniu muru do portu w Pireusie, Ateny stały się twierdzą nie do zdobycia. Scena, na której rozgrywać się będzie największy konflikt świata Greków, tzn. wojna peloponeska, była tym samym przygotowana. ■

Pola i Marcin

TOMASZ SŁUPIK

Czy w polityce ważne są intencje? W pewnych okolicznościach tak, w innych zdecydowanie nie. Za chwilę rozwinę ten wątek. Na początek jednak, chciałem się z Państwem podzielić interpretacją pewnego – moim zdaniem ważnego – zdarzenia politycznego, które przez większość społeczeństwa zostało niezauważone, właściwie przeszło bez echa. W wydarzeniu wzięli udział dwaj protagoniści, a właściwie protagonistka i protagonista. Ona nazywa się Pola i reprezentuje, jak na polskie warunki radykalnie lewicową partię, która w warunkach europejskich byłaby socjaldemokracją w stylu retro. On zaś, dziarski młodzieniec, nazywa się Marcin i reprezentuje formację narodowo-populistyczną, do niedawna rządzącą w Polsce. Pewnego czerwcowego poranka w mediach społecznościowych gruchnęła wieść, że nasi bohaterowie zakładają stowarzyszenie „Tak dla rozwoju”, które w sprawach dla Polski najważniejszych ma wychodzić poza plemienną wojnę polsko-polską, dla dobra każdego obywatela i obywatelki pięknego kraju nad Odrą i Wisłą bez wyjątku. Decyzja z obu stron odważna, choć oczywiście, jak w przypadku polityków, niepozbawiona osobistych, a może i bardziej dalekowzrocznych kalkulacji. Interesuje Państwa, co się stało, jakie były reakcje? Otóż absolutnie do przewidzenia. Polska podzielona, w tej sprawie podzieliła się jeszcze bardziej. Szczególnie na Polę spadła fala hejtu i oskarżeń, że jest naiwną gąską, którą poźre doświadczony politycznie narodowo-populistyczny wilk. Chcecie budować CPK, elektrownię atomową, reformować edukację czy służbę zdrowia ponad politycznymi podziałami? Toż to błąd. A w polityce błąd to więcej niż zbrodnia. Przecież co najmniej od dwóch dekad wszystko istotne, a czasami zupełnie nieważne, co się dzieje, musi mieć polityczny stempel i certyfikat – wykute w ogniu wojny polsko-polskiej. Marcin i Pola na początku nie traciли rezonu, tłumaczyli politycznym kibicom, że inna polityka jest możliwa, że są sprawy ponad politycznymi podziałami. Na nic się zdało zaklinanie przez nich rzeczywistości. Reakcja politycznych patronów była zgoła inna. Pola została skarcona przez najwyższe

partyjne gremia i rozpoczęto przeciwko niej postępowanie dyscyplinarne. W drugiej partii reakcja na zachowanie Marcina była zgoła inna, coś pomiędzy rozbawieniem a podszytym pewną dozą litości niedowierzaniem. Dla jasności warto dodać, że Marcin wcześniej był pełnomocnikiem ds. budowy CPK i spółka, którą zarządzał, wydała kilkaset milionów złotych na przygotowanie tego projektu. Powstaje pytanie, czy wydała je zgodnie ze sztuką? Pewnie niedługo znajdziemy na nie odpowiedź. I tu właśnie wkradła się polityka przez małe „p.” Marcinowi. Pola z tej perspektywy była potrzebna do wyjścia poza partyjne opłotki i przy okazji odwrócenia uwagi od formułowanych pod jego adresem oskarżeń o niewłaściwe gospodarowanie publicznym groszem. Patrząc na krótkotrwały efekt wizerunkowy, ta sztuka mu się udała.

Zapytaj Państwo, co z tego będzie miała Pola, poza kłopotami i postępowaniem dyscyplinarnym w strukturach partii-matki. Jak dość dawno temu celnie zauważył Machiavelli, niczego bardziej nie pragnie polityk, jak chwały. Przykład Medyceuszy zamyka usta wszelkiej maści niedowiarcom. Nic tak bardzo nie porusza wyobraźni polityka, jak jego imię i nazwisko wymieniane jednym tchem z elektrownią atomową, koleją dużych prędkości czy CPK. Pola i Marcin, jak każdy polityk/polityczka, noszą buławę nieśmiertelnej chwały w politycznym plecaku. Czy ona się materializuje, jest kwestią otwartą. Na razie oprócz wywołania dreszczyku emocji wśród komentariatu i rytualnych pomruków wyselekcjonowanych przedstawicieli politycznych plemion nie osiągnęli nic. Zatem jak widać w sferze politycznej intencje są ważne, jednak w odwrotności do przestrzeni prawa, gdzie chcącemu nie dzieje się krzywda, w polityce można – stosując tę regułę – nabić sobie w najlepszym wypadku wielkiego guza, w najgorszym trwale z niej wypaść.

Historia Poli i Marcina jest niezwykle pouczająca w wielu wymiarach. Bo przełamywanie, wydawać by się mogło, barier nie do przełamania jest domeną polityki i jeżeli uda nam się to zrobić, na trwałe przechodzimy do historii. Willy Brandt, klęczący przed Po-

mnikiem Bohaterów Warszawskiego Getta, czy polscy biskupi wybaczący i proszący o wybaczenie biskupów niemieckich są tego najlepszymi przykładami. To, że w polityce pragnie się wielkości jest czymś tak oczywistym, jak ziemia krążącą wokół słońca. Jednak wielkość od śmieszności dzieli tylko jeden krok, o czym boleśnie przekonał się bohater polskiej wolności Lech Wałęsa. To, że w polityce jedni wykorzystują innych dla osiągnięcia swoich celów, jest czymś więcej niż tylko wysławiechanym sloganem.

Czy opisana historia stanie się tylko jedną z wielu, z jakimi w polskiej polityce, czy polityce w ogóle mieliśmy niezliczoną ilość razy do czynienia – czas pokaże. Jednak oprócz tej historii i jej wartości fabularno-melodramatycznej dużo więcej możemy dowiedzieć się z niej o sobie samych. O naszej naiwności, jak również fanatyzmie, często podsycanym przez polityków, którzy znakomicie wykorzystują uzyskaną w ten sposób energię do zasilania swojej piekielnej maszyny nienawiści i podziałów. Nie dziwi brak reakcji głównych graczy polskiej polityki, bo ta dodałaby tylko inicjatywie ważności. A może przykład stałby się zaraźliwy i trzeba byłoby się bardziej wysilić, niż tylko od czasu do czasu przejechać prętem po kratkach politycznej klatki, w celu wyprowadzenia z równowagi przeciwnika. Na koniec spytać, czy inna polityka jest możliwa? Tak, jest możliwa. Czy w obecnych warunkach jesteśmy ją w stanie twórczo i z pożytkiem dla obywateli zmodyfikować? Nie, ponieważ najpierw trzeba zmienić warunki i reguły gry. Kiedy tak się dzieje? W sytuacjach wyjątkowych, nadzwyczajnych dokonują się przełomy i dzieją się rzeczy wielkie. Czy w marcu 1980 roku w Polsce, ktokolwiek o zdrowych zmysłach był w stanie przewidzieć, że w sierpniu w tej części Europy powstanie Solidarność – największy antykomunistyczny związek zawodowy po tej stronie żelaznej kurtyny? Na to pytanie odpowiedź jest oczywiście negatywna. Czy Pola i Marcin zwiastują przełom w polskiej polityce? Nie. Czy jest szansa na to, że może być inaczej? Oczywiście, że tak. W końcu sowa Minerwy zawsze wylatuje o zmierzchu.

Przyrost strąceń (Fragmenty)

MACIEJ MELECKI

Narastająca obcość wobec przejawów zewnętrznego świata, jego wycinkowych form i upostaciowień, bierze się z silnego rozziw, jaki poszerza wszelkie odległości pomiędzy mną a danym obiektem, który zazwyczaj jawi mi się jako szczeliniasta rozpadlina. Ta figura oddaje odbiór każdej prawie rzeczy – splekanej, rozpadającej się, rozwarstwionej. Mimo wiecznego maskowania jej wewnętrznego ubytkowania, kreującego wrażenie scalonej postaci, nieodparcie powstaje w relacji doń przekonanie o silnym oddziaływaniu pozoru, który jest efektem nieustępliwej iluzji, występującej w każdym aspekcie lub zakamarku danego odbioru tego, na co jesteśmy skazani poprzez bezpośrednią konfrontację z zenitalną niekiedy jej postacią. Iluzja jest bowiem najbardziej rozplenionym stanem percepcyjnym, służącym do nieustannego zwodzenia, prowadzącego wprost do osiągnięcia samoufudły względem swojego życia i odbioru życia cudzego, którego postrzeganie jest właściwe tylko od jednej strony – jako maskarady gestów i grymasów.

Człowiek pragnie jedynie swego dobra, które z natury jest złem. Dotyczy to każdej pojedynczej istoty wprzęgniętej w kierat społeczny, przekładający się na tryb funkcjonowania całego narodu. Powoduje to samoistną degrengoladę, wytwarzaną, na skutek takiego układu, nabywanymi – od zarania życia w zamkniętym obwodzie socjalizacji – mechanizmami dążenia do osiągnięcia tylko i wyłącznie egoistycznych celów, będących również przejawem samoobrony, jako stanu samozadowolenia lub wymiaru sublimacji *nieosiągalnego*. Natomiast strata lub poniżenie muszą być jakoś powetowane. W ten sposób samowytwarza się proces bytowania wobec innych, w którym niepoślednią rolę odgrywa poczucie skrzywdzenia wynikające najczęściej z iluzyjnego, bo będącego pochodną wyparcia, postrzegania siebie jako niezawinionego w relacjach z innymi, którzy, podług wyobrażenia, są intencjonalnymi sprawcami naszych potknięć lub braku uznania. Frustracja, jaka wyradza się na skutek takiego poodejścia, staje się przeto gnilnym podłożem, na którym zaczyna wyrastać albo chęć bezpośredniego odwetu, albo sprokrowania zagrożenia dla kogoś, kto, rzekomo, stał się jej źródłem, lub, w rzadszych przypadkach, wobec grupy czy wręcz masy. Tak obłudne postrzeganie siebie, wprost wywiedzione z narcystycznej natury, staje się załącznikiem spiskowego myślenia o świecie, którego osią rozumowania jest przekonanie, że to inni odpowiadają za to, że ze mną dzieje się złe, a nie, wszak przepelnione dobrem, moje *ja*.

Stoisz między śmietnikiem a blokiem, w rozwartym kącie swojego wieloletniego przeciążenia, utkwiony w martwej lotce chwili, spowity sinoburą aurą, która przenika ci szpik aż po najdalsze jego zakamarki, byś mógł tylko czekać na jakiś mawerw spławnego ruchu, gdzieś tam przyczajonego, za horyzontem najbliższego skreślenia wjazdowej drogi prowadzącej do tutejszego spodu. Niczego się nie żałuje, niczego nie wybacza. Szybkie ogarki zetknięcia momentów, wyskakujące niekiedy z klasera pamięciowych schowków, nawiedzają jak ospa-

ły rój, krążąc nad tobą jak nad ściernem wydalonego zamętu. Rozpękła flama przywidzenia wydobywa wyrazisty szereg postaci o zatartych rysami twarzach, przywartych do siebie wzdłuż granicznego grzbietu, biegnącego wokół ciebie, tworzącego przeto zacieśniający się krąg mar, będących w istocie widmowym pochodem, kierunkowanym zawiejami zgniłego powietrza, jakby żyło się w meandrycznym ciągu przechodniego potyknięcia się o mgielne, lecz skostniałe już progi. Płynny przerób takich znieruchomień rozszczepia się na kilka dróg, każda z nich prowadzi w osobne wnęki, gdzie dzieją się takie same przechwycenia stłumionych wybroczyń, rzutkich pretensji czy nagłych wypomnień. Kłacze tego wnętrza zaczyna usychać. Rumowisko powiększa się o kolejne nawarstwienie.

Istotą umysłowego i psychicznego zniewolenia jest uzależnienie od potrzeby nienawiści wobec każdego, kto myśli inaczej. Wytwarzanie jej za pomocą wieloletniej propagandy partyjnej w mediach państwowych, które zostały całkowicie przez rządzącą przez osiem lat partię zaanektowane, wynikało z określonej strategii rządzenia, opartej na autorytatywnym konstruowaniu władzy. Nienawiść jest bowiem stanem kompletnego zaślepienia, w którym zasadniczym elementem staje się konkretyzowanie wszelkich urojeń związanych z zagrożeniem zewnętrznym. Propaganda pisowskiego reżimu kierowała swój codzienny przekaz do swego elektoratu oparty na sfabrykowanych doniesieniach i preparowanych faktach, gdzie dominowały treści mające podsycać nienawiść do wszelkich form niezgody na partyjną dyktaturę, czym właściwie były rządy PiS-u, ażeby utrzymywać go w stanie krańcowego wzmożenia, co miało zapewniać niesłabnące poparcie dla tej partii. Hodowla takich postaw wynikała także z konieczności jak największego ograniczenia możliwości percepcji heterogenicznych zjawisk, składających się na wymiar polityczno-społecznej rzeczywistości, czemu miało służyć ich permanentne relatywizowanie, wspomagane narracjami symetrycznymi przez sprzyjających, niby niezależnych, a w istocie uwiedzionych lub podkupionych przez władzę, dziennikarzy. Tak sprofilowana mentalność wyznawców polityki PiS-u skutkowałą okazywaną butą oraz arogancją, ciasnym oglądem i nadmierną roszczeniowością, co na trwale rozkorzeniło się w ich psychice. I teraz, już po szczęśliwym odsunięciu PiS-u od władzy, osierocony ich elektorat, oszołomiony i rozjuszony, swą nienawiść przenosi na tych, którzy przywracają demokratyczną praworządność, podjudzany w dalszym ciągu przez coraz bardziej przerażonych utratą władzy przedstawicieli PiS-u. Kończy się bowiem dla nich ośmioletni okres ochronny, gdyż ewidentnie wygasa autorytarne prawo, co powoduje narastającą wizję konkretnych rozliczeń, będącą w istocie dla nich źródłem agresywnej, samoobronnej postawy. Zmierzcha ewidentnie ośmioletni czas ich brunatnej buty.

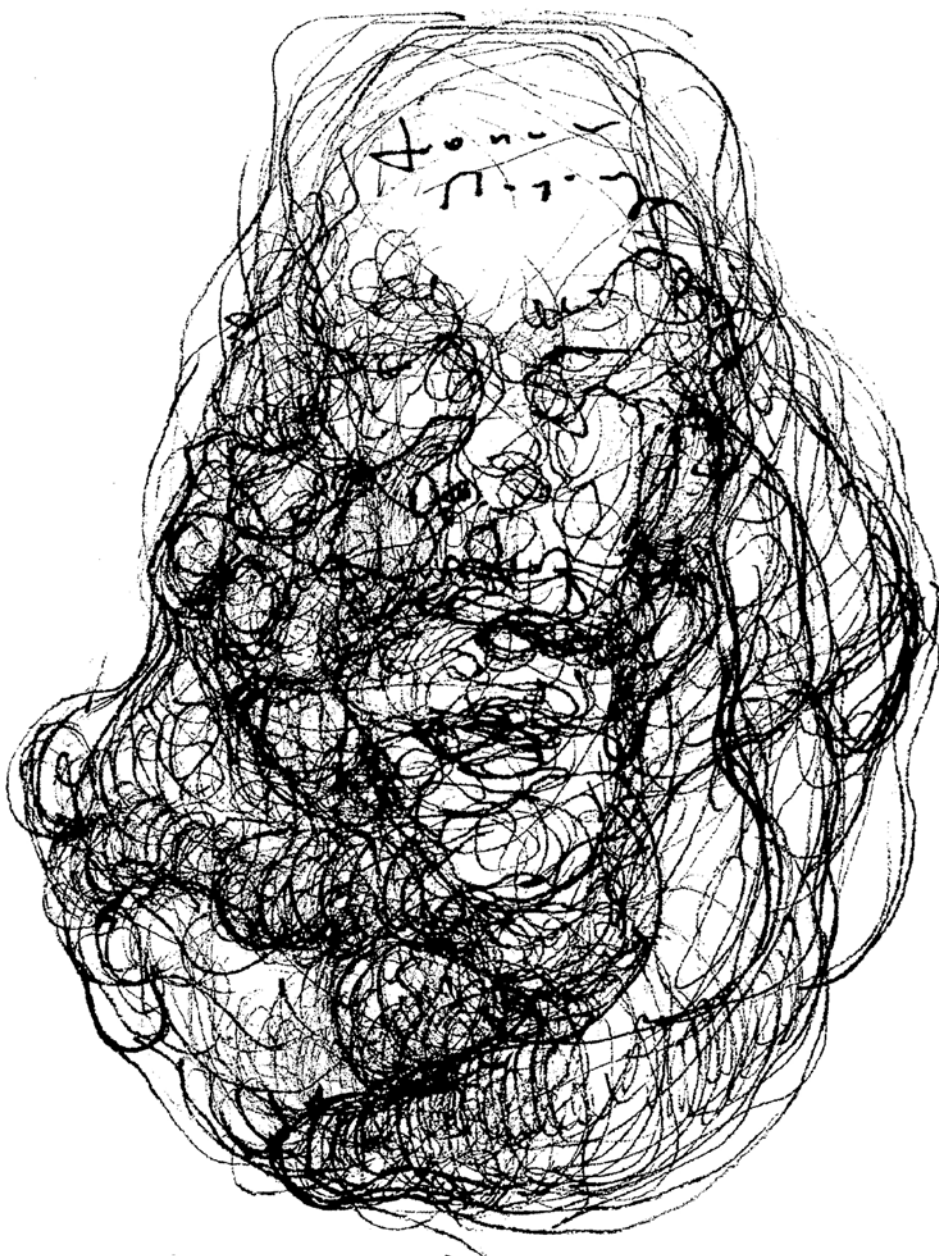
Flanki bieżącego bytowania są coraz bardziej wąskie, przeto dopływy treści wykraczających znacznie poza rutynową przyziemność zaczynają być coraz mniejsze. Zawęża się tym samym łożysko codziennego funkcjonowania, które wypełnione jest tylko sprawami bieżącymi, rugującymi najdrobniejsze nawet imaginacje nie mające z nimi nic wspólnego, stające się,

tym samym, jedyną przestrzenią zawierającą tylko tak pospolite przejawy. Wytrzebiecie innych potrzeb jest skutkiem narastającego jałowienia życia. Trauma, bóle, strach i wyczuwalna opresja skutecznie doprowadziły do spłaszczenia wszelkich wypukłości na powierzchni takiego właśnie trwania, czyniąc zeń bezbrzeżną flautę. Dlatego oczekiwania sprowadzają się tylko do osiągnięcia względnego spokoju – skasowane praktycznie są marzenia, sprowadzona do najbliższego czasu jest jakakolwiek perspektywa. Mechaniczność czynności potęguje tylko ten stan. W tym okrażeniu nie prześwitują żadne luki. Jest ono bowiem całkowicie lite. Ewidentne zmniejszenie dopływu bodźców wiąże się z wewnętrznym spustoszeniem, generującym zniechęcenie wobec nierzadko zjawiających się impulsów, potencjalnie pobudzających do większej aktywności, lecz w efekcie nie skłaniających do wytworzenia jakiejś wiązki konkretnych ruchów. Matryce codzienności, układające się w jej koryto, przywierają nas do jej podłoża, i odciskając ich mało złożone wzory na każdym geście czy odruchu, kierunkują nasz wzrastający uwiad w stronę szarego, dookólnego muru, tak byśmy czuli w każdym przejawie swobody spore ograniczenie.

Zerojedynkowe ósemki.

Człowiek jest nieustannie spłaszczany. Po krótkich przerwach względnego spokoju, nagle, raz po raz, spadają ni stąd ni zowąd na niego najrozmaitsze razy, ujawniają się ogniska bólu, atakują wirusy, a odmowy występują pod postacią ignorującego milczenia. Nawet nie roisz sobie drobnych przyjemności, nie kreślisz już nawet jakichś planów, gdyż jesteś przymuszony przez perfidne zbiegi okoliczności żyć tylko z dnia na dzień, nie mając praktycznie żadnych możliwości na ich ominięcie lub wytracenie, mając za to tylko nader skromne środki do bieżącego, coraz bardziej oszczędnego, przeżycia. Jednocześnie jesteś postrzegany jako ktoś, kto może i ma wiele. I to właśnie staje się źródłem kompletnego dysonansu, daleko idącego nieporozumienia, generującego w efekcie czystą nikczemność albo małostkową zazdrość, które to stany zaczynają przegradzać się w agresywną postawę, której to konsekwencją stają się donosy składane na ciebie, mające na celu uruchomić opresyjną procedurę, jakiej będziesz potem poddawany przez szereg miesięcy. Ograniczona mentalność poprzez swą chroniczną małość połączona z rozklekotaną psychiką oraz narastająca frustracja wywiedziona z wyższościowego poczucia skutkuje

wytwarzaniem – u osób dotkniętych tegoż rodzaju przypadłościami – szeregu obmyślanych, sublimacyjnych działań, które mają przynieść w efekcie czystą zemstę za swe, rzekome, krzywdy, jakie, wedle ich psychicznego zaburzenia, były uczynione z premedytacją przez ciebie, abyś mógł napawać się ich zgnębieniem. Posuwanie się do takich działań wydaje się, podług wiedzy o ludzkiej naturze, niczym szczególnym i stanowi oczywiste potwierdzenie jej bezładu i ślepoty, kierującej się chęcią zaspokojenia tylko i wyłącznie swoich egocentrycznych potrzeb. Zwykła zazdrość potrafi bowiem przemienić się w horrendum podłości i stać się bezkresna w swoich nieposkromionych żądzach. Niemniej, w przypadku danej osoby posuwającej się do takich zabiegów wobec ciebie, której nota bene starałeś się konkretnie pomóc przez ponad dziesięć lat, wyrzucanej trzykrotnie z innych miejsc, skala uruchomionych przez nią działań, opartych na sformalizowaniu, jawi się bezprecedensowo wobec całego twojego życia. Piramidalna nienawiść, ujawniona w ten sposób, wyhodowana w przez fermentujące emocje, będące pochodną absurdałnej roszczeniowości, wywiedziona z głębokiego narcyzmu, rugującego całkowicie minimum empa-



tii, przesłania u takich osób de facto wszystko. Odczłowieczenie ma właśnie taką formę.

Przechodzę z ulicy na chodnik, tuż pod blokiem Agnieszki, i w tym momencie zatrzymuje się przy mnie jadąca z naprzeciwka taksówka. Lekko opuszcza się okno i znajomy taksówkarz zagaja. – Na Hel to tędy? Ripostuję momentalnie. – Skąd! Na Hel w odwrotną stronę! – Ale tam jest tylko jednokierunkowa! – przytomnie konstatuje. – No właśnie! – potwierdzam i dodaję – Inaczej tam nie dojedziesz.

Małość i podłość, skumulowane razem, dają mieszanek wybuchową. Człowiek nią przepełniony okazuje się skończonym zaprzeczeniem normatywnie ujmowanego chowu kulturowego, naszpikowanego imperatywami wywodzącymi się z humanizmu, który staje się ucieleśnieniem kompromitacji dobra i szczęścia i w efekcie dowodem na ich naiwność i fałsz. Staje się przeto wyzwaniem wobec noszonego przez większość ludzi takiego właśnie bagażu, obarczonych ładunkiem tychże pojęć przez wieloletnie wychowanie, ufundowane na potrzebie wyrobienia odruchu nieczynienia zła, którego efekty przy pierwszej lepszej konfrontacji z najniższymi instynktami czy ich przejawami, okazują się czymś niezwykle słabym. Są one bowiem genezą owej słabości, szybko uzewnętrznianej i kompletnie bezradnej wobec naporu najpodlejszych zachowań czy gestów. Bezwzględność, jaką cechuje wyrachowana małość, zasilana narastająca nikczemnością, stanowi gołą siłę, powodującą uzyskanie natychmiastowej przewagi. Wszystko to jest znane doskonale każdemu, lecz nabiera swej wyrazistości dopiero w momencie konkretnego zaznania tego rodzaju postawy, które ujawnia wstępną bezradność, ale także generuje natychmiastową reakcję. Wola sprzeciwienia się temu ma swoje częstokroć podłoże w konsternującym odbiorze, lecz również w nieadekwatnym poziomie, na którym wszystko to się odbywa. Czysta fizyczna przemoc jest nie do przekroczenia innymi środkami, i może zostać pokonana tylko taką samą siłą. Natomiast przemoc formalna – stosowana względem wykładni prawa, jako jej żywej podstawy – staje się automatycznie przeszkodą nie do obejścia, ogołaca bowiem z jakichkolwiek argumentacji etycznych czy logicznych. Jej sztywna postać pozbawiona jest możliwości zniuansowanego odbioru oraz, w konsekwencji, poczynienia złożonej interpretacji danej rzeczy, która jest przedmiotem mającego zapasć wyroku, w myśl takiego właśnie orzecznictwa. Dychotomia tego trybu nie ma nic wspólnego ze specyfiką danego przypadku, będącego najczęściej w każdym aspekcie czymś szczególnym. Nie liczy się bowiem w nim nic innego niż konieczność dopasowania do jednej lub drugiej możliwości ujęcia. Nie ma w tym miejsca na analizę towarzyszących temu okoliczności, badanie przyczyn lub intencji, czy wreszcie na kierowanie się etyką, która wszak jest podstawą sprawiedliwości. Miejsce to jest ściśle zagospodarowane i do cna określone, a owa sprawiedliwość okazuje się zazwyczaj tylko fikcyjnym i nader hipotetycznym bytem. Rzekomość oraz domniemaność są dwoma filarami prawa, które nie uwzględnia w swym rozstrzygnięciu żadnej z odmian natury ludzkiej, której pochodną stają się wszak intencje doprowadzające do danych czynów, choć jest ono powołane jako probierz osądzający jej czyny oraz skutki. *Liczą się tylko fakty, a fakty są przeciwko nam* – jak pisał w jednym z wierszy nieodżałowany Zdzisław Jaskuła.

Zdeptana i wypatrzona przestrzeń. Rozdarta dętka wrażeń. Obmierzła kłoda progu wstawiona w każde uchylenie, wyostrza kąt padania. Wytrawiony w głowie kompas. Krążenie dookoła słupa, na czubku którego furkocze spalony wiecheć. Rosnąca przewaga cienia zamienia się w osaczający krąg.

Doszedłszy do punktu odbioru, zostajesz bez odniesienia. Ogołocony i wyżęty. Skroplony z paru chmur ocet biegnie zygawkowatą strużką po klepisku w głąb zarośli. Wybudzony o brzasku drepczesz tam i z powrotem między coraz bardziej chyłymi się ścianami. Wgłębiany tor podłogi wchodzi do gardła i stamtąd rozwidla się pod powiekami.

Charczące skrzela i dławiący kaszel. W pokoju na stole stoi butelka i pudełko z chusteczkami higienicznymi. Na środku dachu sterczy maszt z kilkoma diagramami anten, z których każda emituje mieszkalne wrzaski, chroboty sprzętów i porwane dialogi. Skwierczy nimi pustka. W oddali komin ciepłowni migocze czerwonymi guzikami ostrzegawczych świateł. Zwiotczała pręga kabla przecina skośnie boczną ścianę stojącego w poprzek bloku. Bezokienny, prostopadły mur.

– Dobry ten Single Malt – stwierdza Andrzej.
– Jakbyś ocenił smak? – nieco go podjudzam.
– Optymalna mieszanina kwiatowo-owocowa, z domieszką bejcy – stwierdza Andrzej.
– Ciekawe jak to uzyskali? – dociekliwie kontynuuję.
– Przechowują go w beczkach po *Rose* – konkluduje Andrzej.
– Andrzej – wtrąca się Grzebi – kiedy nadejdzie odpowiedni moment, pochowamy Cię w takiej beczce.

Konfrontujemy się z czystą zewnętrżnością, która jest nieprze-niknioną immanencją, i, na skutek tego, stajemy naprzeciw niemożliwości przedostania się poza jej wygląd. Szukamy w tej zwartej postaci najdrobniejszych pęknięć, szczelin mogących nagle gdzieś się pojawić, ażeby móc dojrzeć, dzięki takim prześwitom, ukryte wnętrze. I jeśli niekiedy tak się zdarza, dostrzegamy albo jego miałość albo ziejącą z niego pustkę, a wtedy okazuje się, że zewnętrżność niczego nie maskuje, ponieważ jest całkowitością tego braku, o jaki była posądzana, że go skrywa.

Czy każdy, kto sięga po podłe i nikczemne metody postępowania z innymi, zakłada, że prędzej czy później może się to na nim zemścić? To proste przełożenie skutków winy, występujące praktycznie zawsze u ludzi zaznajających owe metody, staje się natychmiastową hipotezą, lecz nie zawsze przekształcającą się w wolę zemsty, która wszak staje się naturalną konsekwencją, jako elementarne pragnienie powetowania zadanych razów. Zemsta może być więc i powodem i skutkiem. Każdy, kto dopuszcza się na innym konkretnych czynów, mających go zniszczyć, w istocie kieruje się właśnie nią – za to, czego doznał wcześniej od innych, i za to, czego może się spodziewać, jeśli tego się nie dopuści.

Nic nie posiada żadnej przyczyny, ponieważ jest tylko samym skutkiem.

POSTSCRIPTUM MXVIII

POSTSCRIPTUM MXVII

a całe życie
jako końcówka czegoś
nie wiadomo czego

nic nie jest poezją
prócz tego co nią jest
więc wszystko

POSTSCRIPTUM MXIX

na koniec cisza
której nie sposób
zagłuszyć



rys. Bogna Skwara

POSTSCRIPTUM MXX

nic nic
to tylko
słowa słowa

POSTSCRIPTUM MXXI

wiekuista cisza
nikt
nie milczy

POSTSCRIPTUM MXXII

choćby to zdanie
teraz
które cię odumiera

POSTSCRIPTUM MXXIII

i twoja nieobecność
wypełniająca wszystko
co było jest i będzie

Hybrydy (13)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Z dwóch stron Chorzeszowa ustawiono tablice radarowe, jak się jedzie poniżej pięćdziesiątki, tablica dziękuje i uśmiecha się zielono. Żółta lampa ostrzega o przejściu do sklepu. Nowe sześćset metrów drogi wieś ma od niedawna. Wczesną wiosną auto potraciło rowerzystę. Jechałem godzinę później, radiowóz, martwa twarz kierowcy, kawałki odbłasku, nie mogłem rozpoznać, czy rower leży w rowie, utopiony w trawie wyglądał, jakby porzucono go dawno temu. Oby nie Jan! Chyba nie on, bo nie widziałem kuli, którą zawsze opiera o kierownicę. Jesienią wiesza na płocie rydze, wszystko z sympatii dla Guśki. Tylko nie jeden z dziesiątki, nie wszystkich znam z imienia, cały rok po zakupy jeżdżą na starych rowerach, oby nikt z nich, powtórzyłem, ale na nic, bo zginął Piotr, w połowie drogi. Wraciał z darmowego obiadu u Albertów, do domu został mu kilometr, a osiem do matki w Kwiatkowicach. Niemcy z desek złożyli trzy drewniaki, żeby w czasie wojny uczyć dziewczyny do pracy, mieszkał w trzecim, nigdy nie odnawianym. Mówili o nim bezdomny, zwykle w tym samym czarnym ubraniu, siwe włosy do ramion, hiszpańska broda, głos krzywdzonego dziecka, grube okulary. Ostatni raz widziałem go zeszłego lata w pełnym słońcu, jak mijał mostek na rzeczce. Jakiś rzemieślnik zrobił go z tych samych rurek co rower, chyba nawet cieńszych. Kogoś mi przypomniał, Don Kichota z obrazu Daumiera.

Przez rów, gdzie zabili Piotra, będzie przebiegać szybka kolej. Może ta kolej zabierze stąd trochę szybkości i będzie się tutaj żyło jeszcze wolniej. Zbudują przystanek. „Tylko dla wsiadających. Powrót rowerem albo pieszo” – taką tablicę umieszczą na peronie. Przerywam ten sen, choć chciałem jeszcze żartować ze zniżek dla wyjeżdżających na zawsze, przerywam, bo jadą kolarze. Jeżdżą dwójkami, trójkami, grupą, peletonem, rowery karbonowe, koszulki ściągnięte z wielkich wyścigów, buty zatrzaskowe, kaski jak hełmy, wszystko mają firmowe, nawet żele energetyczne. Wpatrzeni w liczniki i asfalt czuwają, żeby nie zejść poniżej średniej. I tak jadą jak korporacje na wielkich turach, kolarze z zespołu pracują

na lidera, na koniec wyścigu zbierają nagrody za wykonanie planu. Dzisiaj czterech amatorów przeleciało przez Chorzeszów, nie zdążyłem nawet przeczytać nazw sponsorów. Niedaleko są stawy w Kikach, piękne, można się zanurzyć! – krzyczałem za nimi, jakbym w grupce wypatrzył Andrzeja, najlepszego kolarza wśród naszych pisarzy. Wiem, że lubił pływać nago.

Nie chce im się ruszyć, nie powiem przy panu, czego. Taka jest każda władza, wystawia to jak bęben, o nic się nie upomni, a o pieniądze dla ludzi najmniej. Opieka, pan żartuje, gdyby opieka się chociaż trochę zainteresowała, to by Piotrek nie jeździł na darmowe obiady. Władza jest winna, że go ktoś potrącił? – przerywam Krystynie, też jeździ tylko rowerem. Przez chwilę tylko macha rękoma, a kto? W sklepie jest jeszcze kilka osób, wszyscy patrzą na mnie smutno, jakbym niczego nie rozumiał. Uśmiecham się, powiedziała pani bęben? Potakuje zrezygnowana, tysiąc raz to wykrzyczała, że ci u władzy chcą się tylko przypodobać. Od dawna słyszę ciągle ten bęben, to dudnienie i widzę tych wystawionych.



Sprzedał mi dobry dom razem z dobrym stołem, tego nie powinno się robić. Wchodził na wysoki stromy dach, sam czyścił rynny z sosnowych igieł, również przez ostatnie dziesięć lat, od kiedy przestał widzieć. Zabezpieczył stół, pytał i nie dowierzał, że dokładnie, jego dłonie sprawdzały miejsce trudne, pod blatem, niedaleko nogi. Lepiej olejem lnianym, powiedział na rozstanie ze stołem, domem i życiem, następnego dnia spadł z dachu i się zabił, ale już w nowym domu, jeszcze niewykończonym, niedaleko przystanku i autobusu z niskimi progami, i miasta, do którego miał sam dojeżdżać. Co jeszcze panie Krzysztofie, co jeszcze powinienem zrobić? Jeszcze jedną warstwę oleju na stół, a bramy nie smarować? – muszę się upewnić, na szczęście zostawił listę obowiązków dość długą i słodką. Ogrodem się nigdy nie zajmował i teraz musi nadrabiać zaległości, ciemną nocą widziałem, jak jego dłonie, dwa świetliki, próbują zgadnąć formę krzewuszek, urosła dwa metry od jego śmierci. Potem, dwa miesią-

ce później, nad ranem dłonie błękały się po nowych krzewach, aż spocięły albo wygnały je dzień.

Przez rok odwiedziłem wielu moich przyjaciół, z moją opowieścią o tych dłoniach, które nie mogą się nauczyć nowego świata. Przywidziało Ci się, takie zdanie słyszałem najczęściej, a często proszę Cię i cały Ty, i oczywiście przestań. A Jacek powiedział, wiesz, chciałeś mnie pocieszyć, ale zmarł. Ciężko choruje, wiem. Już teraz tak się uczę, dodał, niczego nie potrafię zapamiętać. Nie chciałem, nawet jako świetlik, wracać do moich książek, zresztą już teraz stoją się nie moje. A Tomasz prosił, żebym opisał te dwie noce. Pamiętałem dobrze dwie ciemności, jedną z maja, drugą z początku lipca. Majowa zacierała granicę między wodą a powietrzem, ziemia pod różami i pod krzewuszką wyglądała jak skrawek jeziora, aż chciało się zanurkować. A lipcowa wulkaniczna, świetliki, jak wiadomo co, i popiół o świetle i gorąco, też wulkaniczne. Na początku lipca taki mrok zdarzał się codziennie, przylatywała chmara świetlików, ale dłonie widziałem tylko raz. A może to była inna ciemność, powiedział Tomasz, gdy niczym nie można zapełnić tęsknoty za kimś, kto daje ci głównie mrok i tylko dwa ogniki. Powiedz, wystarczą te dwa ogniki na nowe życie? Chciałem skłamać, jedź do niej, wystarczą, ale nie powiedziałem słowa.

Żeby zobaczyć, gdzie się mieszka, trzeba wejść na wzniesienie i objąć wzrokiem okolicę. I jest taka górką przed Apolonią, skąd widać i rzeczke, i sklep, i główne skrzyżowanie, straż i aptekę, i las z ukrytymi domami, ale to niedobre miejsce. Najlepiej widać cztery kurniki, tuż pod wzniesieniem, ogromne, nie można ich nie widzieć. Inne górkę są zalesione, trzeba by wejść na najwyższą sosnę, najlepiej w Pelagii, stamtąd chyba nie widać kurników, bażanciarni i fabryki karmy dla psów, nie jestem pewien. Z tej sosny rozpoznałbym dom Tomasza, od niedawna zapala w nocy wszystkie światła, Jacek mieszka za łuną Łodzi. Z samolotu albo drona widać więcej, nie trzeba wchodzić na czubek drzewa. I zdjęcie z góry można poprawić, wyciąć dobry kadr, właściwie wszystko można poprawić.

Co czyta bokser?

RYSZARD JASNORZEWSKI

Wywiad to gatunek dziennikarski, ale również rozmowa lekarza z pacjentem. Dialogi zebrane w dwóch tomach o wspólnym tytule *Zrozumieć boks* są formą pośrednią. Hubert Kęska postawił pytania i zanotował odpowiedzi, ale z drugiej strony próbował (niekiedy zamieniając pytania w podpowiedzi i sugestie) zdiagnozować najważniejsze symptomy choroby na sport, który niektórzy uznają za szermierkę na pięści, zaś inni za mordobicie. Przepytano aktorów różnych ról bokserskich, przede wszystkim czynnych zawodników, a do większości wyznań autor dopisał krótkie epilogi (ktoś wygrał starcie, ktoś innych przegrał, jeden siedzi w więzieniu, drugi właśnie się rozwiódł i tak dalej). Jeżeli jednak czytelnik oczekiwał tajnych, poufnych lub chociaż wyjątkowo sensacyjnych informacji, to spotkało go rozczarowanie. Przejście przez (licząc obydwie części) blisko dwieście stron było wyczerpującą wędrówką przez wolne od zaskoków życiorysy zawodowe i standardowe teczki personalne.

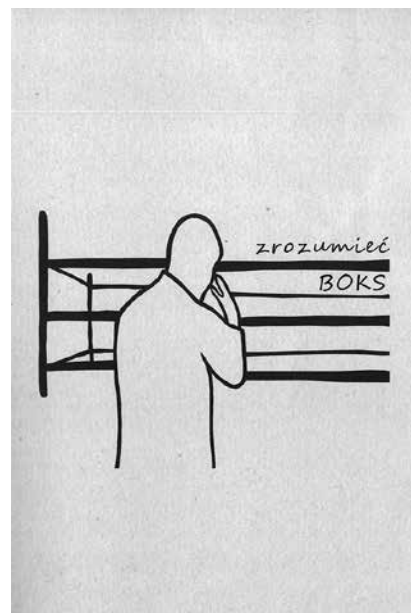
W minionej i odmiennej rzeczywistości, a zatem mniej więcej do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, profesjonalny boks w polskiej literaturze przedmiotu potępiano jako przejaw wyzysku człowieka przez człowieka. Młodzieży poszukującej wzorców osobowych i celów sportowych miały imponować wyłącznie walki amatorów o medale, puchary i szarfy mistrzowskie. Istotę zmian trafnie scharakteryzował Andrzej Gmitruk, nieżyjący już znakomity trener i nieco mniej szczęśliwy menadżer: „Niegdyś traktowało się zawód w kategoriach przygody życiowej, dzisiaj ten zawód już żadną przygodą nie jest. Ani dla zawodników, ani dla mnie. Jest solidną, odpowiedzialną pracą”. Zrećennie dopowiedział to Przemysław Saleta: „moim warsztatem pracy było moje ciało”. Aby jednak przemysłana i – niech będzie – solidna i odpowiedzialna praca przyniosła godne pieniądze, sportowiec musiał stać się trybem pewnej maszyny nie tylko sportowej, ale i biznesowej czy propagandowej.

W ocenie Andrzeja Wasilewskiego, jednego z najważniejszych graczy w środowisku promotorów walk bokserskich: „należy (...) zawodników – mówiąc brzydko – wyprodukować”. Dodajmy, że najwybitniejszych (a na pewno najciekawszych) polskich pięściarzy zawodowych – Andrzeja Gołotę i Dariusza Michalczewskiego – wyprodukowano na obczyźnie, na ringach amerykańskich i niemieckich. Oczywiście, nie sposób sobie wyobrazić udanej kariery o wymiarze nie tylko międzynarodowym, ale i kra-

jowym bez precyzyjnego i konsekwentnego planu. Jak słusznie jednak zauważył Kęska: „W boksie każdy ma plan, dopóki nie dostanie w mordę”. Jestem przekonany, że to głębokie spostrzeżenie ma szersze zastosowanie – w każdej dyscyplinie sportu, we wszystkich dziedzinach biznesu, a nawet w działalności artystycznej. Co prawda boks uznamy za metaforę szczególnie i dosłownie bolesną, lecz podstawowe założenie wychowawców pięściarzy, przypomniane przez Zbigniewa Raubo – „Pilnuj ryja!” – da się odnieść do wszystkich praktycznie aktywności zawodowych i do życia w całym jego bogactwie i różnorodności. Co ważne, pilnowanie własnej twarzy można połączyć z polowaniem na twarz przeciwnika, nawet gdy jest to przeciwnik wyobrażony. Z tych powodów w sali treningowej Mariusza Wacha, gdy sposobił się do starcia z Władimirem Kliczką: „Do każdego z worków treningowych i tarcz przyklejony był wizerunek Ukrainca”.

Jak zauważył Maciej Sulecki: boks „Kurewsko męczy psychicznie”. Od tego, co męczy (i tak bardzo męczy) warto uciekać w świat napisany lub zapisany. Mieczysław Opalach poszukuje książek „o duchowości, rozwoju, samodoskonaleniu”. Nie wiadomo, jakie konkretne dzieła przyswoił sobie (w zakładzie karnym) Artur Szpilka, lecz bez wyjątku „napawały optymizmem, pobudzały wyobraźnię”. Robert Talarek sięga do literatury przedmiotu („czytam o wszystkim, co związane jest z boksem”), w podobnych lekturach – tyle że bez szczególnych oczekiwań – gustuje Dariusz Sęk: „nawet z najmandrejszych psychologicznych książek o sporcie nie wyczytasz emocji”. Unikalny jest przypadek Tomasza Adamka, który zdecydował się podpisać kontrakt profesjonalny dopiero po otwarciu Pisma Świętego i przeczytaniu Psalmu 23 („Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną...”).

Niezależnie od epizodów z książkami, bokser czyta przede wszystkim walkę. Lub jest czytany przez rywali. Rywalem Alberta Sosnowskiego o przydomku „Dragon” był Witalij Kliczko. Po przegranej walce o mistrzostwa świata Polak przyznał: „Kliczko rozebrał mnie na czynniki pierwsze, kuł ciosami, które działały jak bomba z opóźnionych zapłonem, budował przewagę”. Pięściarze nie zakładają masek przed wyjściem na ring. Twarze są odsłonięte, a więc obnażone. Oczy wpatrują się w przeciwnika z ciekawością, lekceważeniem, wyższością, lękiem albo z odrobiną koniecznej nienawiści. Podobieństwo boksu do życia jako ta-



kiego jest więc oczywiste. Kierując się tym podobieństwem, często powtarza się to, co po ważnym pojedynku na ringu powiedział Rafał Jackiewicz: „Walkę wygrałem, ale walkę przegrałem”. W takim mówieniu jest odpowiednio dużo wiary w siebie, ale też niemało zwyczajnej megalomanii. Większość pięściarzy zgodziłaby się ze Szpilką: „budowałem swoją tożsamość i swoje ego (...) na boksie”. Empatię, dobroć i miłość wzajemną wolno okazać dopiero po ostatnim uderzeniu gongu. Zazwyczaj jednak nie czyni się tak wcale. Inaczej bywa w losie prywatnym, w chwilach wielkiego żalu, tęsknoty za kimś, żałoby i poczucia straty. Tak przynajmniej twierdzi Maciej Zegan: „Nie wstydzę się łez. To, że jestem pięściarzem i mam jaja w ringu, to jedno”. Uzupełnijmy: a dwa, że ciosy od życia nie oszczędzą nikogo.

Wygrywa się wyłącznie wówczas, gdy nie brakuje zawziętości, uporu, konsekwencji i odporności. Depresja przychodzi później. Można wybrać odmowę, nigdy już nie stanąć na ringu. Zazwyczaj jednak bokser sposobi się do kolejnego pojedynku, słucha wskazówek trenerów, zmienia sparingpartnerów, godzinami uderza w worek, wyprowadza ciosy przed lustrem lub walczy z własnym cieniem. Zawsze najpierw walczy się z cieniem – albo z samym sobą – a dopiero później z innymi. O cokolwiek, najczęściej o przetrwanie. „Jak człowiek wchodzi do ringu – twierdzi Tomasz Gargula – to już nie ma strachu, zostaje co najwyżej ból”. Z wchodzeniem do klatki życia jest podobnie. ■

Hubert Kęska: *Zrozumieć boks*. Nakładem autora, Warszawa 2019, s. 479; *Zrozumieć boks 2. Bokserzy i ich trenerzy*. Nakładem autora, Warszawa 2023, s. 394.

W ramach

Zaimaszki to nie rymy, ale ramy,
Tyle przebłyków, ile w ramach siebie zdołać
Pomyślimy, wybawimy, wywołamy.

Myśli jubilata

Tyle mną, ile tam.
Co komu z mojego?

Sposób życia

Ktosiem cosiem
Jakoś tam

Bieda

Ni dużo
Ni nic

Na osobności

Jak sam
To tam

Stan wegetatywny

Ani tu
Ani tam

Układ

Tam się
Gdzie cię

Bóg

„Wszystko
We wszystkim”*.

*1Kor 15,28 / Ef 1,23

Ciułactwo

- 1.
Cosik coś niecoś
To już coś
- 2.
Cosik cosik cosik
Coś niecoś nienic
- 3.
Cosik co nieco
Niewiele na nic

Demencja

Co do czego
To nic z tego

Kompilacja

Stąd stamtąd czyjeś
Tu jako swoje

Przed ważnym spotkaniem

Ja nikt
Tam ktoś

Płynie czas codzienny

Owak inaczej
Siako tako

Uzurpacja

Jako kto
Ten nikto

Lekcja pogładowa

Co to?
To

Przewinienie

Gdzie wy tam
To nam

Pycha

Ten
To co nie ja

Wybory

Jak tego ją tę
Ja nikogo

Lepsi i gorsi

Ja?! A on!?
Ty?! A wy!?

Rozpacz

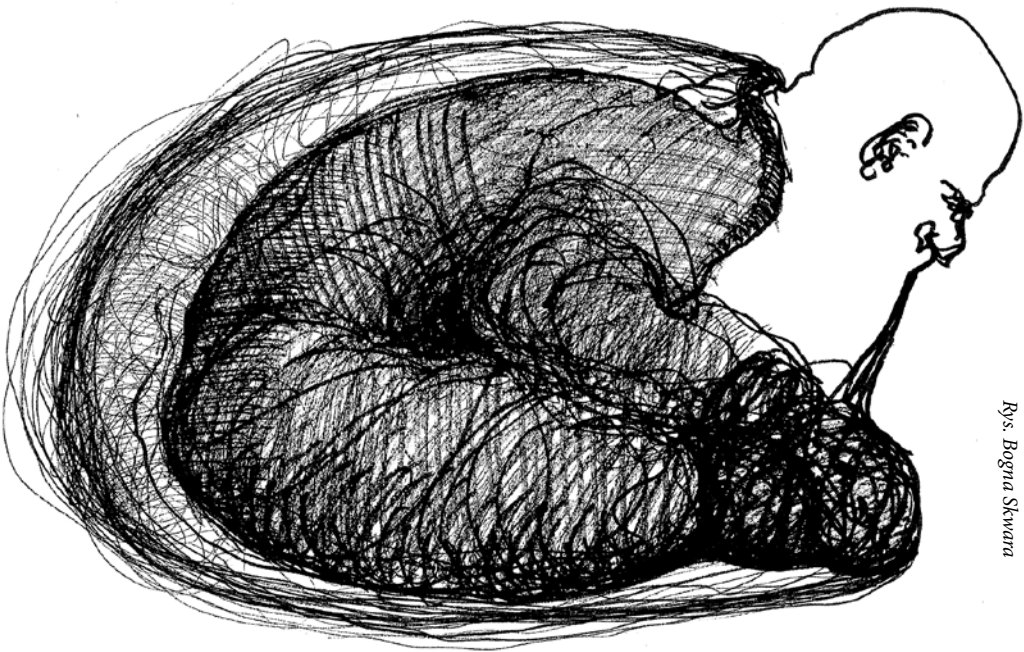
Sam jak
Nigdy

Raj

Gdzie-
-Nigdzie?

Źródło

Stąd
Jakby z niczego



stało się to przypadkiem

stało się to przypadkiem
gdzieś pomiędzy
ziewnięciem królika
a zniknięciem
gwiazdy polarnej
bez powodu
z powodu
z nagłego bez celu
porażony pytaniem
utknąłem w bez ruchu
w przedpokoju światła

szukałem więc
w myślach bezcennych
i w snach dziecinnych
i na liniach serc i losów
i na kamiennych tabliczkach
najmniejszego powodu na ruch
przyczyny na skutek
sensu w bezkresie
i bezkresu w żdźble

stało się to znienacka
w niedzielę lub na Wielkanoc
gdzieś pomiędzy rosołem
a potrawką z królika
nagle upadłem przerażony ciszą
na najważniejsze pytanie

niedługo

mój syn
nie wie
która jest
teraz godzina

nie wie również
jaki mija dzień
w chwili kiedy właśnie
układa z klocków dom

nie wie też
jak nazwać jutro
wczoraj myśli
że będzie w piątek

lecz nadchodzi
czas
kiedy pozna kolejność
wszystkich minut
godzin i lat

mój syn
nie nosi jeszcze
zegarka
ale ja już wiem
że niedługo umrze
w nim pierwsze dziecko

**bajka o poszukiwaczach
zaginionych uczuć**

na stokach
nagie miecze myśli
dobijały usychające
gałęzie drzew

widział jak groty słów
znów zakwitały cierniową koroną
na wzgórzach porośniętych
sztuczną trawą
gdzie niewidome zające
obgryzały resztkę minionego dnia
jakby nie mogły znaleźć
nic innego
tylko martwe kawałki
zeszłorocznych wiśni

widział też ludzi
odartych z marzeń
czekali na wielki potop
wtedy – mieli taką nadzieję –
znowu popłyną tam
gdzie zgubili bajkę o miłości

dlaczego w porę
nikt nie przebudził światła
które usnęło
nie wiedział

czuł jedynie
że przyjdzie
spoza czasu posłaniec
i przypomni
naszą prawdziwą opowieść

wieczorna toaleta poety

Pamięci Stanisława Grochowiaka

rozbierał się
do snu powoli

ostrożnie zdejmował twarz
zmarszczka po zmarszczce
naciągał na złoconą ramę

dokładnie
włosek po włosku
składał w kostkę
przy łóżku

nawet stopy
dokładnie umyte
stawiał obok siebie
w pozycji świątecznej

w pamięci szukał jeszcze
pogubionych zębów i paznokci

a kiedy był już
dokładnie porozbijany
rozpoczął swój conocny taniec
na srebrnej nici

**nie wolno ci już malować**

Dziszławowi Beksińskiemu

próbowałeś zaprzyjaźnić się ze śmiercią
pokochać jej martwe oczy
aby ją uwieść
swoją sztukę
doprowadziłeś do mistrzostwa
myślałeś że w zamian zrobi wyjątek
ale ona kocha to co robi
jest niezawodna
kiedy malowałeś płótna
historiami z jej życia
miałeś nadzieję
że *ich drugą stronę*
zamaluje Bóg obrazami Edenu
długo szykowałeś się
na spotkanie z nią
choć żyłeś nadzieją
że *nie przyjdzie*
ale przyszła
pod postacią młodzieńca
jakby wyszła z obrazu
pokazała ci prawdę
o drugiej stronie płótna
ty już wiesz jak tam jest
ale nie wolno ci o tym malować

Ostatnia przedwrześniowa naukowa książka o Śląsku

JAN MALICKI

Będąc w jednym z krakowskich antykwariatów, z zaciekawieniem wziąłem do ręki książkę *Dialekty polskie Śląska* autorstwa wielkiego uczonego, legendy polskiego językoznawstwa, „twórcy całej szkoły dialektologicznej”, prof. Kazimierza Nitscha. Bo wzrok mój przyciągnęło i miejsce wydania: Kraków, i data: 1939, i seria edytorska: PAU, Wydawnictwa Śląskie. Prace językowe nr 5, wreszcie pieczęć: „Egzemplarz uszkodzony. Bezpłatny”. Makulaturowy? Skazany na zatarcie? Właśnie unicestwiany? Ale ważniejsze i ciekawsze były inicjalne uwagi autora pracy poprzedzające tekst główny. Po pierwsze: „Kraków, sierpień 1939”, po wtóre: odautorowski komentarz wprowadzający: «niniejsza część pierwsza *Dialektów polskich Śląska* jest drugim wydaniem dawno wyczerpanej pracy, która się pod tym tytułem ukazała w 1909 roku w IV tomie *Materiałów Prac Komisji Językowej Akademii Umiejętności w Krakowie*. Wydanie to jest dosłownym przedrukiem...».

Minęły trzy dekady od czasu, kiedy młody, niespełna 25-letni badacz przez dwa miesiące wędrował po Śląsku, prowadząc badania w powiecie raciborskim, w Bieńkowicach i Tworkowie, gdzie urodził się ks. Emil Szramek (przypomnijmy: od 1920 roku prezes Towarzystwa i wydawca „Roczników”). Wędrowek, których rezultatem była znakomita, licząca 270 stron z mapami, rozprawa. Tak wspomina ten czas Kazimierz Nitsch: „niespełna dwa miesiące poświęciłem na wędrowki, nie siedząc nigdzie dłużej na jednym miejscu, starając się natomiast nie pominąć żadnego większego obszaru, lecz dać istotnie zarys mowy ludowej całego Śląska. Po drugie starałem się dać mniej więcej pełny obraz fonetyki i morfologii, bo tylko to jest w takich warunkach możliwe”.

Nie był oczywiście pierwszym badaczem śląskiej mowy w jej dwuwymiarowości. Dolnośląska, niemieckojęzyczna posiada wcale bogatą literaturę co najmniej od kilku stuleci. Problem był z mową większości mieszkańców Śląska, tak Dolnego np. w XVI, XVII, XIX stuleciu, a Górnego szczególnie w XIX wieku, kiedy to zainteresowanie mową „ludu pospolitego” jest coraz większe. Zwłaszcza, że charakterystyczne i wiele mówiące są dane ze spisu powszechnego z roku 1910, a więc czasu badań terenowych prowadzonych przez uczonego, a dotyczących języka ojczystego i wyznania. I tak w rejencji opolskiej za polskim języ-

kiem ojczystym opowiedziało się 57% mieszkańców, a za niemieckim 40%. Przeszło 90% ludności było katolikami, ewangelikami 8,5%, zaś wyznania mojżeszowego 0,8% ludzi w rejencji. Nic dziwnego, że Kazimierz Nitsch właśnie stąd rozpoczął swoje kwerendy językowe. Ale opracowanie ostateczne, zgodnie z utrwaloną i stosowaną praktyką naukową, rozpocznie od przypomnienia stanu wiedzy. „Pierwszym – pisał – był Robert Fiedler, pastor w Międzybórz (...), który w r. 1844 wydał we Wrocławiu małą książeczkę pt. *Bemerkungen über die Mundart der polnischen Niederschlesier. Ein Beitrag zur Kenntniss der polnischen Dialekte*. Dialekt znał on praktycznie dobrze; prawdopodobnie był Polakiem. Dziś dziełko jego nie ma oczywiście wartości, ale na owe czasy było godne uwagi; jest to pierwsza próba opisu polskiego dialektu”.

Mnie nie zaskakuje ani przywołanie pastora Fiedlera (był on autorytetem i dla Niemca Juliusa Rogera, autora *Pieśni ludu polskiego w Górnym Szląsku*, i „szkolnego z Lubszy” Józefa Lompy), ani przypomnienie przełomowego dla Śląska roku 1844, który w dziejach kultury Śląska rozpoczynać będzie wielki proces emancypacji rodzimej kultury większości jego mieszkańców. Ale dzieło międzyborskiego pastora kontynuować będą już inni: Lucjan Malinowski, Jan Bystron, autor pracy *O mowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Lucyny w księstwie cieszyńskim* z 1887 roku, wreszcie ks. Michał Przywara z Nowej Wsi pod Opolem. Nic dziwnego, bo Śląsk to dziedzina niezwykle atrakcyjna dla badaczy. Jedynie poza „okręgiem fabrycznym”, jak nazywa okręg przemysłowy z ludnością etnicznie przemieszana. Na marginesie dodajmy, że prace naukowe Uniwersytetu Śląskiego z lat 70. XX w. i publikowane przez prof. Władysława Lubasia i jego zespół *Teksty języka mówionego mieszkańców Górnego Śląska i Zagłębia* nie tylko wypełniały tę lukę, ale i otwierały nowe możliwości polskiego językoznawstwa.

Wróćmy jednak do przeszłości. W roku 1909 ukazują się więc *Dialekty polskie Śląska*, uznawane za „najdojrzałą monografię terenową, poprzedzoną wędrowką badawczą od wsi do wsi”, przynosząc w rezultacie opis fonetyki i morfologii oraz słownik wyrazów specyficznie śląskich. To zdanie Zofii Kurzowej, dodającej: „Praca ta najpełniej ukazała zalety metody Nitscha, która pozwoliła na wyty-

czenie granicy językowej polsko-niemieckiej i polsko-czeskiej”.

Dla mnie jednak ważna była konstatacja Profesora, która wyjaśniała fenomen kulturowy Śląska. Brak jest tu przecież inteligencji rodzimej, polskiej. I będzie jej brakować jeszcze przez wiele jeszcze lat. Problem niezwykle silnie podkreślony w manifestie Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku w 1920. Ale jednocześnie zaskakuje rozwinięte czytelnictwo gazet przez ludzi mniej wykształconych. Na co z ogromnym zadziwieniem reaguje Nitsch. Mnie to nie zaskakuje, bo wiem od czasu pierwszego, pszczyńskiego „Tygodnika Polskiego dla Włościan”, poprzez bytomski „Dziennik Górnoszląski”, cieszyńską „Gwiazdkę”, aż po katowicką Korfantowską i nie tylko prasę przełomu XIX i XX wieku, postawa taka staje się nawykiem. A przecież dociera tu leszniński „Przyjaciel Ludu” i „Biblioteka Warszawska”, gdzie publikuje też wielu śląskich twórców. Wewnętrzny dualizm językowy, wzmacniany nierzadko wpływami zewnętrznymi, odbija się na strukturze języka. „Ślązak mówi swoim dialektem zupełnie swobodnie, choć dobrze widzi odrębność języka literackiego, uważa to za rzecz pisma, nie żywej mowy. Język książkowy jednak lubi, chętnie go słyszy od przybysza”. I dalej: „Jest to jedyna znana mi część Polski, gdzie nieliczna klasa wykształcona (nawet uczniowie polskiego gimnazjum w Cieszyńsku) nieraz świadomie posługuje się w mowie potocznej dialektem”.

Od czasu pobytu na Śląsku dostrzec można u prof. Kazimierza Nitscha niezwykłą sympatię i zrozumienie dla spraw śląskich. W różnych, nieraz odległych od nauki dziedzinach; od sprzed plebiscytowych akcji propagandowych, poprzez uczestnictwo w konferencji wersalskiej jako rzeczoznawcy do spraw językowych pogranicza polsko-czeskiego i polsko-słowackiego, aż po dziedziczenie mu najbliższą jako opiekuna naukowego prac językowych w serii Wydawnictw Śląskich Polskiej Akademii Umiejętności. Po 1 lutego 1939 roku przeszedł na emeryturę. Pół roku później, na przełomie sierpnia i września tego roku, ukazują się *Dialekty polskie Śląska*, część I, wydanie II.



Pisanie Częstochowy

JOANNA WAROŃSKA-GĘSIARZ

Ostatnia premiera w sezonie 2023/2024 w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie miała charakter szczególny. Spektakl *Cudowne* został przygotowany na zamówienie, a jego autorki (reżyserka Pamela Leończyk oraz dramatopisarka Daria Sobik) zaprezentowały impresyjną opowieść na temat Częstochowy. Nie było tu odwołania do historii powszechnie znanych, np. obroń Jasnej Góry, rozwoju przemysłu włókienniczego, strajku 1905 roku czy pomocy wysiedleńcom po powstaniu warszawskim. Nie było także kojarzonych z Częstochową postaci – Władysława Biegańskiego czy Haliny Poświatowskiej. Spektakl bazował na rozmowach z rodowitymi częstochowianami, takimi z dziada pradziada, ale również z częstochowianami z wyboru lub z przypadku, którzy z jakiegoś powodu zatrzymali się w naszym mieście i tu pozostali.

Spektakl korzysta z opowieści mieszkańców, pokazuje ich znajomych i zwierzęta domowe, definiuje relacje z miastem, przedstawia diagnozy na temat ludzi i ich mentalności, ale sięga także po kilka tropów pozasobistych. Pierwszy, niezwykle mocno eksponowany i wyraźnie zapowiadamy, to historia paulina, ojca Damazego Macocha, z początku XX wieku, wspomniany w latach 70. XX wieku m.in. przez Władysława L. Terleckiego (częstochowianina) w powieści *Odpocznij po biegu* (1975), która stała się podstawą spektaklu w Teatrze Powszechnym w Warszawie (1976, reż. Zygmunt Hübner). W XXI wieku przypomnieli to zdarzenie regionaliści, m.in. Elżbieta Hurnik czy Jarosław Kapsa. Kolejne tropy to napady na banki częstochowskie (najbardziej chyba znane to akcja słynnego w międzywojniu włamywacza-kasiera Szpicbródki, a w czasie II wojny światowej napad żołnierzy Armii Krajowej) oraz miłość do klubu piłkarskiego Raków, klubu o ponad stuletniej historii. Do tego pewnie jeszcze można dodać kilka innych kontekstów: popularność kryminałów w naszym mieście (z cyklem *Kryminalna Częstochowa*, realizowanym kilkanaście lat temu przez Adama Regiewiczza, dy-

rektora ówczesnego Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie) czy projekt Julity Paprotnej *Nasze miasto – Częstochowa* (2019), polegający na zebraniu i opublikowaniu wypowiedzi

częstochowian w książce przygotowanej z wielką uważnością przez Joannę Ambroz. Wśród reminiscencji na temat miasta ważne są także maryjki, plastikowe butelki na wodę święconą, kojarzące się m.in. z twór-



fol. Piotr Dlubak

czością Wioletty Grzegorzewskiej. Trudno powiedzieć, czy wszystkie z zapisanych przeze mnie konotacji były zamierzone przez autorki spektaklu. Być może obowiązuje tu zasada, że im więcej wiesz o Częstochowie, tym większą liczbą smaczków będziesz się mógł rozkoszować.

Cudowne to przedstawienie niespieszne, w którym mimo eksponowanego wątku poszukiwań zaginionych (obrazu oraz papugi) najważniejsi są zwyczajni ludzie oraz ich nieco zwirowane historie. Odczuwamy to niemal fizycznie. Na szczególnie momenty dłuższymi wypełnia doskonała muzyka (Magdalena Sowul). Spektakl rozpoczyna się znajomymi frazami zapisującymi perspektywę typowego mieszkańca: „pomiędzy wieżą a kominem” (to o centralnej ulicy miasta, Alejach NMP, gdzie kiedyś odbywał się festiwal ART.eria), „nic się tu nie dzieje”, „nie lubię tego miasta”. Oglądając spektakl, zadajemy sobie pytania, czy Częstochowa może zaciekać? Czy jej przeszłość jest atrakcyjna? Czy zachęca do zaglądania w tkanę miejską? Czy na podstawie takich historii można zbudować interesującą opowieść? Eksponowany w opisach Częstochowy status „pomiędzy” pokazano jako miks różnych światopoglądów oraz kultur. Niejednorodne postacie zostały silnie skonstrastowane, chwilami zdają się nawet nieco groteskowe. Jest więc paulin w habicie, ubrana w barwy klubu piłkarskiego Raków sprzedawczyni z kiosku (Magdalena), barwnie ubrana jasnowidzka, skromna kochanka paulina, narratorka, inspektor Majkel oraz Maria, w pierwszej części dość niepozornie towarzysząca grupie, która ostatecznie stanie się poszukiwaną Maryją.

Obok doskonałej muzyki ważnym elementem opowieści jest scenografia (Magda Mucha). To przecież zniknięcie obrazu Matki Boskiej wywołuje aktywność postaci. Dla jednych jest to naruszenie religijnego porządku, dla innych kradzież ważnego miejskiego artefaktu. Dekoracja jest dość uboga: w głębi sceny pusta rama oraz szereg luster, odbijających światło i aktorów, uzupełniana momentami sztuczną mgłą i dymem z papierosów, które w połączeniu z oświetleniem zdają się tworzyć rozmaite nierealne kształty, co potęguje wrażenie tajemnicy. Pusta rama to nie tylko widomy znak kradzieży, to niezwykle ważne miejsce, które może zostać wypełnione jakąś ideą lub wizerunkiem. To znak intrygujący, stawiający pytania o wartości dzisiejszego świata, przymuszający do refleksji. Przy nieco innym ustawieniu luster siedzący na widowni

mogliby zobaczyć siebie, prawdziwą współczesną Częstochowę.

Jako mieszkańcy Częstochowy i regionu częstochowskiego, albo jak kiedyś mówiono „ziemi częstochowskiej”, poszukujemy tożsamości, jakiegoś wyróżnika tego miejsca, który nie byłby jedynie brakiem nacechowania w zestawieniach na przykład ze Śląskiem czy Małopolską. Poszukujemy więc stroju częstochowskiego, charakterystycznego sposobu mówienia, dziedzictwa kulinarnego, itp. Jakie więc jesteś, moje miasto? U podnóża Jasnej Góry, wielokrotnie demonstrujące swoją niewiarę i lewicowy światopogląd, niechęć do pielgrzymek, które zakłócają normalne życie, ale przecież złaknione jakichś form cudowności, żywiące się przez wieki opowieściami o uzdrowieniach, o egzorcyzmach, o wskrzeszaniu z martwych, obserwując z uwagą ludzi, którzy właśnie tutaj szukają ukojenia i nadziei.

Pierwsza część spektaklu bazuje na historii Macocha, zakonnika z Jasnej Góry, który ożenił kochankę Hannę ze swoim kuzynem Wojciechem, a następnie zamordował go w przypływie zazdrości. Opowieść ta nie stała się jednak źródłem jawnej antyklerykalnego ataku. Zdarzenia te nie znajdują również potępienia w świecie przedstawionym, a nawet, wbrew obawom kochanków, nie wzbudzają zgorszenia. Trudno powiedzieć, co wiedzą ludzie wokół, ponieważ nie usłyszymy słowa komentarza na ten temat. Może czasem jakieś dwuznaczne spojrzenie. Gdyby nie śmierć Wojciecha, ta historia mogłaby przejść niezauważenie. Można odnieść wrażenie, że sposób prowadzenia tego wątku jest nieco anachroniczny. W spektaklu obserwujemy przemianę Hanny (Sylvia Warmus), która staje się coraz bardziej świadoma siebie i chce się uniezależnić. Podkreślają to sceny o charakterze metateatralnym. Nie jest ona wprawdzie aktorką, ale jej życie ze sprawą Macocha miało stać się ciągłym przedstawieniem. Kobieci uczy się więc wiarygodnego mówienia, by dobrze odegrać rolę kochającej żony, a następnie świadomego bycia na scenie. Warto zwrócić uwagę na choreografię (Daniel Leżoń).

Wątek Macocha dopełniają w części pierwszej poszukiwania skradzionego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej oraz papugi, która uciekała z mieszkania wróżki. Papuga pojawia się w części drugiej i staje się pełnoprawną postacią sceniczną. Zestawienie tak odległych rzeczy (cudownego obrazu i papugi) nie prowadzi jednak do narusze-

nia świętości. Poszukiwania stają się bowiem pretekstem do podróży podjętej przez bohaterów, okazją do stworzenia grupy, a może również zdiagnozowania współczesnego świata. Z kolei część druga to teatralna opowieść na temat wiary oraz potrzeby religijności. To piękny łaciński śpiew jasnowidzki „Zdrowaś Mario, łaski pełna” oraz metamorfoza Marii (Agata Ochota-Chutry). O takiej Marii marzymy; cieplej, wyrozumialej, znoszącej naszą niewygodną codzienność.

Spektakl balansuje między performansem a przedstawieniem, gdy aktorzy wychylają się spoza uosabianych postaci, by opowiedzieć swoje historie związane z pobytami w Częstochowie. Na pewno taką rolę pełni opowieść Czesławy Monczki, która przyjechała do naszego miasta w 1982 roku na jeden rok i została. Wcześniej grała w teatrach w Bielsku-Białej, w Sosnowcu, Zabrze i Jeleniej Górze. Do takich scen należy też zaliczyć duet przed zasłoniętą kurtyną, Michała Kuli (Majkela) i Agaty Ochoty-Hutyry (Maria). Ich dyskusja na temat tożsamości, gry, udawania i prawdy to jedna z ważniejszych i najpiękniejszych scen w spektaklu. I choć nie jesteśmy pewni, czy Michał Kula, nie ucieka w żart, gdy deklaruje marzenie, by być jak Kirk Douglas, wierzymy, że przepełnia go potrzeba bycia użytecznym, dla teatru i dla miasta.

O czym jest więc to przedstawienie – o kradzieży cudownego obrazu, o Damazym Macochu i jego kochance, o zabójstwie Wojciecha, o przeistoczeniu się Marii w Maryję, o potrzebie wspólnego działania, o aktorach i ich zawodzie, o potrzebie pracy nad życiem, by doświadczyć jego cudowności, a może o Częstochowie i jej mieszkańcach, tak czasami nieufnych, podejrzliwych, osobnych.

W spektaklu pojawia się mnóstwo sygnałów ujawniających aspiracje teatru do bycia centrum miejskiej wspólnoty. To nie tylko chęć postawienia diagnozy i zaproszenie do medytacji nad tajemnicą miasta, budowanej za pomocą luster, zasłoniętej pustej ramy czy wreszcie mgły i dymu. Na końcu przedstawienia aktorzy odczytują, w co wierzą ci, którzy są na przedstawieniu. To wyznanie wiary w Boga, w reinkarnację, ale też zapis osobistych nadziei, oczekiwań wobec rządzących krajem, władz miasta. Czasami to bardzo intymne wyznania, więc ich autorzy być może są nieco zaskoczeni, gdy słyszą ze sceny zapisane przy wejściu do teatru słowa. Ale dzięki temu każdy może stać się częścią *Cudownego*. ■





Festiwal A Part – spektakl Granica

Teatr A Part

RADOSŁAW KOBIERSKI

Przed wszystkim chciałbym zaznaczyć, że moje wystąpienie na konferencji z okazji jubileuszu festiwalu A Part nie jest wystąpieniem teatrologa czy filozofa kultury, nie czuję się w tych rolach właściwie, chociaż korzystam w mojej pracy z narzędzi oferowanych mi przez te profesje i horyzontów, które one wyznaczają. Występuję jako szeregowy widz, ale także czytelnik (literatura, która mnie porusza, wprawia w ruch również idee teatralne), ktoś kto odzyskał teatr dla siebie, odnalazł swoje miejsce w teatrze (nie tylko miejsce na widowni). Staralem się zebrać w tym wystąpieniu intuicje i przemyślenia, subiektywne z ostatnich dziesięciu lat.

Jest dla mnie oczywiste, kiedy spoglądam wstecz, że na to odzyskiwanie teatru dla siebie, miało wpływ kilka czynników o różnej sile wpływu. Przed wszystkim spektakle teatru Cricot 2. To był pierwszy krok, zrywający połączenia z martwym szkolnym dydaktyzmem wiążanym ze scenami instytucjonalnymi. I tu dygresja: Kiedy mówię o odzyskiwaniu teatru dla siebie, mam na myśli pewien stan naturalny i pierwotny w doświadczaniu życia, w ceremonii życia, również taniec, akt w pełni fizyczny, ruch na scenie, którą ustanawiało się samemu dla siebie i innych, które w trakcie socjalizacji i narzuconych schematów reagowania w teatrze i na teatr zostały kompletnie zaburzone. Jeśli więc dziś mówię: odzyskuję dla siebie teatr, mam na myśli nawiązywanie kontaktu z naturalnością i aktywnością, i ekspresją.

Po drugie: rozpoznanie formuły *physical theatre*; nagle się okazało, że teatr można robić inaczej, niewerbalnie, performatywnie, cieleśnie. Po trzecie: Teatr i festiwal A Part, w których związały się definitywnie wszystkie te zachwyty, rozpoznania i intuicje. Mógłbym powiedzieć, bez cienia przesady, że w mojej historii zachwyty teatrem, czas dzielię na przed A Partem i po A Partie. Przestrzeń między nimi to mój punkt zero. Mój teatr zero.

Wydało mi się, i jest to moje odkrycie nie o charakterze liniowym, rozłożonym w czasie ostatniej dekady, że w przedstawieniach Marcina Hericha i zespołu teatralnego schodzą się wszystkie linie i perspektywy, które mnie jako czytelnika i widza absorbowały i pasjonowały. Oczywiście Tadeusz Kantor. Ale również Hans Bellmer, Bruno Schulz – nie tylko ten Schulz z *Xsięgi Bałwochwalczej*, Jerzy Nowosielski. A przynajmniej

to, co legło u Nowosielskiego, u podstaw rekonstrukcji malarstwa figuratywnego po okresie abstrakcji: freski w odkrywającym Pompeium.

Dwie pierwsze perspektywy nie są oczywiście żadnym odkryciem. W materiałach promocyjnych do *Cyrku Bellmera* czytam: W twórczości Bellmera, podobnie jak w spektaklach Teatru A Part seks i śmierć splatają się w jedno. To twórczość stroniąca od doraźności i realizmu, a równocześnie autobiograficzna, wynosząca doświadczenia, fascynacje i lęki ku iluzji i transcendencji. Hans Bellmer zmarł w 1975 roku, w tym samym roku Tadeusz Kantor wystawił po raz pierwszy swą niesłyszana *Umarłą Klasę*.

Działalność teatru w bardzo ogólnym skrócie mogę podzielić na kilka obszarów, w zależności od których przedsiębrane są odpowiednie środki i rekwizyty. Obszar historyczny i literacki (*Kunstlerspiele*, *W dżungli historii*, *Varietes*, *Faust*, *Lear* i szkice do *Leara*, *Ostatnie dni ludzkości*) współczesny, i analizujący krytycznie wybrane aspekty współczesności (kody kultury, symbole, religie, idee: *Cztery*, *Trzy Cztery*, *Four More*, *Cyrk Bellmer*), osobisty/biograficzny (do tej grupy zaliczam w szczególności monodramy i performance solowy Moniki Wachowicz i Marleny Niestrój. Granice, co warto zaznaczyć, są tu bardzo płynne, np. *Alicja* mieści się swobodnie w trzech obszarach, *Przejrzy-*

łość pustki w dwóch, w *Learze* to, co osobiste i intymne, przepływa do publicznego i historycznego, i transformuje je.

Taka strategia – kiedy zderzamy powszechnie znane i obecne dzieła kultury (*Boska Komedia*, *Faust*, *Król Lear*) z nowymi uniwersami (np. osobistymi) i odczytujemy je przez nie – jest oczywiście podstawą istnienia teatru (w każdym razie instytucjonalnego), przy czym wydaje mi się, że teatr niewerbalny, performance może w tej przestrzeni znacznie więcej, dlatego że odwołuje się do sfer właśnie pozawerbalnych, emocjonalnych, nieuświadomionych.

Interesuje mnie jednak nie odczytanie i odnowienie tekstu (dzieła), ale pewien klimat, czy może nawet obsesja, z jaką tematy, nieraz zupełnie odległe od siebie, zostają przetworzone, wspólne elementy tego przetworzenia, które składają się na autorską sygnaturę.

I owa autorska sygnatura czy – inni słowy – pieczęć reżyserska Marcina Hericha jest tak silna, że przenika nawet do portretu fotograficznego A Partu, co miałem okazję zauważyć podczas pierwszej zbiorowej wystawy zdjęć/historii spektakli *Przymierzanie cieni*. Wystawę tworzą fotografie wielu autorów, wiele spojrzeń i perspektyw, jednak wyłania się z nich jedna wspólna cecha, właśnie świadcząca o sile głosu i proweniencji różnych jego składowych. Teatr jako ceremonia. Spek-



Festiwal A Part – spektakl *Umarłam ze szczęścia*, próba

fol. Marcin Dziurko



Festiwal A Part

takl jako misterium. Teatr jako fresk ulokowany w sekretnej przestrzeni. W przestrzeni inicjacji. Teatr jako labirynt. Czyli tam, gdzie dokonuje się właśnie transformacja. Przejście z jednego stanu do drugiego. Z teatru nie wychodzi się bezkarnie, pisał Tadeusz Kantor. Inicjacja łączy się ze zmianą, to oczywiste, ale również z rozwojem. To wytyczenie jakiejś nowej drogi do przebycia, ale nie jest to droga darmowa. Charonowi zostawiało się obol. W inicjacjach wielu kultur i cywilizacji przednowoczesnych (z ich archaicznymi formami, które przetrwały do dzisiaj) przedmiotem przetargu – transgresji – jest krew lub tkanka, fragment ciała. W teatrze ofiarą składaną dobrowolnie jest niewinność.

Chciałbym właśnie udowodnić, choć będzie to szalenie trudne, że pompejańskie wille misterium, odkryte dla malarstwa przez Nowosielskiego, równoległe bocznicę Brunona Schulza, lalka Bellmerowska oraz Infernum Tadeusza Kantora są gruncie rzeczy pojęciami tej samej rzeczywistości, elementami jednej, stale rozwijanej i pogłębianej obsesji, elementami wspólnej noosfery, która łączy idee w czasie (Między wystąpieniem literackim Schulza a *Projektem Dante i Alicją* – dziełami, które stanowią kulminację poszukiwań Teatru A Part, rozciągają się całe sto lat).

W tej perspektywie znikają różnice genologiczne i strategie reżyserskie. To znaczy wciąż mogę analizować charakter, styl, rekwizyty, pomysły, oddziaływanie, komentarz reżyserski czy aktorski

przedstawienia plenerowego, spektaklu tworzonego w kooperacji, przedstawień kameralnych czy wreszcie występów solowych, ale nie zmienia to zasadniczego dla teatru A Part wektora, który biegnie od pokładów niższych do sfery wyższej, od nieuświadomionego do oficjalnego i dyskursywnego, od pokładów historii (śmietnika historii), anegdot, plotek po narrację uwspółcześnioną. Z najgłębszych szuflad, piwnic i stryszków, starych walek i szaf na światło dzienne. Ta intuicja stała się dla mnie wyraźna i oczywista od pierwszego zetknięcia z teatrem, od realizacji *Ziemi Gomo* w nieczynnym Kinie Słońce w Janowie. Już wtedy, 8 czerwca 2013 roku pisałem o „formach nieudanych” (tytuł *Ziemi nieudanej*), oczywiście nie w sensie artystycznym ani spekulatywnym; chodziło mi o to, że teatr nad tymi formami się właśnie pochyla, najpierw rozpoznaje ich obecność, opisuje ich ciągle zmieniający się kształt, a potem je wzrusza, pobudza do życia, jakby rozpałał ogień, wzniecał iskry w materii dawno już ugaszonej, mitycznej, a nawet wstydlivej. Można powiedzieć, że te iskry (działanie teatralne) są jak przenoszone impulsy nerwowe z tkanki do tkanki, z jednego stawu kulowego do drugiego. Kolejne lata i kolejne projekty A Partu potwierdziły pierwsze intuicje. Zwłaszcza spektakle dla mnie kulminacyjne: *Sen Ariadny*, *Projekt Dante*, *Alicja*, które angażowały również widza, wprowadzały widza do labiryntu i ustawiały przed ciemnym lustrem. Marcin Herich załatwił tym sposobem dwie spra-

wy: znalazł swój rytm, rytm i uniwersum dla swoich opowieści a jednocześnie umieścił je w „tu i teraz”, we wrażliwości współczesnego widza – opowiadał przecież o sprawach uniwersalnych: miłości, władzy, przemocy, śmierci dzisiaj. Czym one dzisiaj dla nas są i co dla nas znaczą.

Bruno Schulz o tej rzeczywistości, którą ja dziś lokuję w kontekście teatralnym, bo ten kontekst mi ona otwiera w sposób oczywisty, pisał jako odnogach czasu „problematicznych i nielegalnych”, którymi wiezie się wydarzenia nie do zaszeregowania. Wspominał również o tym, że czas na owej bocznicie czy bocznym torze, można rozciągać dowolnie („reaktywujemy czas ze wszystkimi jego możliwościami”, tu po prostu wydarzenia z oficjalnego czasu mogą nie dojść do skutku, można nad nimi pracować). Teatr Marcina Hericha wykonuje właśnie tę pracę: odgałęzia w jakimś punkcie historii boczną odnogę, ślepy tor, żeby zepchnąć nań nielegalną historię. Jest to zarazem przestrzeń inicjacji, którą za każdym razem teatr podejmuje sam, od nowa, od początku, a my, jako widzowie razem z nim, również sami, od nowa i od początku. Spektakle *Labirynt Wenus*, *Sen Ariadny*, *Alicja*, *Projekt Dante* próbują nam właśnie to unaocnić: podróżujemy sami, osobno, każdy w głąb siebie, każdy z nicią w rękę, gotową do zerwania. Rozpoznanie nierozpoznanego, nieoczekiwane jest właśnie jak impuls w Bellmerowskiej lalce, nigdy nie wiadomo, co w nas ożywi, jaką tkankę czy strukturę, jaką emocję przebudzi, nawet taką, do której nie chcielibyśmy się przyznać. Przejście przez króliczą norę – pisałem o *Alicji* – jeśli postaramy się zrozumieć, czym ona jest w perspektywie współczesności, ale i dosłownie (jeśli czytać ją np. za Timem Burtonem) to podróż przez piekielne kręgi, wiktoriańską obłudę, dwuznaczne biografie, kluby gogo, piwnice Fritzla, przez karty powieści Herty Mueller i Jelinek, filmy Lyncha i Hanekego, przez własną wyobraźnię obarczoną i obciążoną nieusuwalnym cieniem. Tym cieniem, który przesuwają się po czerwonych ścianach ozdobionych freskami i ożywionych migoczącym płomieniem świec.

„Nie wiem, co tu się naprawdę dzieje. Jaka akcja się tu rozgrywa. Ledwie coś przeczuwam. Snuję jakieś niezobowiązujące i szybko rozsnuwające się narracje. Brakuje mi słów, by nazwać to, co widzę, a te które mam na podorędziu płaczą się w zeznaniach. Nie wiem, na co dokładnie patrzę, ale wiem, że wzrok mam utkwiony w ciemnym wirze. Wirze, który mówi coś do mnie i o mnie, choć mówi niejako, *per speculum in aenigmate*”. To obraz w najgłębszym sensie słowa religijnego. Jeśli piszę „religijny” mam na uwadze właśnie obrzęd jako formę wspólnotową, przedteatralną (przedustawną można rzec).

Dariusz Czaja w powyższym fragmencie nie pisał o Teatrze A Part, ale właśnie o inicjacji, jaka łączy się z ową nielegalną drogą, z rytuałem przejścia, z misterium transgresji. O ścianach willi misteriiów pokrytych freskami, które odsłonił wulkaniczny tuf. Czy ktoś z nas, wiernych widzów Teatru A Part wątpi w to, że teatr wskazuje nam tę samą drogę, wskazuje nam te same obrazy (freski), które mają nam towarzyszyć w labiryncie, który sam dla nas ustanawia? A Part przecież od początku był również teatrem wizualnym, na wskroś malarskim, uzależnionym od ikonografii i sztuki europejskiej, od antyku, z którego zaczerpnął dionizyjskiego ducha i obsesję ciała przez renesans, z którego wypożyzył punktowe oświetlenie i ciepłe barwy po obrazy dwudziestowieczne, surrealizm i ekspresjonizm.

Jeśli miałbym sobie odpowiedzieć na pytanie o pewną sprzeczność, która rysowała się między ideą zejścia do podziemi, ożywianiem form nieudanych (czyli w jakimś sensie nas samych, naszych form namiętności, żądz, tęsknoty, skłonności do przemocy) a antyczną i renesansową wizualną stroną spektakli, przecież w jakimś sensie ratującą wizerunek człowieka, powołałbym się na doświadczenia Kantora. Jeszcze w 1947 roku Kantor przeczuwał owo zejście do Infernum, wewnętrzny imperatyw zejścia w głębsze, niższe pokłady natury i kondycji człowieka, ale wciąż w tym samym czasie bał się utracić tak mu drogi klasyczny wizerunek człowieka (znany mu m.in. ze ścian muzeów, z których zdejmujemy go również Marcin Herich).

Może również chodzić o to, że Marcin Herich i Teatr A Part wychodzi z tego klasycznego wizerunku bez pęknięć, z idealnych proporcji i harmonii ku owym ciemnym lustrum, w których wizerunek wygląda już inaczej, może jest to wizerunek Meduzy albo potwora kryjącego się na końcu labiryntu, czyli na końcu każdego koszmaru. Lub w klatce, którą trzymamy na zapleczu siebie, w najbardziej nieoficjalnej i skrytej w półmroku części własnej duszy (chciałbym przy tej okazji przypomnieć, że klatka jest jednym z często wykorzystywanych rekwizytów w spektaklach Teatru A Part, by wspomnieć *Femine*, *Kairos*, spektakl solowy *Pieśń cmy* Marleny Niestrój, ale również *Ziemię Gomo*, gdzie cała scena jest klatką, ogrodzona drutem pod napięciem. Klatką jest również każdy z boksów tworzących śliski, przerażający ale i pożądany w jakimś sensie labirynt w *Projekcie Dante* i *Alicji*, *Śnie Ariadny*. Niby zawsze z tyłu głowy jaśnieje nam myśl, że jesteśmy tylko częścią konwencji, a ona jest kluczem do wyjścia, mamy również przewodniczkę ceremonii albo otrzymujemy do rąk nić, która ma nas wyprowadzić. I tu kolejna dygresja: Nić prowadzi nas do doświadczenia, do środka tego doświadczenia i wyprowadza nas na zewnątrz. Jest potrzeba na każdym etapie.

I na każdym etapie może ona zostać zerwana. Tak kruche i niebezpieczne jest do doświadczenie. Niebezpieczeństwo tkwi nie tylko w tym, że się gdzieś zatrzymamy i nie ruszymy dalej. Ryzykowna jest sytuacja odwrotna, kiedy udaje nam się przejść wszystkie etapy wtajemniczenia i dokonuje się w nas transformacja. Przecież w tym momencie stajemy się inni. Teatr staje się inny. Staje się nie tym samym miejscem, którym był przed chwilą, do którego przed chwilą weszliśmy.

Wracam jeszcze raz do ścian pokrytych freskami w domu, w którym odbywały się obrzędy ku czci Dionizosa. Bohaterką tych przedstawień jest kobieta, prawdopodobnie panna młoda, która przechodzi „męczeńsko-erotyczne” – jak to określa Maria Marszałek – rytuały inicjacyjne: jest przebierana w specjalne szaty, słucha katechez, składa ofiary, a nawet jest biczowana. Jerzy Nowosielski wspominał, że w stanowiących swiste *theatrum pompejańskich* freskach można doszukać się genezy jego własnych pomysłów malarskich. A teraz cytuję z Dziennika Różewicza: „A więc stoję przed obrazem Nowosielskiego... milczę – pisał Różewicz – (...) *Villa dei Misteri*, ten obraz ma wiele wariantów. Ta *tajemnica* łączy się z szeregiem aktów kobiecych w łazienkach, na stadionach, lotniskach, wnętrzach domów i samochodów, aktów powielanych w zwierciadłach, lusterkach, szklach okularów. Ta część malarstwa Nowosielskiego zbliża się do teatru, a nawet jest teatrem (malowanym, a więc milczącym)”.

Wydaje się, że kobieta, kobiecość, doświadczenie kobiecości – w kontekście patriarchalnym ale również symbolicznym i metaforycznym jest również w Teatrze A Part elementem konstytutywnym. Spajającym (co jest oczywiście trochę paradoksalne, wzięwszy pod uwagę strategię emancypacyjną teatru: kobieta znów jednak pełni rolę służebną wobec czegoś. Np. wobec tematu wyzwalania). W końcu o zmianie mówić może tylko ten, kto nieustannie doświadcza zmian – nieważne, świadomie czy będąc do tego przymuszany. W końcu o wolności, o dochodzeniu do wolności może mówić tylko ten, kto doświadcza zniewolenia, komu jest owo zniewolenie narzucane. Kiedy oglądam wczesne spektakle Teatru A Part: *Femine*, *Labirynt Wenus* i porównuję je do projektów ostatnich lat, zauważam tę narzucającą się niezmienną: Teatr A Part ustawia kobietę w centrum swojego uniwersum: liczy się tu jej opowieść o życiu, przemocy, zmaganiu z ciałem (które jest ciałem politycznym, to znaczy wyznacza ono granice wpływów i obszar walki) wreszcie o drogach emancypacji, szlakach wyzwolenia, ale liczy się również kobieta jako teatralna metafora i narzędzie do formułowania krytyki współczesności. Być może nie trzeba było tego robić, gdyby współczesność nie zajmowała się kobiecym ciałem – na każ-

dym etapie jej rozwoju. Teatr A Part bardzo subtelnie manewruje tą niełatwą i intymną dziedziną, chodzi wszak o to jak intymne przechodzi w publiczne, jak publiczne wdziera się w intymne i osobiste. Nagość w teatrze jest zupełnie czymś innym niż nagość w kapitalizmie i popkulturze. Nagość w teatrze opowiada o przemocy, o bezbronności radykalnej, również o bezdomności, ale jest też źródłem siły, przetwarzaniem słabości i uprzedmiotawianiem ciała w podmiotowość i kontrolę własnej cielesności. Niemniej w teatrze oglądamy cały obszar, który podlega metamorfozie (połączony ze wszystkich stron cienkimi nićmi), między ograniczeniami, tresurą, służebną rolą wobec społeczeństwa i kultury a horyzontem wolności.

Teatr A Part pokonuje tę samą drogę, jeśli chodzi o wizerunek kobiety, co malarstwo Nowosielskiego: od ukazania różnych form przemocy fizycznej (kobiety wiązane, tresowane, torturowane – można powiązać ten aspekt z lalką Bellmerowską na poziomie wizualnej dosłowności, Herich do tego obszaru dodaje również mniej oczywiste formy ograniczające sprawczość i aktywność, która nakłada na kobietę nowoczesność) po byty w pełni samoświadome, podmiotowe i aktywne przedstawiane w sposób hieratyczny, monumentalny. Często również są to portrety kobiet odwróconych, co można z pewnym ryzykiem nadinterpretacji potraktować również jako odwrócenie mitu orfickiego. To wyłącznie kobieta jest zdolna do zachowania obietnicy i uratowania ukochanego. Odwraca się jednak tylko ten, kto nie boi się tego, co/któ znajduje się za plecami (Widać to szczególnie w kilku scenach ostatniego spektaklu Teatru A Part *Umarlam ze szczęścia*).

Zejście do piekieł, do Inferna Kantora czy piekła Nowosielskiego, w sensie artystycznym, w sensie sztuki jest działaniem ocalającym (wszystko to, co da się w piekle ocalić). Jest samym działaniem, przejmowaniem patriarchalnej narracji. W lustrze, w ciemnym lustrze można zobaczyć własną duszę. W lustrze, w obrzędzie lustracyjnym, w Willi Misteriiów pojawia się obraz naszej duszy – *animy*. Gdyby w to lustro patrzyła kobieta, zobaczyłaby zapewne uosobienie własnego nie zrównoważonego życiowego animuszu. Dusza kobiety jest, jak nas zapewnia Jung, rodzaju męskiego. Psyche to całość procesów psychicznych, świadomych i nieświadomych. Psyche, to zatem dwie dopełniające się przeciwstawne sfery, świadomości i tak zwanej nieświadomości. Po francusku duże ruchome lustro nazywa się psyche.

Wykład wygłoszony w ramach XXX Festiwalu Sztuk Performatywnych A Part w Instytucie im. Wojciecha Korfantego w Katowicach.

Rywale

Piękno koncentrycznych linii
kamiennych zmarszczek jest posłuszne
prawom danym kształtom i ruchowi, ulotnej Pi,
przeto na kamieniu i wodzie, które są z materii
swe blaski kładzie wszechwładna liczba.
Jakaż estetyczną ucztą
są okazałe wzory, pętle lotu czarnej muchy
i śliskie falowanie pełznącego węża, lustrzane błyski
na stawie z ryciną odbitych gałęzi. Pikowanie jaskółki.
Zatem pełen jest pokory wobec zmyślnej trajektorii
promieni i żaby ryczącej, co swoim „chrum” umie
policzyć do pięciu i do sześciu, w odpowiedzi –
wiatr tworzy równania, którym abakus nie sprostą.
Jego umysł nie większy jest od umysłu lecącej pszczoły,
tej drobiny od słońca. Lśniący liść potwierdza.

Pszczoły Pitagorasa

*Czar pogrążonego w półśnie poranka
zniechęca podróżnika do podróży
z „Pewnej nocy rozmyślając”, Saadi (Persja, XIII wiek)*

Urok pogrążonych w półśnie białych pszczołek
letargicznie unoszących się nad czerwienią płatków
odciąga uwagę Pitagorasa; nie dostrzega
jak sztylet prującego powietrze jastrzębia,
przeciwprostokątnej toru lotu do linii spadania
kossy jego szponów na nieuważnego zająca.
Nie widzi też trapezu światła świtu
z ryciną gałęzi w stawie, szkarłatnej geometrii.
Ale uśpiony widokiem pszczoł, świadom jest;
on, uczony od rzeczy najmniejszych, kocha balsamiczne
tchnienie słabego wiatru, co do snu kołysze pszczoły
i jego. Słodką, wonną bryzę. Ten dający ukojenie
obraz świata, w którym nic złego stać się nie może; nagle
pszczoły zrywają się do lotu, lecz on pozostaje w bezruchu.

Pitagoras znajduje odpowiedź

za Szekspirem, Sonet 60

To, jak morskie fale biją o kamienisty brzeg,
unaocznia, jak matematyka nadaje ton naturze;
natarcie i cofanie się, jakby ocean był polem
bitwy swych własnych wodnych trybów. Sądzi, że to
jest wskazówka dla zrozumienia praw i teorii, prawdy.
Morska piana uwodzi zmysły, poranne słońce mruga
w stałych odstępach; liczby dają wgląd
do najgłębszych pokładów wszechświata.
Kolejny dowód, mewy, zawisłe w bezruchu, nagle
kołują, by zanurkować po rybę, a ich zaciekle rywalizacja
przypomina mu kłócących się akademików:
to matematyczna operacja u swoich źródeł.
Tak, obserwacja morskich fali przynosi zrozumienie.

Wzorem mędrca

Co piękne, jest matematyczne:
nic co żywe tych walorów nie łączy w sposób
doskonalszy niż mała cykoria,
wdzięcznie kołysząca się przy letniej bryzie.
Ma coś z mędrca, w płatków koronie,
długo świeżej, jakby jej czas się nie imał. Jej niebieski
rozkwit stale wzrusza. Jakże swoją gracją
i urodą wpisuje się w poczet sław matematycznych
wśród kwiatów i pszczoł. On też, jak cykoria mógłby:
w ludzkich kręgach (duże miasta, liczne odczyty).
Być ot, bardziej rzutki, nachalnie się lansować.
Wszem i wobec ukazywać dany przez naturę geniusz.
Lecz on wyniosły jest, stroni od ludzi, do szczęścia
wystarcza mu powściągliwy poklask rannego słońca.

Czarne mrówki, liść, trawa

W świecie antycznym rzeczą niełatwą
było zrozumieć, że istnieje więź pomiędzy drzewem
i zwierzętami, i całym ludzkim rodzajem:
że z jednego są załączka. Nieskończenie długo
czas trudził się, by głębokie powstały różnice
między krzewem róży, pręgowcem, lwem, czy mrówką;
i co do drzew, nigdy wzmianki
o pobratymstwie z przechadzkami.
Poczucia wspólnoty rodzica, lecz Pitagoras
wyszedł na spacer po chłodnym lesie i okrągły liść
upadł mu na rękę. I spostrzegł żyłki
na liścia gładkiej powierzchni. Podobne do tych
na własnej ręce. Posiadł teraz pewność nieodpartą
wspólnego początku:
mrówki. Lwa. Trawy.

Studia pitagorejskie

Gdy ewolucja wydała na ziemię rośliny,
wraz z najczystsza zielenią paproci, nastąpił
bujny rozrost, jakby powtórne narodziny
życia. Studiując naturę, Pitagoras domyśla się
tego w sennie wizji, w której:
smoki to dinozaury, tak zapamiętane,
historia to znacznie więcej niżli nazwiska i wojny,
a gwiazdy piszą narodziny w błyskach i blasku.
Wie, że sieć linii na jego kciuku, to nie tyle to, co widać,
ile ślad pozostawiony po kosmicznych kręgach.
Zielonokrwiste żyłki liścia: tam zrodzone, gdzie jego własne.
W snach tematy jego studiów sięgają znacząco
poza te na papirusie lub abakusie.
Odgaduje: świat rozwinął się z pojedynczego nasiona.

Pierwiastek kwadratowy latania

Wykonać pomiar zbiegu platynowych gorących promieni schodzących z mrocznego całunu chmur, rozbrystłych na podłużnych mokrych od rosy liściach, z zielonym migotaniem stawu i przeciwprostokątną bryzy,

aby obliczyć pierwiastek lotu szarego jastrzębia, unoszenia w błękicie, krzywą lotu ponad dalekim wzgórzem z pasemkami słońca i powrotem, elipsą obrysu skrzydeł, swobodą szponów.

Nie umie rozstrzygnąć co bardziej frapuje, czy geometria lotu, czy widok, jaki musi roztaczać się z nierównej chmur półki; pragnie spoglądać z wysokości ... nagle szarpnięcie, potem wzbijasz się w powietrze, z tyłu zaczynają

rosnąć skrzydła.

Świat ze swym zamieszaniem i zgiełkiem umyka, jest tylko powolne wznoszenie się w stronę słońca.

Tak jak one

Jakże fascynuje matematyka dotycząca ptaków, ich nawracające nawoływania, parabole lotu – sporą część dnia zajmuje ich zliczanie, potem śledzi krzywe wzorów ich skrzydlatych wprawek przy gasnącym słońcu. Pewien wzajemnych podobieństw, chciałby wejść z ptakami w dyskurs, co do jakich zgodni są reguł: czemu „trzy” powtarza się w większości wzorów. Dlaczego suma dźwięków, jakie wydaje jeden ptak różni się od tej innego. Lecz cisza jest odpowiedzią na jego dyszkan; zbyt odległe są językowe koneksje, nigdy nie uda się w tym lesie klarowny odczyt lub komentarz muzyczny. Zostaje tylko głęboko zacerpnąć powietrza w zachwycie nad odsłoną piękna: gdy grają matemo-ptasie flety!

Niepewność

Wszystko splecione, pnąca jeżyn, bezład po wietrze; po burzy, która przeszła, las chyli czoła przed chaosem. Kiedy patrzeć z góry, z ukwieconego wzgórza, podobne spustoszenie jest dla logika obrazem piekła: rażone piorunem pnie drzew i w błocie leżące gałęzie bazgrzą litanie o pewność rzeczy, wbrew faktom; i nic, ani symetria liści, ni krągłość słońca, ani też linie proste promieni, nie przekonują go, że ich wzory mają jakiegokolwiek znaczenie. Jednak znajduje przyjemność w tej godzinie świtu i logice zmyślnie w niej zamkniętej. Filozofii w czystych interwałach śpiewu gajówki i delikatnych łukach lotu pękatej pszczoły od białych do czerwonych goździków. Wreszcie morza, za obszarem lasu, migocących, nieśpiesznych fal posłusznych matematyce. Pewność jest w ich jak diament pianie.



Pitagoras tłumaczy

Podczas gdy jedni wsłuchani są w ich śpiew, jego zaprzęta myśl czym dla ptaków jest matematyka. Traktuje sekwencje owych dźwięków jak słowa, które głoszą na tej ścieżce wśród liści, wzięte z ptasiego nasłuchu poglądy na osłonecznione proporcje, na repetycje, formuły i na Pi wreszcie. Ich harmonia objawia nam, że niektóre ptaki dobrze znają się na matematyce, że nawet odlatując, gdy on się przybliża, obliczają pod jakim kątem opaść na pobliskie drzewa. Nie trzeba mówić, że ich lot jest geometrią samą w sobie, to za jej sprawą kręcą figury w rannej bryzie; słyszy je teraz, nieco w dali... zdobne trele, są ponad rytmy, jakie chaos by potrafił wymyślić.

Lee Slonimsky — amerykański poeta, spokrewniony z polskim poetą Antonim Słonimskim, opublikował w Stanach Zjednoczonych dziewięć zbiorów poezji. Chronologicznie trzeci z nich, ujęty w formę niekonwencjonalnych sonetów, zatytułowany *Pythagoras in Love*, wcześniej publikowany był we Francji i w Grecji. Jak pisze autor o sobie, z historyczną postacią Pitagorasa, którego czyni bohaterem tomiku, łączy go głęboka miłość i szacunek do natury, w szczególności do zwierząt. *Zakochany Pitagoras* w edycji dwujęzycznej ukazał się właśnie nakładem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”.

Śmierć Conrada

STEFAN ZABIEROWSKI

1

Dokładnie sto lat temu, 3 sierpnia 1924 roku, zmarł w swoim domu Capel House w Bishopsbourne, niedaleko Canterbury, jeden z najwybitniejszych ówczesnych pisarzy angielskich, twórca polskiego pochodzenia i uważający się za Polaka, Józef Teodor Conrad-Korzeniowski. O śmierci Conrada poinformował ówczesnego posła polskiego w Londynie, Konstantego Skirmunta, przyjaciel i późniejszy biograf Conrada, G. Jean-Aubry, natychmiast, tegoż dnia, 3 sierpnia 1924 roku. Pisał on: „Panie Ministrze, gdy widziałem Pana wczoraj – nawet nie pomyślałem, że przekażę Panu tak niespodziewaną, okropną wiadomość. Przyjechałem tego ranka do Canterbury, aby dowiedzieć się, że Joseph Conrad dopiero co zmarł, o godzinie ósmej i pół. Spieszę poinformować Pana o tym, ponieważ Conrad był Polakiem nie tylko z urodzenia, ale i z ducha. Straciliśmy w nim jeden z największych umysłów naszych czasów, a przy tym Pański kraj może się chlubić jego pamięcią.”

Na wiadomość o śmierci Conrada poseł Skirmunt przekazał wdowie, Jessie Conrad, 4 sierpnia 1924 roku, depeszę z kondolencjami. Pisał tam: „Jako reprezentant Polski, rodzinnego kraju Josepha Conrada, w Wielkiej Brytanii, spieszę powiadomić Szanowną Panią, że doświadczyłem uczucia głębokiego żalu, który jestem przekonany, ogarnie powszechnie cały naród polski na wiadomość o śmierci Jej męża. Joseph Conrad zdobył sobie sławę jako jeden z najbardziej subtelnych i znakomitych pisarzy, posługując się językiem swej przybranej ojczyzny, lecz my wiemy o tym, że do końca swych dni zawsze był wiernym synem Polski i pamięć o nim zostanie na trwałe w sercach naszego narodu.”

2

Śmierć 3 sierpnia była rezultatem licznych dolegliwości zdrowotnych, na które od lat cierpiał Conrad. Już jako dziecko był zagrożony gruźlicą, na którą zmarli jego matka, Ewelina, w roku 1865, na zesłaniu w Czernihowie i jego ojciec, Apollo Korzeniowski, po powrocie ze zesłania, w roku 1869 w Krakowie.

Sam Conrad jako dziecko cierpiał na różne choroby. Jak pisał jego biograf Zdzisław Najder: „Najczęściej wymienianym powodem wyjazdu Konrada nad morze był jego ówczesny stan zdrowia. Kałuska wspomina o grożącej gruźlicy, Buszczyński i Wojakowska piszą o migrenie i atakach nerwowych. Bobrowski w listach wielokrotnie i z naciskiem dopytuje o zdrowie”.

Szczególnie zaszkodził Conradowi pobyt w 1890 roku, w Kongo, gdzie zachorował na malarię. Po powrocie leczył się w niemieckim szpitalu w Londynie, a później dwa miesiące kurował się w zakładzie wodoleczniczym w Champel pod Genewą.

Stan zdrowia dojrzałego Conrada opisał emigracyjny conradysta i zarazem lekarz-geriatra – Wit Tarnawski. Czytamy u niego: „Najgroźniejsze jednak, że chorował wiele, a w ostatnim okresie życia coraz więcej. Zniszczyły go i uczyniły prawie inwalidą malaria, deformujący artretyzm i spróchniałe zęby, których nie pozwalał usunąć. Właśnie zakażenie z zębów mogło być, jak już za jego życia podejrzewano, przyczyną ciężkiego artretyzmu i zmian sercowych. W 1910 roku Conrad przeszedł jakąś bardzo ciężką chorobę infek-

cyjną, która jak informuje żona, o mało go nie zabiła, i która mogła w niemłodym już organizmie pozostawić trwałe ślady. Odtąd zresztą Conrad zapadał na zdrowiu częściej i ciężej niż poprzednimi laty. Conrad zmarł, jak wydaje się rzeczą pewną, na zawał serca wskutek sklerozy naczyń wieńcowych”.

3

Dnia 7 sierpnia odbył się w Canterbury pogrzeb Conrada. Tak owo wydarzenie opisał prowadzący pogrzeb ksiądz katolicki Edmund H. Sheppard w liście do swojego znajomego dra Edridge'a, datowanym 16 grudnia 1932. Pisał tam: „Pogrzebałem go w Canterbury. Na pogrzebie było duże zbiorowisko znanych osobistości, ale już nie pamiętam kto”.

Najdokładniejszy obraz pogrzebu napotkamy w biografii Conrada pióra Najdera. Badacz ten pisał: „Pogrzeb, wedle obряду rzymsko-katolickiego i poprzedzony mszą w kościele św. Tomasza, odbył się w Canterbury 7 sierpnia. Uczestników konduktu było niewielu: rodzina, grono przyjaciół, Edward Raczynski reprezentujący premiera Rzeczypospolitej jako jedyny przedstawiciel władz państwowych – w sumie około sześćdziesięciu osób.

Rzecz osobliwa, zarówno prasa angielska, jak i polska, informację o śmierci Conrada podały na dalszych stronach. Przysłoczyły ją inne wiadomości. W Anglii – były to mistrzostwa krykieta, w Polsce – napad bojówek bolszewickich na pograniczną miejscowość Stołbce, którego opis zajmował czołowe strony gazet.

W tym kontekście na szczególną uwagę zasługuje, poświęcony Conradowi, numer „Wiadomości Literackich”, z dnia 17 sierpnia (nr 33) W numerze tym pojawiły się nazwiska szeregu wybitnych ówczesnych autorów – Stefana Żeromskiego, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Romana Jaworskiego, Romana Zrębowicza, Wacława Grubińskiego, Emila Breitera, Jerzego Bohdana Rychlińskiego i Anieli Zagórskiej. Kluczowe miejsce przypadło tutaj świetnemu esejowi Żeromskiego. Autor *Szyfów prac* tak pisał o twórcy *Lorda Jima*: „Jego życie i jego dzieło pisarskie świadczą o potęgę woli prawdziwie bezprzykładnej. Jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z ziemi rodzinnej, z miasta najgłębiej zatopionego w przeszłości, w rutynie, w trwodze myśli publicznej – rzucił się na obce statki i puścił się sam w obce morza, został marynarzem, majtkiem, oficerem wreszcie dowódcą okrętu. Jako człowiek dojrzały postanowił tworzyć w moim, obcej mu za dni młodości i dzieciństwa, przybranej dopiero w latach męskich – i został pierwszorzędnym prozaikiem, stylistą, mistrzem dyktatorem wysłowienia w tej mowie, tak niezrównanie wyrobionej w ciągu długiego szeregu stuleci. Można go bez przesady nazwać zdobywcą, konkwistadorem, nieulekłym przywłaścicielem dóbr duchowych, które posiadać zapragnął, ażeby je rozmnożyć i nowe z nich tworzyć wartości”.

Ozdobą numeru były wiersze poetów grupy Skamander – Jana Lechonia i Antoniego Słonimskiego. W wierszu, który nie miał tytułu, a oznaczony był jedynie trzema gwiazdkami Lechoń najprawdopodobniej nawiązywał do opisu pogrzebu Apolla Korzeniowskiego, zawartego w reportażach Conrada z pobytu w Polsce w roku 1914. Conrad Korzeniowski tak wspominał tam pogrzeb krakowski swojego ojca: „W za-

lanej księżycową poświęta ciszy starodawnego miasta świętych grobowców i tragicznych wspomnień znowu widziałem małego chłopca z tamtych dni kroczącego za karawanem. Widziałem pustą przestrzeń, w której postępował zupełnie sam, świadom sunącego za nim olbrzymiego pochodu, niezgrabnego przechylania się z boku na bok wysokiej czarnej landary, monotonnego śpiewu kleru idącego w komżach przed trumną, przesuwania się płomyków gromnic pod niskim sklepieniem bramy, szeregu obnażonych głów na chodnikach, z nieruchomymi poważnymi oczami. W tamto pogodne majowe popołudnie pół Krakowa wyległo na ulice. Nie przyszli, aby uczcić jakieś wielkie osiągnięcie, ani nawet wspaniałą klęskę. Zarówno zmarły, jak i oni byli ofiarami bezlitosnego losu, który zagradzał im wszystkie ścieżki do zasługi i sławy. Przyszli tylko po to, by oddać hołd żarliwej wierności tego, czyje życie było nieustraszoną wyznawaniem w słowie i w czynie wiary znajdującej oddźwięk i zrozumienie w sercach najprostszego człowieka w tym tłumie”.

A teraz tekst Lechonia:

Twój ojciec też miał pogrzeb wspaniały i chmurny,
Szli za nim mrocznym miastem dostojni i prości,
O bruk stukwały buty jak greckie koturny,
I wiedli go z niewoli do wiecznej wolności.

Mową prostą i twardą, chropowatą mową,
Mówili doń Polacy i cicho płakali,
Nakryli go Ojczyzną, jak czapką wojskową.
A później się rozeszli i bili się dalej!

A teraz ciebie wichler zaświatów ogarnia,
I ten tułacz bezsenny, zorany przez blizny,
Twój ojciec tam cię woła językiem Ojczyzny,
Gdzie wszystkim świeci morzom ta sama latarnia.

Tekst Lechonia jest opisem ceremonii pogrzebowej Conrada, która przypomina krakowski obrzęd funeralny jego ojca. Odmienność charakteru ma utwór Słonimskiego. Autor ten stawia zasadnicze pytanie: jaka ceremonia pogrzebowa jest stosowna dla Conrada. Lechoń opisuje pogrzeb, który już się odbył, czyli pogrzeb Apolla i naśladujący ten obrzęd – pogrzeb Conrada. Natomiast Słonimski daje scenariusz pogrzebu, który dopiero powinien się odbyć.

Zdaniem Słonimskiego Conrad nie może być pochowany jedynie jako wielce zasłużony obywatel Wielkiej Brytanii. Czytamy w wierszu:

Nie leżeć mu w hrabstwie Kent
Ani w Londynie.

Nie grzebieć go w Westminterze,
Nie owijajcie w całuny
Odpuśćcie na ciche wybrzeże
Na turkusowe laguny.

Pogrzeb Conrada winien odbyć się zgodnie z tradycyjnym ceremoniałem morskim:

Na wyspy dalekie odpłynąć,
W marynarską ubierzcie Go kurtę
I w żaglowe płótno owińcie –
Potem rzućcie Go prosto za burtę.

Bo tam – w kraju dalekiej tęsknoty,
Modrymi szklistymi falami
Odda mu wszystkie pieśnyczoty
Morze płaczące perłami.

Lechoń w swoim wierszu akcentował polskie powiązania Conrada, dziedzica tradycji ojca – żarliwego patrioty.

Inaczej Słonimski, który podważa nawet nie tylko polskie, ale także angielskie powiązania Conrada – nadając temu twórcy wymiar uniwersalny. Miejscem pochówku winno być – ulubione przez Conrada – egzotyczne morze. Czytamy u Słonimskiego:

Bo tam – w kraju dalekiej tęsknoty
Modrymi szklistymi falami
Odda mu wszystkie pieśnyczoty
Morze płaczące perłami.

W numerze tym napotkamy tekst jeszcze innego skamandryty – Kazimierza Wierzyńskiego. Tylko że tym razem nie będzie to wiersz, ale proza. Piękny esej *Wielka cisza Conrada*. Czytamy w nim: „Jeżeli jest jakaś najcięższa samotność na tym globie, to nie jest nią opuszczenie ani klęska, lecz wielka samotność własnej prawdy, z którą zostaje się zawsze samemu, chociaż przeznacza się ją zawsze dla wszystkich. Trudno rzec, by twórczość Conrada, bardziej niż czyjaś inna, z tej samotności powstała, gdyż, zaiste, wszelki rodzaj pisarski z niej się wywodzi – posiadała jednak sekret jej mądrości, jak nigdy dotąd, i najwyższą tą wiedzą potrafiła obdzielić i natchnąć cały świat, przez się do życia powołany”.

Śmierć Conrada sprawiła, że w Polsce rozpoczęła się refleksja o charakterze naukowym nad biografią i twórczością Conrada Korzeniowskiego. Dotąd dominowały teksty o charakterze krytycznoliterackim. Pierwszą pracą o ambicjach naukowych na temat Conrada była, opublikowana w roku 1927, rozprawa Zbigniewa Grabowskiego *Ze studiów nad Josephem Conradem*. W roku 1928 Grabowski uzyskał tytuł doktora na Uniwersytecie Jagiellońskim za pracę o Conradzie. Promotorem był prof. Roman Dybowski.

4

Pora postawić kluczowe pytanie: jak przedstawia się Conrad dziś z perspektywy stu lat?

Generalnie rzecz biorąc w dwudziestolecie międzywojennym Conrad był oceniany przede wszystkim jako najwybitniejszy pisarz angielski tego czasu. Jak powiedział o Conradzie polskiemu dyplomacie Janowi Perłowskiemu angielski laureat nagrody Nobla – Rudyard Kipling: „With a pen in his hand he was first amongst us”.

Dziś – na co zwrócił uwagę Zdzisław Najder – jesteśmy świadomi, w jak wielkim stopniu wpłynął Conrad na twórczość wybitnych pisarzy rangi światowej, takich jak Albert Camus, William Faulkner, Ernest Hemingway, Andre Malroux, czy Antoine de Saint-Exupery.

Trudno zaprzeczyć, że autor *Lorda Jima* wpłynął także na pisarzy polskich różnych pokoleń, zarówno krajowych, jak i emigracyjnych. Dość wymienić Marię Dąbrowską, Jerzego Andrzejewskiego, Czesława Miłosza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Andrzeja Brauna i Jana Józefa Szczepańskiego.

Conrad-Korzeniowski należy też do tych twórców, którzy zmodyfikowali techniki narracyjne. Umiał w swoim piśarstwie połączyć dwie odmienne poetyki – poetykę romanetyczną (przede wszystkim polskiego rodowodu) z francuską poetyką realistyczną i naturalistyczną.

Szczególnym rysem kompozycji Conrada jest wprowadzenie narratora personalnego, który jest niezależny od wszechwiedzącego autora. Istotną zdobycz Korzeniowskiego jest też zakłócenie naturalnej chronologii przez odłączenie – w wielu utworach literackich – czasu zdarzeń od czasu narracji opowiadającej o tych zdarzeniach.

Specyficzną cechą piśarstwa Conrada jest obecny w jego utworach ethos, przede wszystkim – wywodzący się z etyki rycerskiej i szlacheckiej – kluczowe pojęcie honoru. Towarzyszy mu wierność i solidarność. Tymi wartościami obdarzył Conrad światową twórczość literacką. ■

Czterdzieści lat bez „Rocznika Literackiego”

JERZY PASZEK

W latach 1933–1939 ukazało się siedem tomów „Rocznika Literackiego”, omawiających dorobek naszej beletrystyki od 1932 do 1938. Kontynuacją tej serii było dwadzieścia osiem tomów tychże annałów, edytowanych w okresie 1956–1991, a dotyczących osiągnięć polskiej literatury z lat 1955–1984 (jeden tom – 1958–1960 – to wolumin zbiorowy). Redaktorami periodyku byli przed wojną Zygmunt Szweykowski i Zofia Szmydłowa, kierująca także licznymi współpracownikami w latach 1955–1975; od roku 1976 naczelnymi redaktorami zostali Paweł Hertz i Andrzej Lam (ten samotnie władał „Rocznikiem” od 1979). Dla wtajemniczenia czytelników w sens, cele i osiągnięcia kolekcji 35 tomów – wyliczę przykładowo zawartość pierwszego zbioru, Mickiewiczowskiego, bo wydanego w jubileuszowym roku 1955 (stulecie śmierci wieszcza romantycznego).

Całość składa się z trzech zasadniczych części: 1. Literatura polska (s. 13–

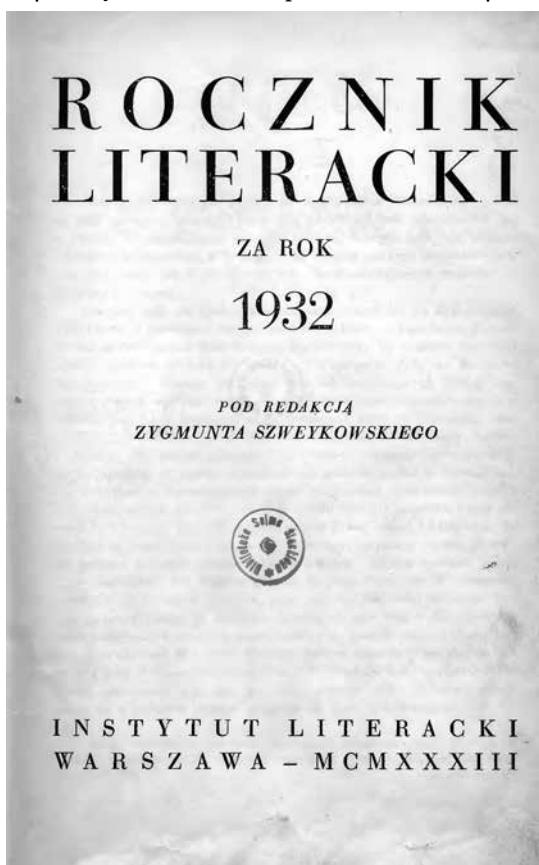
363), 2. *Miscellanea* [czyli mieszaniny literackie] (s. 367–403), 3. Literatura obca w przekładach polskich (s. 407–616). Na końcu dodano jeszcze diariusz wydarzeń literackich (s. 619–643) oraz indeks nazwisk (s. 644–673). W części pierwszej mamy omówienie uroczystości jubileuszowych (Leonard Podhorski-Okołów: *Mickiewicziana*; Jadwiga Rużyło-Pawłowska: *Mickiewiczowska sesja naukowa historyków literatury i języka*) oraz rozdziały poświęcone liryce, prozie i dramatu, a także satyrze, reportażowi; pamiętnikom, wspomnieniom, listom; esejowi i felietonowi; krytyce literackiej; czasopismom literackim; teorii literatury. Prawie 100 stronik zajmują recenzowanie naukowych opracowań z epok: staropolskiej, oświecenia, romantyzmu, okresu po roku 1863; oddzielnie omawia się książki dotyczące literatury powszechnej, literatury dla dzieci i młodzieży. Tę część zamykają rejestry ineditów [tomów wydawanych po raz pierwszy], nowych opracowań [dzieł już znanych czytelnikowi] i wznowień.

Miscellanea składają się z artykułów dotyczących wiedzy o książce, bibliografii, słownikowi; tematyki cywilizacji (Karol Estreicher: *Polska: kraj, ludzie, zabytki*), a nawet muzyki. W woluminach za lata 1956 i 1957 dział ten jeszcze rozszerzono o historię sztuki, teatralia, historię, filozofię; w kolejnych annałów *Miscellanea* uszczuplano, dodając za to część biograficzną: Piotr Grzegorzczak od 1961 do 1967 ogłaszał nekrologi zmarłych w danym roku pisarzy; potem temat ten podjęli Józef Chudek (do 1977) i Andrzej Biernacki.

Dwieście stronik objęły dociekania i doniesienia o dziełach z zagranicy, przetłumaczonych na język polski i wydanych w 1955 roku. Pisano tu m.in. o książkach amerykańskich, angielskich, francuskich, hiszpańskich, niemieckich, skandynawskich i wło-

skich, a także (najszerzej!) o literaturze narodów ZSRR (s. 562–611; nb. o angielskiej lub francuskiej było tylko ok. 20 stron). Taka dominacja języka rosyjskiego (w późniejszych annałów ok. 30 stronik poświęcano literaturze ZSRR) dobitnie wykazuje, jak mocno dominował podówczas wzorcowy model socrealizmu, czyli beletrystyki i wierszy wychwalających ustrój i władzę Kraju Rad (nb. było i czasopismo pod tym tytułem!). Gdy Zbigniew Bieńkowski, poeta i tłumacz dorobku Francuzów, w roku 1963 (dla tomu o 5 czy nawet 6 lat spóźnionego, bo „Rocznika Literackiego” 1957) w swoim sprawozdaniu oburzał się na 20-letnie odseparowanie od Zachodu, przejawiające się nie tylko niepublikowaniem nowości literackich, ale i wstrzemięźliwością w drukowaniu klasyków paryskich. Nareszcie ruszyły prace nad udostępnieniem przedwojennego tłumaczenia *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta; przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego był przejrzany i poprawiany przez redaktor Wandę Balicką, „autentyczną znakomitość wydawniczej romanistyki”. Czyli Boy wpadł w dobre i fachowe ręce, mogące ulepszyć jego rekordowo szybko drukowaną ongi translację (ten szczegół perypetii edytorskich ujrzał zapewne tu światło dzienne po raz pierwszy; jakże szybko zapomniano o tym fakcie!). Bieńkowski wspomina o „latach minionych”, gdy wstępy i posłowania do dzieł klasyków nadsekwańskich miały tryb i aparat „ustawiający”. Ukierunkowujący recepcję klasowo, czyli potępiający burżuazję i kapitalizm. Teraz ponieważ wszelkich komentarzy ze strachu: jak pisać bez solidnego, obowiązującego haraczu, trybutu i sztampy?

Uważam, że proces odchodzenia od peanów na cześć realizmu socjalistycznego był w naszej rzeczywistości kulturalnej bardzo trudny i długi. Z jednej strony „szkoła” Kazimierza Wyki (Jan Błoński, Ludwik Flaśen, Andrzej Kijowski, Jerzy Kwiatkowski i Konstanty Puzyna) już w tomie pierwszym opisywanych annałów ostrzyła sobie zęby na socrealizm, ale Maria Renata Mayenowa jeszcze w tomie za 1966 rok odnotowywała pozytywnie dywagacje Aliny



Brodzkiej *O kryteriach realizmu w badaniach literackich*. Ta druga strona dyskursu trzymała się więc wytrwale i ofiarnie! Zwrot i przewrót październikowy w literaturoznawstwie znalazł odzwierciedlenie w rozprawach Mariana Kisiela (*Więzy i wzloty. Przełom 1955–1959 w literaturze polskiej – próba modelu* [1996], *Zmiana. Z problemów świadomości literackiej przełomu 1955–1959 w Polsce* [1999]), lecz studiowanie książek „Rocznika Literackiego” dodaje wiele interesujących i zapomnianych szczegółów, m.in. dotyczących recepcji zagranicznej beletrystyki lub permanentnego pomijania w omówieniach i ocenach pisarzy emigracyjnych. Przykładowo: w tomie pierwszym powojennej kolekcji pojawia się Andrzej Miłosz (jako tłumacz *Niewidomego muzyka* Włodzimierza Korolenki), a brak Czesława Miłosza, który wtedy opublikował w Paryżu *Dolinę Issy* i *Zdobycie władzy*; Piotr Grzegorzczak w tomie za 1957 rok informuje, iż w uczonych bibliografiach, dotyczących „Sygnałów”, „Po prostu”, „Karty”, „Oblicza Dnia”, „lekkomyślnie powykreślano często najwybitniejsze nazwiska, deprecjonując prawie zupełnie naukową wartość tych publikacji”.

I tu dochodzę do najciekawszych bojów i polemik charakteryzowanych przeze mnie annałów! Myślę, iż „najcięższymi bokserami” (wagi Andrzeja Gołoty, zresztą ulubionego pięściarza Wisławy Szymborskiej) bywali w „Rocznikach Literackich” Juliusz Wiktor Gomulicki,

Julian Krzyżanowski i Henryk Markiewicz. Wszyscy trzej bez pardonu wytykali pomyłki i błędy w omawianych książkach i opracowaniach dzieł klasycznych. Gomulicki zaś potrafił zapolować nawet na Krzyżanowskiego! Gdy wybitny sienkiewiczolog wydał swoją przedwojenną jeszcze *Historię literatury polskiej. Alegoryzm – preromantyzm* (1964), składającą się z 4 części (Średniowiecze, Renesans, Barok, Oświecenie), znany norwidolog przyczepił się oczywiście do ostatniego segmentu owej książki: „Głównym mankamentem oświeceniowej syntezy Krzyżanowskiego [...] jest prawie całkowite, a chyba nieświadome, zlekceważenie przez tego badacza dorobku naukowego ostatnich lat piętnastu, [...] kiedy to brawurowo zaatakowano poszczególne dziedziny i problemy piśmiennictwa stanisławowskiego, przewartościowując wiele dawnych wartości, na nowo ustalając kanon tekstowy wielu wybitnych pisarzy [Trembeckiego!]”. Sienkiewiczolog w rychłej reedycji tomu, bo w roku 1966 (zawiera ona mnóstwo ilustracji, a w tym i kolorowe „rozkładówki”), uświatniającej obchody milenium państwa polskiego, dodał cały arkusz bibliograficzny, który opracowała Maria Bokszczanin, ale – choć tekst składano na nowo! – prawie żadnej krytycznej uwagi norwidologa nie uwzględnił! Wyjątkiem jest reakcja na zarzut o nietrafnym umieszczeniu akcji w pamiętnikach Stanisława Wodzic-

kiego (w Warszawie zamiast w Krakowie); Krzyżanowski wybrnął z kłopotu w ten sposób, że dopisał do swej frazy [autor ukazuje] „życie przedlistopadowej Warszawy” – „i stosunki uniwersyteckie Krakowa”. Nie wiem, czy to usatysfakcjonowało Gomulickiego, bo za 6 lat w „Nowych Książkach” jeszcze gwałtowniej wydobył na jaw błędy, popełnione przez Krzyżanowskiego w popularnej monografii pt. *Dzieje literatury polskiej od początków do czasów najnowszych* (1970), tytułując swoją polemikę złośliwie *Nowy sen Epimenidesa*. Przedrukując ten tekst w tomie *Zygzakiem. Szkice – wspomnienia – przekłady* (1981), dodał uwagę: „spodziewając się ostrej polemiki ze strony prof. Krzyżanowskiego, miałem w zanadru drugie tyle przykładów rozmaitego rodzaju błędów, omyłek i nieporozumień”. Nie muszę chyba nadmieniać, iż w dodruku *Dziejów...* z tegoż 1970 roku bardzo mało poprawiono z owych byków i byczków!

„Roczniki Literackie” stanowiły ongiś podstawową moją lekturę (było to doświadczenie pewnie wielu polonistów). Teraz należy czytać 12 numerów miesięcznika „Nowe Książki” co roku, by otrzymać podobne kwantum wiedzy literackiej. Podobne, ale nie tak samo autorytatywne, gdyż nie udaje się dziś zastąpić „ogromniki” (jak pisze Norwid) wiedzy, czyli poliglottów i polihistorów, jakimi dla mnie byli i są Gomulicki, Krzyżanowski oraz Markiewicz. ■

ROCZNIK LITERACKI

1973

SPIS RZECZY

Zasady opracowania bibliografii	5
Wykaz ważniejszych skrótów	6

LITERATURA POLSKA

Poezja. R. Matuszewski	11
Powieść. Opowiadanie. M. Sprusiński	46
Reportaż	69
Dramat. Teatr	72
Dramat. W. Natanson	74
Teatr . B. Lasocka-Pszoniak	86
Pamiętniki. Wspomnienia. Listy	97
Pamiętniki. J. W. Gomulicki	103
Listy. E. Jankowski	138
Biografia. Powieść biograficzna. A. Jelicz	155
Esej. Szkic. Krytyka literacka. Felieton. S. Lichański	166
Teoria literatury. J. Trzynadłowski	188
Historia literatury polskiej	197
Dzieła treści ogólnej	197
Literatura nowołacińska w Polsce	200
Literatura staropolska. J. Krzyżanowski	201
Oświecenie. Z. Libera	219
Romantyzm. A. Witkowska	231
Literatura polska 1864–1918 r. J. Kulczycka-Saloni	253
Literatura polska po 1918 r. M. Stępień	273
Antologie	289
Literatura ludowa. J. Krzyżanowski	301
Historia literatury powszechnej	311
„ M. Bobrowska	319
„ H. Krzeczowski	321

Zokładki *Wierszy zebranych* ks. Jerzego Szymika patrzy na nas autor. Grafika utrzymana w jego ulubionej błękitnej barwie zapowiada spotkanie twarzą w twarz. Bliskość podkreśla nie tylko wpatrzone w nas spojrzenie, ale i sygnatura tomu, którą stanowi wyłącznie nazwisko autora. To z pewnością przemyślane mrugnięcie okiem do czytelnika, do tej pory bowiem poeta używał pełnej tytułatury, podpisując wszystkie swoje książki jako „ks. Jerzy Szymik”. Skąd ta zmiana? Zapewne z bliskości wobec czytelnika. Czyż nie mówimy potocznie: kupiłem „Szymika”, czytam „Szymika”, mam „Szymika”. Skrót eliminuje dystans, nadając tak wytworzonej relacji cechę pewnej intymności.

Tom zawiera dwanaście opublikowanych dotychczas autorskich zbiorów oraz domykający wiersz *Piosenka o końcu moich Katowic*. Osiem pozycji zostało wydanych nakładem Księgarni św. Jacka, wydawnictwa, z którym ks. Jerzy Szymik związany jest od swojego poetyckiego debiutu w 1988 roku. Śledząc poszczególne miejsca wydań z zamieszczonej *Listy pierwodruków*, widać wyraźnie związki poety ze środowiskiem katowickim, później lubelskim i znowu górnośląskim. *Wiersze zebrane* zawierają jednak wyłącznie wyczelowaną tkanę poetycką, przywołaną bez towarzyszącej jej w pierwodrukach not, wstępów czy posłowi.

Autor opatrzył zbiór nowym komentarzem pióra Mirosława Dnia, zatytułowanym: *O blasku Ogrodu. Kilka myśli o poezji ks. Jerzego Szymika*. Ów przewodnik tak wprowadza nas w obszar poetyckiego doświadczania twórczości autora *Wstępu wolnego*, „Zaczę od końca. Poezja ks. Jerzego Szymika jest o doświadczaniu Łaski. W tym miejscu można byłoby zakończyć ten *Wstęp*. I czytelnik musiałby się zmierzyć z treścią stwierdzenia: doświadczanie Łaski. Czym ono jest? Tutaj zaczynają się schody”. Dodajmy, że schody wyjątkowo obfite, bo rozpisane na niemal 1000 stron. Tom zamyka *Posłowie* autorstwa Mariusza Soleckiego, w którym stawia on pytanie: „Czym jest poezja?”, ale i wiesz czy, pisząc o poezji i poecie: „Wygrać ziemskie życie, czuć z niego satysfakcję, mieć wrażenie spełnienia – to luksus, a może niezasłużony dar. Bóg, któremu ks. Jerzy Szymik użył przez swoją twórczość (...) pozwolił mi dożyć siedemdziesięciu lat (tu aluzyjne oko: „cierpliwość Boga”). A jeśli taka będzie Jego wola, doda do nich kolejne dekady. Biorąc pod uwagę pracowitość, talent i energię twórczą Jubilata, z podarowanego mu czasu uczyni właściwy sobie użytek, skutkując koniecznością poszerzonego wydania *Wierszy zebranych*”.

Kiedy *Wiersze zebrane* zmienia tytuł na *Wiersze wszystkie* na szczęście nie wiemy, warto jednak spojrzeć na blisko czterdzieści lat pracy poetyckiej, zadając sobie pytania o istotą Szymikowej poetyki, o jego styl bycia poetą i cel poetyckiej drogi. Wydaje się, że to pytania ważne zarówno dla tych, którzy od lat przemierzają ścieżki *Ogrodu* i wpatrują się w *Błękit*, jak i tych czytelników, którzy przystopą do poezji autora *Hilasterionu* mają jeszcze przed sobą. Poezja, cokolwiek by o niej nie powiedzieć, nie jest martwa. Nie tylko żyje w czasie, ale dostaje nieustannie nowego czytelnika, który z odmienną wrażliwością zabiera się do lektury. Spotkanie z do-

Poetyckie opus magnum

KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

tychczasową poezją ks. Jerzego Szymika pozwala nie tylko na dostrzeżenie jej ewolucji, dojrzewania, zmiany, krystalizowania się znaczących elementów jej poetyki, ale również na dostrzeżenie odmienności recepcji. Przecież wiersz czytany pod koniec lat osiemdziesiątych nie jest i być nie może tym samym utworem, kiedy czytamy go w trzeciej dekadzie XXI wieku.

Zasadniczym tematem poetyckiego namysłu autora *Dotyku żrenicy* są Bóg, człowiek i podstawowa więź między nimi nazywana miłością, warsztat zaś, dawniej powiedzielibyśmy forma, to wychodzenie od konkretnego, szczegółu – stąd sensualizm tej poezji – do ogółu zwanego potocznie uniwersalizacją. Mimo, że twórczość ta wpisuje się w jakże polski nurt poezji kapłańskiej (tworzonej przez kapłanów, by wymienić tylko Pasierba, Twardowskiego czy Wojtyłę), to próżno szukać w niej „strzelistych aktów”, które z powodzeniem zastępuje frapująca codzienność. *Wiersze* rozpisane na partyturze pięciu zmysłów, aksjologiczne wpisane w chrześcijaństwo, bardzo delikatnie trącają struny metafizycznej refleksji, dając tym samym miejsce dla bliskości trzech stron owego dialogu. Są nimi: klasyczny podmiot liryczny, najczęściej „ja” liryczne, co daje wrażenie spotkania z autorem, Bóg (nawet jeżeli bezpośrednio nie jest obecny) i czytelnik, który do owej intymnej relacji nie tyle jest dopuszczony, ile zaproszony. Stąd rodzi się czułość spotkania w słowie prowadzącego ku Słowu. Gdyby zajrzeć do alfabetycznego spisu utworów i incipitów, to odnajdziemy aż dziewięć utworów zatytułowanych *Miłość*. Większość z nich mieści debiutancki tomik *Uczę się chodzić*, ale poeta nazwie tak *expressis verbis* i późniejsze utwory. Posłuchajmy tego z tomu *Cierpliwość Boga*: „Opłukuje twarz z żelowej pianki. / Odpalam *windows xp*. / Wiozę fiolkę z moczem do laboratorium. / Drzemię na lot-

nisku Malpenza w Mediolanie. / Ściągam albe śnieżnobiałym cingulum w jakiejś zakrystii. / Wylączę telefon, żeby mieć święty spokój. // Prawie nigdy wówczas nie myślę o Tobie. // Ale jesteś zawsze najbliżej, / w najczulszym kręgu mojej niepamięci”.

Precyzyjnie wykadrowane wydarzenia z męsko-kapłańskiego życia. Niby nic szczególnego, bo przydarzają się nam wszystkim, jednak codzienność to zasadniczy nurt naszego życia. Fajerwerki i łąpnięcia zdarzają się rzadko. A za nimi, niejako w tle nazwanym przekornie „najczulszym kręgiem niepamięci” – On. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ów „algorytm” stoi za każdym z wierszy autora *Ogrodu*. I czy zabierze nas w podróż, a obieżyświatem jest wytrawnym i wytrwałym, i potrafi w oka mgnieniu przenieść czytelnika z nad wysychającej afrykańskiej rzeki na Pańskie Pola rodzinnego miasteczka Pszowa, czy wędrówka będzie miała kształt ekfrazy, wszak podróżowanie to zanurzanie się w kulturze – to punkty odniesienia, krajobraz aksjologiczny pozostanie niezmienny. Dlatego jakże prawdziwe są słowa Miłosa z listu zamieszczonego na tylnej stronie okładki, w którym Noblista napisał: „W przeciwieństwie do niezliczonych wierszy młodych poetów, które są przerażającym dowodem zagubienia, wiersze Księdza mnie pocieszyły. A oto zadnia, które wymyśliłem do wykorzystania na czwartą stronę okładki poezji Księdza: «Czytając księdza Jerzego Szymika, wydaje mi się, że religia może uratować świat przed otaczającym nas chaosem»”.

Jerzy Szymik, *Wiersze zebrane*, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2023, s. 951.



Jak wiele Górnoślazaczek mających tzw. pochodzenie, urodzona w Żorach Mirella Waleczek po ukończeniu germanistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim, wyjechała na stałe do Niemiec. Jednak związków z Polską nie wyparła się, zachowując podwójne obywatelstwo. Pomimo zakorzenienia się w niemieckiej społeczności i podjęcia pracy nauczycielki języka niemieckiego nie zapomniała o stronach rodzinnych. Wyrazem jej tęsknoty za małą ojczyzną jest wydany przez katowicką Bibliotekę Śląską zbiór opowiadań *Siedem kobiet*.

Autorka napisała swoje utwory po niemiecku. Nie znalazła w Niemczech wydawcy, dlatego po kilku latach postanowiła opublikować je w Polsce. Trudu przetłumaczenia narracji na literacką polszczyznę podjęła się Monika Twardoń, ale dialogi, żeby dotrzymać wierności tradycji, przełożyła w gwarze śląskiej, zachowując jej lokalne zróżnicowanie. Zilustrowała tę prozę ciekawymi obrazkami Martę Frej. Na książkę składa się siedem tekstów prozatorskich. Każdy, poza ostatnim *Ja*, zatytułowany jest śląsko brzmiącym imieniem: Tila, Waleska, Frida. To rzecz jasna bohaterki ukazywane z punktu widzenia trzecioosobowego narratora, z wyjątkiem pierwszoosobowej narracji w opowiadaniu zamkniętym zbiór.

Nostalgiczna podróż literacka Mirelli Waleczek do miejsc, w których spędziła młodość, przejawia się w narracji opowiadań poprzez topograficzne opisy: lasu zwanego Starokiem, pól i łąk, kamienia młyńskiego, drogi. Rodzinna zagroda, kościół, młyn, kopalnia także są elementami tęsknoty za utraconą przestrzenią dzieciństwa. Lekarstwem na smutek oddalenia staje się także przypominanie ludowych obyczajów; darcia pierza, przyrządzania potraw, obchody górniczego święta Barbórki, wigilii, dyngusa. Do etnograficznych diagnoz pisarki pasuje również charakteryzowanie mentalności Górnoślazaczek, ich religijności, poświęcania się macierzyństwu i rodzinie. Istotne jest poczucie etnicznej odrębności wyrażonej w traktowaniu ludności napływowej i przywiązaniu do śląskiej godki, ale i zrozumienie społecznej czy narodowej różnorodności mieszkańców małej ojczyzny; „Już od dawien dawna śląskie rodziny czuły przynależność do różnych wspólnot narodowych. W prawie każdej rodzinie byli i zadeklarowani Niemcy i Polacy. W rodzinie Marty nie mogło być inaczej. Śląsk był tygłem, w którym mieszały się różne narodowości. Ludzie tutejsi nauczyli się już z tym żyć, a używanie każdego dnia dwóch lub trzech języków stało się dla nich czymś naturalnym”.

Najbardziej widoczne są etniczne deklaracje pisarki w pierwszym opowiadaniu *Marta*, tworzącym kulturowe podłoże do pozostałych nowel. Z powo-

Siedem neurotyczek

KSIAŻKI

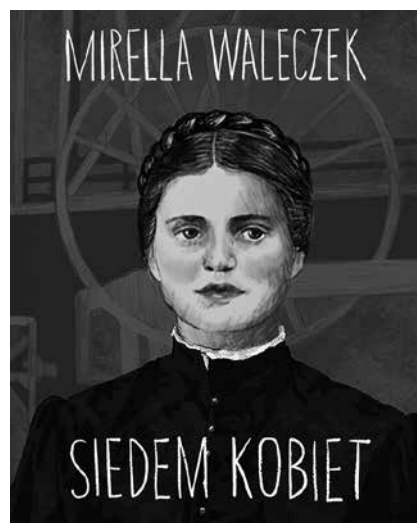
du programowej deklaratywności tekst otwierający zbiór jest za dużo biograficzny i brak w nim fabularnego napięcia, konfliktu postaw i nieoczekiwanej puenty. Lepiej skonstruowane pod tym względem są pozostałe utwory.

Co istotne losy bohaterek ukazane są na tle historycznych dziejów. Akcja opowiadań dzieje się w szerokim przedziale czasowym od pierwszej wojny światowej, powstań śląskich, poprzez międzywojnie i czasy brunatnego terrorku aż do realnego socjalizmu. Drastyczne zdarzenia tragicznie oddziałują zarówno na życie indywidualne, jak i zbiorowości.

Jednak, kto wie czy nie ważniejszy od regionalnego jest feministyczny punkt widzenia autorki. Anna Cieplak w przedmowie zbioru rekomenduje nawet książkę Waleczek, trochę na wyrast, jako herstorie i próbę walki z patriachatem. Może to zbyt radykalny pogląd, jednak cierpienie kobiet jest wszechobecne nawet w opowiadaniach *Frida* i *Hanna*, gdzie, jeżeli nie dominującymi to przynajmniej równorzędnymi, bohaterami są mężczyźni.

Najbardziej drastycznym przejawem męskiego szowinizmu na kartach prozy autorki jest gwałcenie kobiet. Właśnie takim opisem rozpoczynają się narracje Waleczek. Dwóch sowieckich żołnierzy zniewala Martę. Wykorzystanie seksualne jako traumatyczne doświadczenie wpływające na całe życie ofiary to przewodni motyw także w tekstach *Tila*, którego bohater Maks poczęty w wyniku wojennego gwałtu popełnia samobójstwo, i *Waleska*, bohaterka cierpi na depresję z powodu molestowania w dzieciństwie przez wujka.

Większość bohaterek *Siedmiu kobiet* naznaczona jest syndromem ofiary, rzecz oczywista mężczyźni. Cierpienie kobiet spowodowane jest tradycyjnymi rolami Górnoślazaczek, które pełnią w rodzinie, małżeństwie i lokalnej społeczności. Poświęcają swoje życie mężom,



RYSZARD BEDNARCZYK

dzieciom, rezygnują z karier zawodowych. Podporządkowują się obyczajom nakazującym żonom tkwić w nieudanych związkach. Frida, bohaterka opowiadań pod tym tytułem, nie potrafi odejść od małżonka tyrana, mimo że zdradza ją z kochanką. Pomimo ciągłych konfliktów postacie z opowiadania *Tila* nie rozstają się: „Tila bez końca poniżała Maksa i oskarżała, o co tylko się dało. W swoich niekończących się insynuacjach stawiała się coraz bardziej złośliwa i arogancka. Stopniowo do ich małżeństwa wkradła się prawdziwa wrogość”. Z przywiązania do męża, który zginął w wypadku w kopalni, bohaterka opowiadania „Maria”, traci zmysły. Obłąkana krzywdzi córkę i babcię.

Większość bohaterek i bohaterów opowiadań Waleczek cierpi na neurozy. Mają zaburzenia osobowości, chorują na psychozy i depresję. Psychotyczne postawy wynikają z bolesnych przeżyć, ale są także obroną przed neurotycznym światem. Z tego piekła kobiet potrafi wyzwolić się dopiero współczesność narratora i bohaterka – zapewne alter ego autorki – ostatniego opowiadania *Ja*. Zrywając kontakty z małą ojczyzną, myślami nadal tkwiąc w rodzinnych stronach, poszukuje nowego sensu życia w Niemczech. Zostaje kobietą wyzwoloną, lubiącą wolne związki i seks. Podświadomie uznaje, że utkwiała w egzystencjalnej pustce. Po psychoterapii jako repatriantka odnajduje cel w pomaganiu uchodźczyniom z Syrii. Za przyjaźnioną z jedną z nich Lailą przenosi się do Bejrutu, walczyć o wyzwolenie kobiet. Zerwanie z balastem przeszłości oswabdza. ■

Mirella Waleczek, *Siedem kobiet*,
Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej.
Katowice 2024, s. 269.

„Ja i moje książki – to jedn”o. Rozważania o pi-sarstwie Zofii Kossak Krystyny Heski-Kwaśniewicz i Zdzisławy Mokranowskiej to praca, która otwiera kolejny etap dyskusji na temat autorki i jej dzieła, obecnego w świadomości czytelników niepełną obecnością. Biografię twórczą Kossak rozdziera bowiem – jak dzieje Polski w XX wieku – nie tylko druga wojna światowa, ale również konferencja jałtańska, która na długo zdeteterminowała sposób postrzegania czasów II Rzeczypospolitej, przebiegu jej granic i wydarzeń historycznych, zwłaszcza relacji polsko-sowieckich. Historia wpłynęła na losy Zofii Kossak i recepcję jej pisarstwa, nadając mu niemal schizofreniczny kształt: nurtu krajowego, okrojonego z pisarstwa przedwojennego i stale poddawanego cenzurze, oraz emigracyjnego, niedostępnego w PRL. Kto nie zetknął się w szkole z twórczością Kossak, rozpoznaje w niej autorkę *Krzyżowców*, pisarkę, która „ratowała Żydów”, była więźniarką Auschwitz, wyemigrowała i „wróciła z Zachodu”, „drukowała w PAX-ie”, ale w 1966 odmówiła przyjęcia Nagrody Państwowej I stopnia, protestując przeciwko blokowaniu peregrynacji obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej przez władze komunistyczne. Na ogół jednak wie o niej niewiele.

Książka Heskiej-Kwaśniewicz i Mokranowskiej stanowi wyjątkowo trafną próbę zebrania i przybliżenia odbiorcom twórczości autorki, której cała „biografia i twórczość zamykają się w granicach pomiędzy pojawieniem się *Rerum novarum* Leona XIII a czasem Soboru Watykańskiego II” (s. 172). Liczące prawie 730 stron opracowanie (z bogatą bibliografią podmiotową, przedmiotową i aneksem) to niewyczerpane źródło wiadomości i inspiracji do badań, a także doskonała zachęta, by po prostu sięgnąć po dzieła Kossak. W monografii harmonijnie współlistnieją dwa wątki: biograficzny i interpretacyjny. Bezpośrednio „twórczemu życiu” pisarki poświęcony jest jeden rozdział książki, ale refleksje dotyczące jej losów towarzyszą też omówieniom poszczególnych utworów. Te zaś prezentowane są problemowo i zgodnie z kluczem genologicznym, co pozwala odbiorcy zdumieć się i zachwycić różnorodnością form literackich, jakimi posługiwała się Zofia Kossak, takich jak powieść historyczna (omawiana na tle tradycji międzyrodowej i polskiej, w tym pisarstwa Henryka Sienkiewicza), opowiadanie, powiastka, reportaż, felieton, list, wspomnienie, podróż, esej i inne gatunki hybrydyczne, nawiązujące do wielowiekowej tradycji „literatury budującej” – świętej (np. *Beatum scelus* i późniejsza wersja powieści, *Błogosławiona wina*) i świeckiej (*Bursztyny*; *Dzień dzisiejszy*).

Cenny i zaskakujący aspekt książki stanowi spojrzenie Mokranowskiej na twórczość Kossak z perspektywy porównawczej, czyli osadzenie jej pisarstwa w kontekście wielkiej literatury europejskiej: Paula Claudela, François Mauriac, George’a Bernanosa, a także Josepha Conrada (zresztą urzeczony *Pożoga*); oraz – gdy chodzi o ujęcie dzieł – między innymi filozofii Jacques’a Maritaina. Z komparatystycznego punktu widzenia ważne jest także wskazanie tropów dantejskich i biblijnych pisarstwa Kossak, dostrzeżenie oddziaływania Torquata

Dwugłos o Zofii Kossak

KSIAŻKI

OLGA PŁASZCZEWSKA

Tassa i Tomasa z Celano (czemu charakteryzowanego w oparciu o Wikipedię a nie któreś z dostępnych opracowań historii literatury włoskiej?) na jej sposób kreowania świata przedstawionego i zaludniających go postaci.

Wrażliwość na to, co dzieje się z Zofią Kossak i wokół niej, cechuje wypowiedzi Heskiej-Kwaśniewicz, pasjonatki archiwów i świadectw, uważnej czytelniczki korespondencji autorki *Z otchłani* i jej współczesnych, która w różnorodnych „dokumentach przestrzeni prywatnej” znajduje kolejne potwierdzenia uderzającej w sylwetce Kossak spójności słowa i czynu, światopoglądu i postawy, wyznaczanych ideałów i podejmowanych działań; świadomego i dojrzałego katolicyzmu, polegającego na życiu Ewangelią.

Obszerny rozdział monografii dotyczy *Nieznanego kraju* oraz zagadnień polskości i śląskości, stale obecnych w twórczości osiadłej w Cieszyńskim i rozkochanej w Beskidzie Śląskim Kossak. Pasjonująco zrelacjonowana jest w nim historia zmian i modyfikacji, jakim poddawany był (nie tylko) ten utwór w wydaniach powojennych. Przykładowo, ze wstępu do *Nieznanego kraju* zniknęły wzmianki o „grozie bolszewickiej”, którą odczuwano na Śląsku w latach powstania i plebiscytu” (s. 492), a z samego tomu m.in. teksty poświęcone relacjom Wojciecha Korfańskiego i Michała Grażyńskiego oraz legionowej *Wilii w Nawsiu*, gdzie słynną Pierwszą Brygadę *rozkwaterowano* po Śląsku Cieszyńskim: „Zaraz pierwszej niedzieli, jednomyślnie, choć bez uprzedniego porozumienia, ewangelicki ksiądz Michejda w Nawsiu i katolicki ksiądz Ścisłała, wikariusz w Jabłonkowie – objaśnili z kazalnicy swych parafian, co zacz to wojsko, po co poszły w bój owe niedorostki, z trudem dźwigające karabin, i co mają nadzieję wywalczyć. – Żebyśmy byli jednym z Polską, z całą Polską! Z Polską wolną i niepoległą, rozumiecie?...” – cytując za drugim wydaniem *Nieznanego kraju*, z 1937 roku (s. 187), nauczona przez autorki opracowania nieufno-

ści wobec edycji późniejszych. Nawet w wersji z 2018 roku, jak zaznacza z żalem Heska-Kwaśniewicz (s. 493), nie przywrócono tego opowiadania, z piękną anegdotą o „zwykłym hutniku” Janie Wantuli, który przez Czantorię taszczył z Ustronia książki dla spragnionego lektury „rannego legionisty [Andrzeja] Struga”, i wyrażoną ustami późniejszego generała Mariana Kukieła pochwałą Ślązaków: „Nie spodziewaliśmy się... tak, wyznam, że nie spodziewaliśmy się... że wy tu tacy... Polacy...” (tamże, s. 198).

Książkę o Zofii Kossak można by, parafrazując przywołany wyżej utwór, zatytułować *Nieznana pisarka*. Nieznana, bo cenzurowana i przez długie dziesięciolecie czytana tylko wrywkowo. Nieznana, bo zaskakująca: jako sympatyk ruchu skautowego i jako dominikańska tercjarka, zafascynowana chrześcijaństwem również w jego wymiarze intelektualnym, wychodząca z Pawiaka i Auschwitz nie utraciwszy wiary w Boga i sens człowieczeństwa; jako reportażystka i autorka powieści obyczajowej *Dzień dzisiejszy*; przede wszystkim zaś – jako pisarka na miarę europejską, erudytką obdarzona humorem oraz inteligentnym poczuciem misji wychowawczej i edukacyjnej; zgodnie z ethosem ziemiańskim (a nie fantasmagorią współczesnej ekologii) odpowiedzialna za los powierzonych sobie ludzi, zwierząt i dóbr materialnych. Warto przekonać się, co sprawia, że jej twórczość mimo upływu lat „budzi emocje, jest ciągle nieobojętna” (s. 589).

Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Zdzisława Mokranowska, *Ja i moje książki – to jedno. Rozważania o pisarstwie Zofii Kossak*, Instytut Pamięci Narodowej & Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, Warszawa 2024, s. 728



Twórczość Zofii Kossak ceniona jest przez literaturoznawców reprezentujących różne pokolenia, czego dowodzą poświęcone jej prace wydawane na przestrzeni kilku dekad, zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych XX wieku oraz ostatnich. Wystarczy przywołać prace Krystyny Heski-Kwaśniewicz, Mirosławy Pałaszewskiej, Barbary Pytlos, monografię wieloautorską, książkę Dariusza Kulesszy i inne. Tom wydany w bieżącym roku, będący dziełem Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz i Zdzisławy Mokranowskiej, jest kontynuacją prac obydwu badaczek nad twórczością Kossak. Książka stanowi dokonanie pod wieloma względami imponujące, zmierzające do ukazania zarówno walorów poznawczych pisarstwa Zofii Kossak, jak i jego wymiaru moralnego i duchowego.

Zamysł leżący u podstaw książki i zarys zagadnień w niej podjętych przedstawia *Wprowadzenie* pióra Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, rozpoczynające się od pytania, kim była Zofia Kossak jako pisarka i jako człowiek. Słowa umieszczone w tytule: *Ja i moje książki – to jedno* dowodzą, jak silny związek istnieje między życiem a dziełem pisarki. Już na początku są zatem zaprezentowane etapy życia i twórczości Zofii Kossak, jej sylwetka, kolejne domy i miejsca ważne w biografii. Ułatwia to poruszanie się w obrębie rekonstruowanego w dalszych częściach pracy zarysu twórczego oraz tematyki podejmowanej przez pisarkę na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Autorki, przyglądając się różnym rodzajom lektury dzieł Kossak oraz uproszczeniem w ocenie jej pisarstwa (na przykład katolicyzmu pisarki), podjęły próbę znalezienia odpowiedzi na wiele pytań, wyjaśnienia tego, „co zaciemnione, a czasem przegadane” (s. 11).

Ponad połowę tomu zajmują obszernie omówienia rozmaitych kwestii; niektóre z nich, liczące kilkadziesiąt stron, stanowią swego rodzaju mikro-monografie. Tekst *Twórcze życie Zofii Kossak* autorstwa Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, rozwijający treści *Wprowadzenia*, odznacza się szerokim ujęciem tematu. Badaczka rekonstruuje kolejne dramatycznego losu autorki *Pożogi* zespolonego z losem zbiorowym, kształtowanie się jej osobowości, rozwój twórczy, przedstawia problematykę utworów. Wyłaniają się tu znaczące wydarzenia z życia pisarki, a jednocześnie główne wątki jej prozy, obrazy miejsc i regionów, z jakimi była związana (Lubelszczyzna, Wołyń, Śląsk Cieszyński, Warszawa, Częstochowa, Kornwalia). Na podkreślenie zasługuje uwaga poświęcona Górkom Wielkim, gdzie mieszkała Zofia Kossak przez długie lata, i więziom, jakie łączyły ją z najbliższym otoczeniem, z kręgiem harcerskim z Cieszyńskiego, z duchownymi, a także z pisarzami z pobliskich okolic i z innych miast (z Gustawem Morcinkiem, Marią Dąbrowską, Janem Dobraczyńskim i innymi).

Kolejny fragment, również obszerny, poświęcony jest utworom Kossak powstałym w czasie wojny i okupacji. Uzupełnia on stan wiedzy o dziełach wyrosłych z przeżyć okupacyjnych, mało dotąd znanych, a mających dzisiaj, jak podkreśla Krystyna Heska-Kwaśniewicz,

KSIAŻKI

„wartość świadectwa” [s. 163]. Zdzisława Mokranowska snuje rozważania na temat „świętości” i „hagiograficzności”, wydobywa inspiracje i aluzje biblijne, w jakie obfituje twórczość Zofii Kossak, określa ich funkcje w różnych utworach. Stawia pytanie o pojmowanie świętości przez autorkę *Przymierza*, o jej własne rozwiązania artystyczne; literackie kreacje postaci świętych, a także zwykłych ludzi, pozwalają dostrzec przekonanie pisarki o istnieniu „zwykłej świętości” (s. 218). Zdzisława Mokranowska rozpatruje też – w kolejnym rozdziale – kwestie związane z pisarstwem historycznym Zofii Kossak i jego zakorzenieniem w tradycji, zwraca uwagę na recepcję (w latach międzywojennych i powojennych) utworów o tematyce historycznej i na konieczność obiektywnego i gruntownego ich zbadania. Krystyna Heska-Kwaśniewicz przedstawia Zofię Kossak jako „malarzkę krajobrazów”, tworzącą przy pomocy pióra „krajobrazy górskie, akwaticzne, równinne, wiejskie, ale i industrialne” (s. 293–294); wskazuje funkcje pejzażu w utworach, śledzi sposoby jego budowania, charakteryzuje środki stylistyczne stosowane przez pisarkę.

Druga część książki, zatytułowana *Proza historyczna i nie tylko...*, liczy około 250 stron; w krótkim wprowadzeniu zaprezentowany został obszar uwagi badawczej, wyznaczony przez kwestie genealogiczne oraz inne, które są z nimi związane. W poszczególnych rozdziałach (od rozbudowanego studium do szkicu) Autorki wydobywają różnorodność i złożoność gatunkową pisarstwa Kossak, przedstawiają jego wymiar dokumentarny i autobiograficzny; rekonstruują przestrzeń i czas w utworach oraz konteksty historycznoliterackie, wskazując zabiegi mityzacyjne (Ukraina, Kresy, dom utracony), podejmują kwestie tożsamości kulturowej, i inne. Do gatunków, które są tu przedmiotem uwagi, należą: dziennik, pamiętnik, wspomnienie poświadczające autobiograficzny charakter



ELŻBIETA HURNIK

niektórych utworów, rozmaite formy prozatorskie, jak „mikroopowiadania” z tomu *Bursztyny* (s. 247), czy formy łączące różne elementy, jak powieść *Beatum scelus*, która, według Zdzisławy Mokranowskiej, „syntuuje się między gawędą o przeszłości i dydaktycznym wykładem określonej historiozofii opartej na hagiograficzno-historycznej legendzie” (s. 239). Krystyna Heska-Kwaśniewicz poświęca uwagę listom Kossak do rodziny i przyjaciół, z których wyłania się „portret psychologiczny pisarki, kobiety z wyrazistym systemem wartości” (s. 437). W świetle snutych w książce rozważań rysują się zainteresowania autorki *Pożogi* ludzką jednostką i zbiorowością, historią i współczesnością, dziejami Europy i Śląska, religią i postaciami świętych. Ważny nurt pisarstwa Kossak stanowi twórczość dla dzieci i młodzieży, omówiona w obszernym studium przez Krystynę Heską-Kwaśniewicz, która wskazuje jej treści, ideały wychowawcze, piękno języka i humor.

Na tom *Ja i moje książki – to jedno* złożony jest tekst w części już wcześniej opublikowany (jak informuje *Nota edytorska*), ale na użytek niniejszej publikacji „przepracowane i przedręgowane” (s. 619), które układają się tu w odrębną całość i zyskują nową wartość, wzajemnie oświetlają się i dopełniają. Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Zdzisława Mokranowska stworzyły dzieło spójne, bogate merytorycznie, pozwalające lepiej poznać jedną z najwybitniejszych pisarek XX wieku, inspirowane do kolejnych interpretacji.

Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Zdzisława Mokranowska, *Ja i moje książki – to jedno. Rozważania o pisarstwie Zofii Kossak*, Instytut Pamięci Narodowej & Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, Warszawa 2024, s. 728.

Język jest moją skórą

język jest moją skórą
rozciągniętą na strugach powietrza
napiętą i zranioną
jak każda żaloba
po wczoraj

nie wiedziałem że słowa
wnikają w ciało
i krążą jak soki drzewa
wprawiając w ruch
ten cały metabolizm
wszechświata

może to właśnie było naszym
wzrastaniem
może dlatego włóczyliśmy się
godzinami wzdłuż murów miasta
zostawiając wszędzie ślady palców
i oddechy na zmurszałych ceglach

a teraz język kłuje mnie
głęboko i chyba to jedyny
znak mojego życia

Wiersz urodzinowy

Całymi dniami czytałem książki,
po prostu siedziałem przy kaloryferze
i chłonałem wszystko, co wpadło mi w ręce.

Latem sprzedawaliśmy butelki,
półlitrowki, kablukowe i po piwie.
Nie było kas ani automatów.
Butelki brzęczały i tłukły się,
ale były łatwiejszym zarobkiem niż
wyrabianie pustaków, skądinąd
też popularne zajęcie.

Zresztą nie potrzebowaliśmy wiele,
życie toczyło się samo.
Nikt z nas nie wierzył, że te trzy wymiary
fizyki zejdą się kiedyś w jeden punkt
jak granatowe oko nocy.

Zapalić świat

Zapalić świat jak wyschnięte drzewo
pewnie nie jest trudno. Wiedzą o tym
pokraczni tyrani rozparci w fotelach
wielkorządców prowincji. Ich imperialne
guziki mocno dopinają imperialne garnitury,
kiedy głośno wykrzykują, że inny świat
nie jest możliwy, że jest tylko jedna
odpowiedź i że każdy musi wybierać sam,
ale mądrze. Ziemia jest dla nich za mała,
by zmieścić tyle różnych języków
i wtedy nie wahają się, by zapalić świat
jak wyschnięte drzewo.

Lipiec

nad Ropą ogniska
cienie na niskich brzegach
a pod drzewami gwar

lato przeżyło się złocistą poświatą
pachniały lipy nad ławkami w parku
pod kamieniami krzątały się mrówki

noc wkradała się cicho jak zimne
światło gwiazd
jesienią przysypały nas liście

zółte
czerwone
brązowe

Niebieski rower

To była zwykła sąsiedzka przysługa
– przekazać ogłoszenie na kartce.
Dom był niedaleko, rower pod ręką.
Henryk włożył kartkę do kieszeni koszuli,
wyciągnął niebieski rower i pojechał
wzdłuż torów do sąsiada.
Pewnie pogadali chwilę, może ponarzekali,
że podatki co roku wyższe, a z ziemi
utrzymać się trudno. Może zapalili
papierosy i posiedzieli na ławce przed domem.
Kiedy się pożegnali, Henryk wszedł na rower
i ruszył z powrotem. W połowie drogi
zachwiał się i upadł w zboże.

Helena już się niepokoiła, że znów się zasiedział
bez potrzeby. Przecież pociąg do Stróż
przemknął już za oknami,
zostawiając kłęby czarnego dymu.

Po godzinie Henryka znalazł sąsiad,
wypatrzył duże koło wystające z żyta.
Już nie żył, niebieska rama błyszczała w słońcu,
a uniesionym kołem lekko kręcił wiatr.

Kacze mydło

Wieczorem wchodzimy do rzeki, woda
jest zimna, kamienie ostre, śliskie.
Skóra cierpnie, stopy rozjeżdżają się
na oślizłych głazach. Gruba, czarna dętka
miętko kołysze się przy brzegu.
Trzeba uważać, żeby nie wpłynąć
w nurt. Wrzaski i śmiechy,
kiedy smarujemy się kaczym mydłem.
Błękit nieba tak intensywny, że aż
niezauważalny. Na dużym otoczaku
piszę tłustym ilem swoje inicjały.

Ballada o grabieniu liści

po południu grabię liście w ogrodzie
zimne noce ścielą nimi ziemię
wiatr kręci dokoła
jak w magicznym lotto

zaledwie żółte
może lekko brązowe
wysychają powoli
wypuszczając z włókien
resztki letniego powietrza

jesień znowu mnie zaskoczyła
już pod drzewami czerwone kropki
szampionów obitych upadkiem
ze śladami ptasich rautów

kiedyś te spady zbierał jeź
można go było spotkać wieczorem
w wysokiej trawie

dobre grabie to podstawa
zgarniają liście
drobne gałązki
i całą tę powłokę
gnijącego lata

potem wszystko musi wyschnąć
zamienić się w kruchy papier
a wtedy czerwone języki
tańczą wesoło
i wynoszą wysoko
srebrzysty popiół

Barbakan

Za oknem styczniowy mrok,
wrony rozbijają orzechy na asfalcie.
Jeszcze nie ma wojny, dokoła cisza.
Zimowe uśpienie jak zawsze o tej porze.

Z Piotrem włóczyliśmy się godzinami
po ciemnym parku, sennych ulicach,
ścieżkach nad rzeką. Domy garbiły się i
znikały
w powłoce nocy. Niekiedy księżyc
wynurzał się wprost z rzeki i wtedy było jasno
jak w kopule ognia. Pompa na rynku
skrzypiała z jękiem, a potem znowu
zalegała cisza. Z siwych podwórzy
dobiegało ujadanie psów, a my przebiegaliśmy
Podwałem i w górę przy baszcie.
Z barbakanu był najlepszy widok
w jasne noce. Wzrok pełził wzdłuż rzeki
i znikał za pasmami gór.

Tamtego roku Ropa płynęła leniwie,
zdawało się, że jest srebrną cynfolią,
po której przeskakują wesołe błyski.
Barbakan potężniał w ciemności
jak statek na morzu.

2022

Skała lefkadejska

Dzień w sierpniu pośrodku lata,
słońce mamy zmysły. Wędrujemy
do wodospadu, który wysechł
do białych kamieni.
Zamiast wody same głązy jak wykuta
przez Achajów droga. Niczego tam nie ma
– mówi Kostas. Ale jest dokładnie
na odwrót. Drzewa gęstnieją, cień się wydłuża,
cisza łomocze w uszach. Podnosimy wysoko
głowy, gdy spada strumień deszczu,
a wodospad napętnia się burzą, grzmotem
i wodą. Fiołkowłosa Safo śmieje się głośno
z lefkadejskiej skały.

Likierek ma nową pasję

Likierek ma nową pasję,
podgląda świat przez dziurkę od klucza.
Tłumaczy, że to jedyny i prawdziwy
obraz rzeczywistości, a wszystkie inne są
zafałszowane. Ogląda poranne przebieżki,
wyjścia do sklepu, słucha pogaduszek,
wypatruje ptaków. Twierdzi, że pierwszy
dostrzegł koronawirusa jeszcze przed Chiń-
czykami,
ale nikt mu nie wierzy. Obawia się tylko
nowych zamków na kartę magnetyczną
i psa sąsiadów, który go wyczuł ostatnio
za drzwiami i teraz obszczekuje bezlitośnie.



Janusz Pasterski, ur. 1964, historyk literatury, krytyk, poeta. Pracuje w Instytucie Polonistyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego. Opublikował zbiory wierszy *Plac Kromera* (2009), *Mity i kamienie* (2013), *Księga Likierka i inne wiersze* (2018), *Rysunki naskalne* (2021) oraz audiobook *Perseusz wychodzi wieczorem* (2014). Redaktor kwartalnika literackiego „Fraza”.

Z dłutem przez życie

TADEUSZ KIJONKA

1

Jeśli na całość dzieła Zygmunta Brachmańskiego składa się ponad dwa tysiące prac, od wielkich monumentów licząc – po setki medali świadczących o wyjątkowej inwencji twórczej, można mówić o nim jako artyście spełnionym, wciąż przecież aktywnym, gotowym podjąć nowe wyzwania, choć jak każdy wybitny twórca nie ma zapewne poczucia pełnej satysfakcji i wierzy, że nowe, może nawet największe dzieła są jeszcze przed nim.

2

Jest sprawą godną osobnej uwagi droga obdarzonego nieprzeciętnym talentem śląskiego chłopca z Rydułtów do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie: jak i skąd tam się wziął?... Stało się to możliwe dzięki działającemu wówczas w tej górniczej, podrybicznej miejscowości społecznemu ognisku plastycznemu, utworzonemu przez znanych z twórczych dokonań braci Konarzewskich, a skąd wyszło немало utalentowanych wychowanków, którzy przebili się do pozycji profesjonalnych artystów z dyplomami ASP. Szczególnie Ludwik Konarzewski wywarł znaczny wpływ na Zygmunta Brachmańskiego, gruntując w nim uzasadnione ambicje, w tym wolę podjęcia rzeźbiarskich studiów, toteż po maturze w miejscowym gimnazjum wprost do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych wiódł trakt młodego rydułtowanina. Lata w pracowni prof. Jerzego Badury, artysty o wielkim autorytecie, obdarzonego wrodzonym darem inspirowania twórczych osobowości swoich studentów, okazały się nadzwyczaj ważne dla Zygmunta Brachmańskiego i jego dalszego rozwoju.

3

Żeby ogarnąć i skomentować całość rozległego dorobku Zygmunta Brachmańskiego należałoby objąć uwagę to, co stworzył, a znajduje się w wielu miejscach, zarówno w plenerze [...], jak również w otwartej przestrzeni, a także w obiektach publicznych i licznych kościołach, nie licząc galerii i zbiorów prywatnych. Skala i rozpiętość tematyczna jego prac obejmuje duże pomniki i wielopostaciowe monumenty, ale i rzeźby kameralne niewielkiego formatu, wysokości kilkudziesięciu centymetrów, w tym liczne miniatury o uderzającej ekspresji oraz koncentracji postaci i znaków [...]. Osobne miejsce w tym rozległym dorobku zajmują medale – a stworzył ich kilkaset! – świadczące o nadzwyczajnej inspiracji twórczej i mistrzostwie sugestywnego warsztatu.

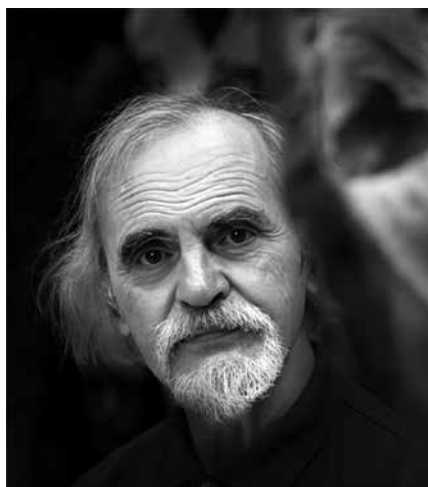
4

W niewielkim szkicu można co najwyżej zasygnalizować to, co ważne i charakterystyczne dla tego twórcy – a więc uderzającą wszechstronność, obejmującą zarówno monumentalne

kompozycje, ale i odznaczające się niepospolitą inwencją i cyzelatorską perfekcją małe formy studyjne, zaś przede wszystkim medalierskie arcydzieła [...]. Na uwagę zasługują również znakomite popiersia – np. z postaciami Ryszarda Wagnera czy Fryderyka Chopina, gdzie osiągnął nie tylko sugestywne, choć nie dosłowne podobieństwo, ale i przekazał syntezę tych fascynujących osobowości twórczych przez celne przekształcenia i deformacje.

5

Rzeźby i monumenty Zygmunta Brachmańskiego o bohaterkiej i patetycznej wymowie znajdują się w wielu miejscach na Śląsku [...]. Jednym z ostatnich pomników z tej grupy dzieł [...] jest [...] znany katowicki pomnik Wojciecha Korfańskiego. Nader rozległy jest także rejestr prac [...] stworzonych dla kościołów i miejsc sakralnych, których ma w dorobku ponad pięćdziesiąt. [...] Każde z tych dzieł zasługuje



na osobny opis, bo sumuje to wszystko, co odnajdujemy w pojedynczych i studyjnych rzeźbach z obszary sztuki sakralnej [...]. Właśnie w sztuce sakralnej najpełniej wyraża i przekazuje Zdzisław Brachmański symboliczne znaki i odczucia, poprzez metaforyczne przetwarzanie form, a więc sztukę syntezy.

6

Zdzisław Brachmański jest artystą o nadzwyczajnej twórczej aktywności, która przekłada się na ogromny zestaw dzieł obejmujących wielkie sceny i monumenty, ale i niezliczone prace niewielkiego formatu, w tym rzeźbiarskie etudy i rzeźby studyjne. Jest twórcą, który odczuwa także potrzebę wyrażania swojego stosunku do świata i zjawisk życia poprzez prace nieokreślone warunkami tematycznymi zlecenia. Mają swoją wymowę dzieła o alegorycznej i transcendentalnej wymowie, jak kompozycje z cyklu *Apokalipsa*, czy odwołujące się do historycznych postaci i znaków prace z cyklu

Królowie ciemności na temat władzy i jej hierarchów w dziejach ludzkości, od faraona licząc. Uderza także inwencja i wyobraźnia twórcza, umiejętność posługiwania się alegorią czy symbolem [...].

7

Artysta ten [...] opanował sekrety warsztatu w stopniu nadzwyczajnym i kwestie formy nie stanowią dla niego problemu. Ani też opór tworzywa, a zrealizował swe dzieła i twórcze inspiracje właściwie w każdym materiale. Ma w dorobku rzeźby w drewnie, tworzył w kamieniu, nie rezygnuje z patynowanego gipsu, choć preferuje brąz i żywice poliestrowe. Tworzy rzeźby o zwartej i wypełnionej bryle, ale i przestrzenne, ażurowe, w tym eksponujące ruch i dynamikę, jak porywające *Konie*. Umie wyrazić patos i stany hieratyczne, lecz również odczucia natury lirycznej poprzez wymowę subtelnie zarysowanych znaków. Jego dłuto potrafi oddać całą skalę emocji i ekspresji poprzez zdecydowane, mocarne uderzenia i cięcia, ostre rozwarcia, głębokie szczeliny i dramatyczne prześwity. Bywa monolityczny, ale i bardzo malarzski, kojarząc fakturę rzeźbiarskiej powierzchni z grą światła i cieni. Dodajmy walory kompozycji postaci i całych scen, które mają swój rozpoznawalny trwały sens, wyrażający przeżycia i postawę artysty.

8

Zdzisław Brachmański jest artystą z poczuciem historycznej ciągłości, co zaznacza poprzez swój stosunek do klasycyzmu, w tym do Michała Anioła oraz szczególnie ważne w jego rozwiązaniach i myśleniu Augusta Rodina, który zajmuje przełomowe miejsce w dziejach współczesnej rzeźby. Niewątpliwie odcisnął się na jego świadomości twórczej również Henry Moore [...].

9

Ten śląski artysta z rodowodu, życiowego adresu i głównego obszaru realizacji swych dzieł jest na co dzień człowiekiem ujmującej serdeczności i bezpośredniości. Wysoki, barczysty, o mocnych, spracowanych dłoniach, z twarzą jakby stworzoną do uformowania dłutem „głowy rzeźbiarza”, jest Zdzisław Brachmański wtopiony od lat w pejzaż Katowic i wydarzeń kulturalnych miasta. Jego wyrazista śląskość odczuwana jest także w intonacji i artykulacji, w tym, jak mówi i reaguje: człowiek w obcowaniu naturalny – z otwartymi ramionami przy powitaniu. To również wymowne jako bezpośrednie świadectwo, kim jest w swojej sztuce.

* Fragmenty wstępu do katalogu *Medale Zygmunta Brachmańskiego* (Polskie Towarzystwo Numizmatyczne, Oddział Wodzisław Śląski, 2006). Wybrał i oprac. (m).



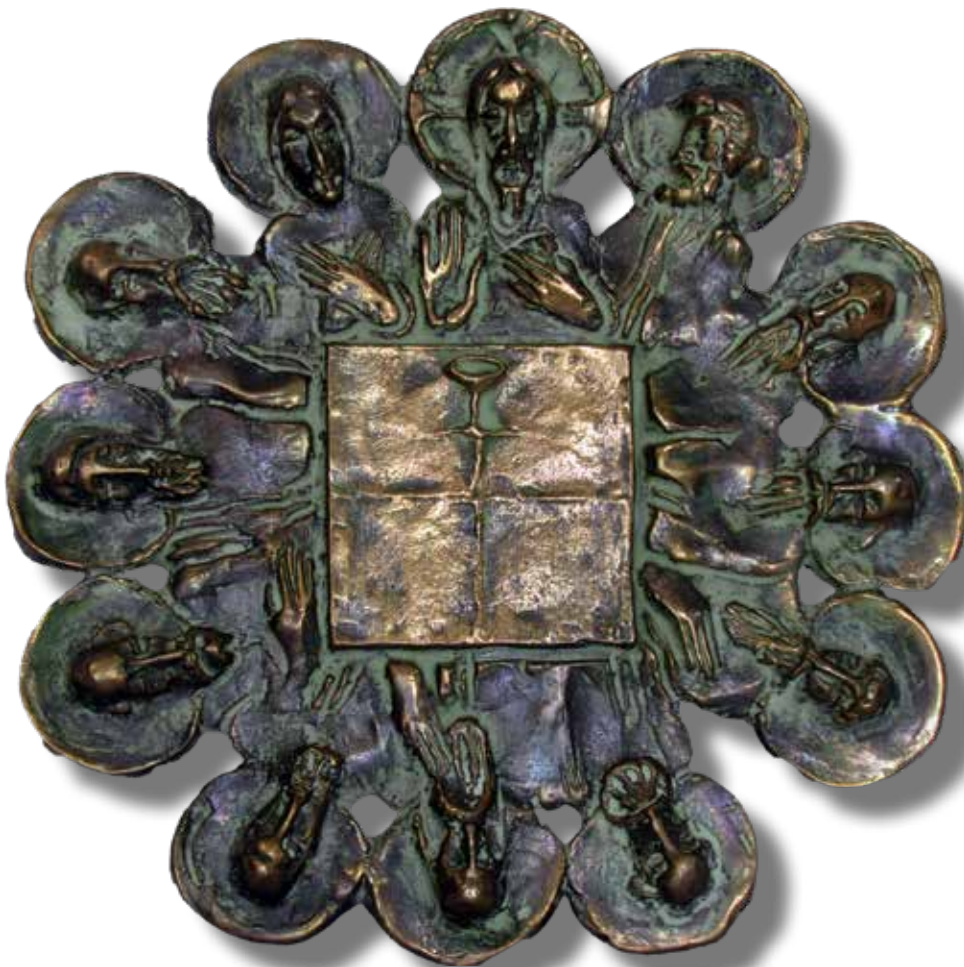
Zamyślona



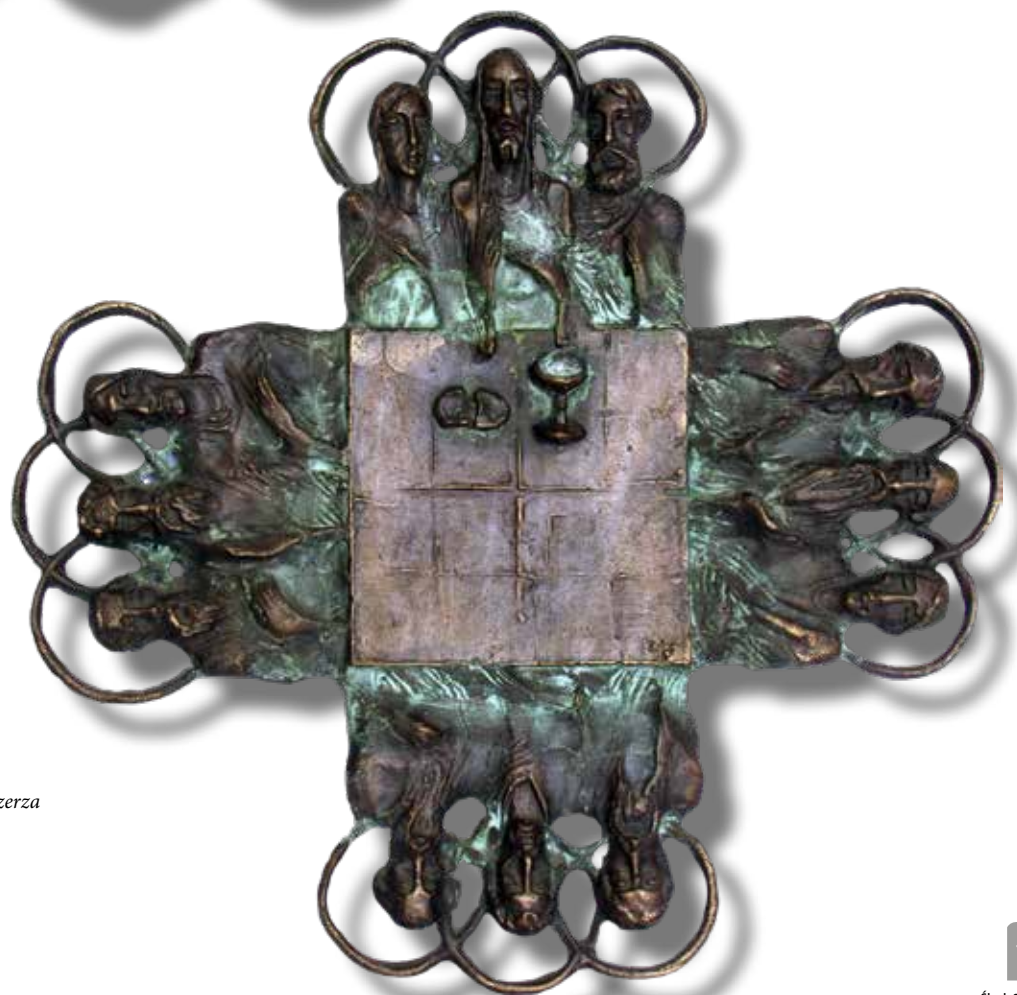
Ukoronowanie



Tron



Ostatnia Wieczerza 2



Ostatnia Wieczerza



Na ławeczce

Książka o Barbarze Buczkównie

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

„Myślę, że nie była człowiekiem nieszczęśliwym”. Tym ostrożnym i wieloznacznym stwierdzeniem Anna Zawadzka-Głosz zamknęła swój tekst „Barbara Buczek – droga przez anekumene”, który otwiera drugą część publikacji *...Ésotérique... O muzyce Barbary Buczek*. Wreszcie więc pojawiła się książka przybliżająca czytelnikom i czytelnikom dorobek kompozytorski i pisarski genialnej Barbary Buczkówny (1940–1993; *Śląsk* 278). Wydaje mi się, iż opinia Anny Zawadzkiej-Głosz jest i celna – i chybiona zarazem. Celna, gdyż Buczkówna nie była osobą nieszczęśliwą. Miałem zaszczyt poznać ją osobiście; lata bliskiej znajomości pozwoliły mi zrozumieć jej wyjątkową umysłowość, której dominantami były duchowe piękno oparte na chrześcijańskim umiłowaniu dobra; wewnętrzny spokój; wyważona tolerancja; akceptacja inności; pozytywny stosunek do bliźnich i świata, choć konstruktywnie krytyczny wobec rzeczywistości; otwartość i ciekawość poznawcza (uważała, iż spotkanie nowych ludzi wzbogaca nas i czyni lepszymi). Z drugiej strony opinia Anny Zawadzkiej-Głosz jest chybiona, bowiem osobowość naszej wspaniałej kompozytorki ukształtowała się, przynajmniej moim zdaniem, w idealnej niezależności od standardowych, „prziemnych” kategorii odczuwania i zachowania. Nie być nieszczęśliwym nie oznacza bycia szczęśliwym. A Buczkówna była szczęśliwa. Potrafiła stworzyć własne egzystencjalne uniwersum, własną rzeczywistość, w której żyła jako osoba wolna, lecz nieobojętna na to, co dzieło się na zewnątrz. Całkowite odseparowanie od codzienności, życie w owej bańce mydlanej, uznawała za błędne i szkodliwe. Jej idealnym stanem duchowości była wolność wewnętrzna, którą osiągnęła w stopniu dostępnym bardzo niewielu – przychodzą na myśl Sokrates, Tacyt, Augustyn, Dante, Michał Anioł, Mary Wollstonecraft, Beethoven, Bułhakow, Achmatowa, Herbert. Przynosiły jej radość każdy świeży pomysł, każda niebanalna konsytuacja formalno-treściowa, każdy nowy utwór. Nie zabiegała o to, żeby grano jej muzykę, nie tworzyła kompromisowo, cieszyła się samym aktem kompozytorem. Do samego końca pozostała idealistką marzącą o lepszej przyszłości sztuki i kultury – i w tę lepszą przyszłość do samego końca wierzyła. W takim odniesieniu mówić trzeba o Buczkównie jako osobie szczęśliwej.

Książka, pokłosie konferencji z grudnia 2014 na temat jej twórczości, zorganizowanej przez krakowską Akademię Muzyczną a połączoną z wykonaniami utworów kameralnych, składa się, jak już podesunąłem, z dwóch czę-

ści. Wyjątkowe znaczenia ma część pierwsza. Zebrano w niej najważniejsze pisma Buczkówny: cztery ważne artykuły; ukazały się one za życia artystki w czasopismach naukowych takich jak, odpowiednio, *Studia Filozoficzne*, *Annales Universitatis Mariae Skłodowska-Curie*, *Roczniki Teologiczno-Kanoniczne*, oraz w książce *Filozofia warsztatu*.

W pierwszym z tych artykułów, zatytułowanym „O sposobie istnienia utworu muzycznego”, Buczkówna analizuje proces zaistnienia dzieła muzycznego, początkiem którego jest kompozycyjny moment ideowo-wyobraźniowy. Autorka pisze o genezie aktu twórczego: „[d]la autentycznego twórcy racją istnienia jest współtworzenie kultury, czyli indywidualny udział w jej rozwijaniu i wzbogacaniu jej o dokonania własne. Moc oddziaływania idei zależy więc m.in. od tego, w jakim stopniu jest ona oryginalna, śmiała i nowatorska oraz w jakiej mierze odpowiada indywidualnym, odrębnym rysom osobowości i fantazji kompozytora”. Innymi słowy, mówi tu Buczkówna o konieczności eksperymentalnego drążenia materiału w oparciu o wyobraźnię, grę fantazji, a także twórczą docieklivość, odpowiedzialność, nieskrępowaną odwagę i szczerość. Są to dla niej czynniki o fundamentalnym znaczeniu. Ten motyw przewija się we wszystkich jej tekstach. Dużo uwagi poświęca *formie pojęciowej*, ejdetycznej. Forma ta może powstać w umyśle twórczyni albo twórcy *ad hoc*, by następnie podlegać przemianom związanym z nieustanną autorefleksją w zakresie planowania i konstruowania danego dzieła. *Eidos* to pojęcie wieloznaczeniowe, którego odpowiednikami w języku polskim są, jak wskazuje autorka za Władysławem Tatarkiewiczem, „kształt”, „postać”, „wygląd”, „forma”, „wzór”, „charakter”, „stan rzeczy”, również „piękność”, „uroda”. Forma pojęciowa, ejdetyczna, nie jest zatem formą daną z góry, istniejącą obiektywnie. Jest to natomiast – co słusznie podkreśla Tomasz Biernacki w fascynującym esej „Eidos – kształt – brzmienie. Filozofia muzyki i jej przełożenie na problemy warsztatowe w twórczości Barbary Buczek” – forma asynchroniczna, nielinearna, wielopoziomowa, wielowymiarowa, unikająca schematów konstrukcyjno-narratywnych znanych z przeszłości i uznanych z historycznego punktu widzenia za wygodne punkty wyjścia w procesie komponowania. M. in. stąd bierze się dziwna osobliwość, „obcość” muzyki Barbary Buczkówny, tak brzmieniowa jak emocjonalna. Już nie pomnę ile razy muzycy pracujący nad jej utworami pytali mnie o „formę”: „no bo co ja



mam z tym zrobić, jak to zrozumieć?”, pytali. Zawsze im odpowiadam, iż tej muzyce należy się poddać i, grając ją, dryfować z prądem jej przebiegu bez tracenia czasu na wyszukiwanie jakichś „motywów”, „kulminacji”, „wstępów”, „zakończeń”. Nie tędy droga. Nie należy wyszukiwać jakowejś „budowy” dzieła, tylko uważnie studiować strukturalne interakcje wszystkich jego elementów składowych i krok po kroku budować narrację w oparciu o energię ogólnodźwiękowego kontinuum prowadzącą ku spełnieniu ekspresyjnego.

W kolejnych artykułach – „Obecność kompozytora w tworzonych przez niego dziełach muzycznych”, „Wielość i jedność w muzyce sakralnej Bogusława Schaeffera”, „Uwagi o warsztacie współczesnego kompozytora” – Buczkówna rozwija swoje koncepcje. Godny polecenia jest tekst ostatni, będący najpełniejszym wykładem poglądów kompozytorki.

Część druga omawianej pracy zawiera – oprócz wypowiedzi Anny Zawadzkiej-Głosz i Tomasza Biernackiego – analizy warsztatu Buczkówny oraz wybranych utworów; są to bardzo udane teksty Macieja Jabłońskiego, Kamila Kruka, Krzysztofa Kostrzewy, Marka Chołoniewskiego, Katarzyny Stępniewskiej, Ewy Wójtowicz i Joanny Schiller-Rydzewskiej (traktujący o ewolucji kompozytorskiej Ewy Synowiec; *Śląsk* 308).

Ludzką chamieję. Edukacja, sztuka, kultura dewaluują się tak, jak dewaluuje się pieniądź – i wulgarnieją w zatrważającym tempie. Coraz dalsi jesteśmy od świata, o którym marzyli Ives, Cage, Schaeffer, Buczkówna. Dlatego na przekór wszystkiemu powinniśmy jej twórczość pielęgnować za wszelką cenę. I do tego przyczynia się ta bezcenna praca. ■

Agnieszka Draus (red.), *...Ésotérique... O muzyce Barbary Buczek*, Wydawnictwo Akademii Muzycznej, Kraków 2023, s. 281.

Dziennik bez dat

MARIAN KISIEL

1

Dziennik. — W pisaniu dziennika nie chodzi o to, aby kolejne zapiski łączyły się z sobą, dopowiadały siebie, nawiązywały łączność z myślą, która powinna była minąć, a wciąż czeka się każdego później napisanego słowa. W pisaniu dziennika bardziej chodzi o to, by zapiski się rozdzielały, dziwiły się swojemu sąsiedztwu, a jeśli pojawiają się kiedyś w tej samej lub podobnej postaci, to raczej jako zjawy, widmo, powrót zmarłego, utracona forma, myślowa *apophrades*.

2

„Umarli stali w moich oczach cicho uśmiechnięci” (Różewicz). — Intensywnie o nich myślę. Przysmykam oczy i przywołuję ich twarze. Zwykle pojawiają się uśmiechnięci. A ja się zastanawiam, czy to, że wciąż ich przyzywam, jest im potrzebne. Może spokój po tamtej stronie jest im bardziej przyjemny niż zgilek po naszej stronie?

3

A jeśli nie? — A jeśli na tamtym świecie czeka się na zaproszenie od nas, którzy – jak zwykliśmy to czynić za życia – najpierw z nadmierną wylewnością zapraszamy, a potem wynajdujemy tyle przeszkód, żeby spotkanie opóźnić, przesunąć na kiedy indziej lub w ogóle odwołać? Dopóki pamiętamy o sobie, dopóty jesteśmy. A po śmierci? Dopóty są, dopóki pamiętamy o nich.

4

Twarc Meduzy. — Meduza, córka Forkosa i Keto, najmłodsza z trzech Gorgon i jedyna śmiertelna, zanim stała się potworem, najpierw była piękną kobietą o bujnych włosach. Owidiusz napisał w swoich *Przemianach*, że miała wielu adoratorów. Była służką Ateny, poprzysięgła żyć w czystości. Została zgwałcona przez Posejdona. Bogini najpierw skryła swój wzrok za tarczą, a następnie zamieniła służkę w odrażającą kreaturę. Na jej głowie zamiast włosów, wiły się węże. Jej spojrzenie zamieniało ofiarę w kamień, a jej krew mogła odbierać życie i wskrzeszać zmarłych. Została zabita przez Perseusza, z jej krwi zrodził się Pegaz. Głowę Meduzy Atena umieściła na swej tarczy, aby odstraszała przeciwnika. W Hadesie była cieniem, przerażającym widmem, spotkał ją Herakles, który tam zawitał, by porwać Cerbera. To mitologia w skrócie, ekscerpt z różnych wariantów starożytnych opowieści. Meduza – niegdyś symbol przerażającej i odrażającej siły, dzisiaj – interpretowany feministycznie – symbol wolności kobiet. „Wystarczy spojrzeć w twarz Meduzy, by ją ujrzyć: od tego się nie umiera. Ona jest piękna i śmieje się” (Hélène Cixous, *Śmiech Meduzy*, przeł. Anna Nasiłowska, „Teksty Drugie” 1993, nr 4/5/6, s. 157).

5

Wolność. — Barbara Skarga komentując myśl Lévinasa: „Wolność jest trudna [...], nie wystarczy ona, by człowiek się mógł wznieść ku autentycznej godności. Godność wymaga bowiem czegoś więcej, wzięcia odpowiedzialności za drugiego człowieka. Odpowiedzialność jest miarą i porządkiem wolności” (*Po śmierci Emmanuela Lévinasa. Odsłonić kielkujące zło*, w: *O filozofię bać się nie musimy. Szkice z różnych lat*,

red. Marcin Pańków, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2017, s. 184).

5

Skrzydła. — Bajeczka Racheli Bojmwoł, przekład mój: „Dwaj chłopcy pochylili się nad gałązką krzaka i uważnie przyglądali się biedronce. A ona zamachała skrzydełkami i odleciała. – ‘Ech, żeby tak mieć skrzydła’ – westchnął jeden z chłopców. – ‘I ja bym chciał mieć skrzydła’ – powiedział drugi. – ‘Poleciałbym wtedy do fabryki cukierków, która jest na przedmieściach. Ależ bym się tam najadł słodczy! A ty?’ – ‘Ja’ – powiedział pierwszy chłopiec – ‘chciałbym polecieć wysoko, wysoko ponad chmury’. I jak to często bywa w bajkach, pragnienie obu chłopców zaraz się spełniło. Boża krówka nie była zwyczajną bożą krówką, ale czarodziejską. Odlatując, usłyszała rozmowę dwóch malców i zrobiła tak, że od razu wyrosły im skrzydła. Ale cóż – ten, który marzył o słodczych, stał się muchą, a ten, który chciał dosięgnąć słońca, stał się ptakiem. Są bowiem różne skrzydła”.

6

Kres literatury? — Czy literatura ma swój kres? Jeżeli ma, to gdzie on jest? A jeżeli nie ma, to dlaczego o to pytamy? Im częściej zagłębiamy się w ogromną pustkę przeszłości, im głębiej drążymy mroczne robaczki pisma, tym dramatyczniej zadajemy to pytanie okrutnej egzystencji: jeżeli literatura ma jakikolwiek sens, to dlaczego traci się sens mnie, jako czytelnika i mnie jako znawcy literatury? Niewątpliwie, literatura ma sens głęboki. Dzięki niej wchodzimy w życie, poznajemy je przez biografie fikcyjnych bohaterów, ustanawiamy własny system wartości *per analogiam* systemu wartości uobecnionego w tekście pisanym. Ale czy ten sens głęboki literatury jest sensem czytelnika? Kres literatury musi wiązać się z kresem czytelnika. Nie chodzi mi o to, że współczesność, w jakiej przyszło nam żyć, nie dba o mroczne robaczki pisma. Nie chodzi mi też o to, że świadomość przeszłości nie odbija się w potrzebie poszukiwania. Chodzi mi o to, że co-



kolwiek będziemy starali się stworzyć, musi na nowo powoływać do życia kwestie dawno już rozstrzygnięte. Bo taki jest czas: nie zna on miary upływu. Jest czasem wiecznego rozdelenia. Ilekroć odwołuję się do jakichś znaków przeszłości, mam poczucie nieestosowności. Mówię, a jakbym sobie przypominał. Mówię, a jakbym na nowo stwarzał rzeczywistość kultury. Mówię, lecz nie jestem pewien słów, jakie wypowiadam. Nie chodzi o słuchacza, chodzi o mnie. Słuchacz przyjmie moją wypowiedź, lecz nie wie, jakim ona traktem podąży. Słuchacz jest wierny słowu słyszanemu. A ja? Ów wypowiadający słowa?

7

Młodość i starość. — *Miarka za miarkę*, przeł. Jan Kaspro-wicz, w: *Dzieła Wiliama Szekspira*, przeł. Józef Korzeniowski [i in.], red. Henryk Biegeleisen, t. 9, Księgarnia Polska, Łwów 1897, s. 44:

„[...] Młodości
Ni podeszłego nie posiadasz wieku –
Popołudniowej jest to rodzaj drzemki,
Gdzie śnisz o jednym i drugim; twa cała
Kwitnąca młodość jak wiekowy nędzarsz
Żebrze jałmużny u zwiędłej starości;
A kiedy stary i bogaty, wówczas
Brak ci już żądry, ognia, członków, wdzięku,
Aby używać swych bogactw. I cóż w tym
Godne nazywać się życiem? W tym życiu
Śmierci ukrywa się tysiąc, a jednak
Drżymy przed śmiercią, co w końcu te wszystkie
Godzi sprzeczności”.

Przenieść słowa Księcia na tę sferę życia, gdzie spotykają się z sobą dwaj odwieczni Proteusze, sprzymierzeńcy i oponenti zarazem – młodość i starość. Szekspir w swoim uogólnieniu dał nam, jak się zdaje, i to prawo, żebyśmy czytając go w ułamku i oderwaniu od kontekstu, mogli dopisać do tej drobiny własną treść. Tę właśnie: o nierozdzielności młodości i starości, ich wzajemnym na siebie skazaniu, ich chępliwości i zebraniu łaski, ich śnie i drzemce. Albo inaczej: o cnocie godności, której wzajemnie oba czasy sobie odma-wiają, choć w istocie rzeczy godność jest tym, czego każdy z nich (jak każdy z nas) chce – i będzie – bronić do ostatka. Ale o odwiecznym toposie kultury, relacjach przymierza i wojny, młodości i starości napisano tak wiele, że nie ma potrzeby dalszego czernienia papieru. Bo czyż można oddalić nagromadzone urazy, czyż wypadnie skorygować lansady, jakie ma każdy czas i zastanawiać się nad ich sensem? Nic tutaj ciekawego nie ma, wszystko zostało powiedziane. Niemniej pytanie o godność młodzieńca i starca jest chyba fundamentalną próbą dotarcia do istoty wzajemnego ich na siebie skazania, od początku do końca i nieuleczalnie toksycznego. Aż przyjdzie śmierć, co nie zważając na młodość i starość, „wszystkie godzi sprzeczności”.

8

Ponowienie wzoru. — U szczytu swojego rozwoju Jarosław Marek Rymkiewicz napisał, że poezja może być tylko ponowieniem wzoru (*Czym jest klasycyzm. Manifesty poetyckie*, PIW, Warszawa 1967, s. 9). Pisał: „Twórczość poetycka jest – bez względu na to, czy poeta chce tego, czy nie, czy wie o tym, czy nie wie – odwzorowywaniem i ponawianiem kształtów, które znał czas miniony. Wzór jest dany i będzie się powtarzał w czasie teraźniejszym i w czasie przyszłym” (s. 168). „Sztuka nie zna pojęcia postępu i nie zaprzecza temu stwierdzeniu fakt, że dzieło współczesnego artysty bywa często komentarzem albo jako komentarz może być odczytane. Komentarz jest bowiem ponowieniem i odnowieniem dzieła, które zwykliśmy przypisywać czasowi minionemu” (s. 169). „Klasycyzm

[...] to nieustanna świadomość, [...] że nie ma idiomu poetyckiego czasu minionego i czasu teraźniejszego, bo jest jedno wielkie morze języka poetyckiego poza czasem [...]” (s. 175). W latach 60. XX wieku, w czasie wielkich przemian artystycznej świadomości, aprioryzm Rymkiewicza wzbudził opór. Oponenti dowodzili, że wyprowadzona z Carla Gustava Junga i Jolande Jacobi, Thomasa S. Eliota i Ezry Pounda, poetów barokowych i dwudziestowiecznych koncepcja klasycyzmu jest – w ogóle i w szczególności – nie do przyjęcia. Bo kultura domaga się pracy myśli, bo ma wiele spraw do załatwienia, no i te obowiązkowe – moralne, patriotyczne itd. Dzisiaj te dyskusje poważne i nobliwe niewiele znaczą. Poezja jest żoną niewierną, tyłu zdradziła, tyłu doprowadziła na skraj rozpacz, że wierzyć w nią, to ulegać recydywie grzechu rozczarowania. Jeżeli jest ponowieniem wzoru, to właśnie ponowieniem grzechu (jako wzoru). Rymkiewicz miał jednakże rację: ponawiając, nadajemy sens kulturze, więc i naszej w niej obecności. Czytając jego eseje o Mickiewiczu i Słowackim, Fredrze i księciu Konstantym, o oświeceniowym wieszaniu i o Umschlagplatze, jego dwie encyklopedie o Słowackim i Leśmianie, jego wiersze z romantycznym rodowodem i te o barokowej tkance podskórnej, te z Milanówka o zmierzchu i te hiszpańskie, angielskie – więc: czytając Rymkiewicza, nie wierzymy w jakikolwiek koniec kultury. Każdy jej kod jest dla niego Barthesowskim *punctum*. „Użądła” nas. Jeżeli w *Kilku szczegółach* w pytaniu o lustro (kto się w nim przeglądał wcześniej, pewnie jest w tym lustrze jeszcze) pojawia się pytanie głębsze – o trwałość odbicia, pamięci, hipostazy, to jakkolwiek jest to także pytanie o przemijanie, to w innym znaczeniu. Rymkiewicz jest z porządku Pascala, nie Kartezjusza. I dlatego drżenie przez śmiercią, krzyk egzystencjalnego rozpadu chce obezwładnić oksymoronem. Ponowienie krzyku jest znakiem trwałości, ciągłości. Kultura broni się w znakach repetycji. Jeśli okrutnej, to widać tak być musi.

9

Wciąż Ukraina. — Piszę, czytam, komentuję. Oglądam mecze, igrzyska olimpijskie. Żyję jakby nigdy nic. A przecież pamiętam, że kultura życia, w której uczestniczę, nakłada się na kulturę śmierci, którą oglądam na zimnym ekranie telewizora. I kiedy sobie po raz kolejny uświadamiam, że mój świat jest światem bez nadziei, wówczas przypomina mi się Mieczysław Jastrun i jego esej z roku 1958 *Czy dehumanizacja słowa?* (w: *Forma i sens poezji. Eseje i szkice*, PIW, Warszawa 1988): „Jest coś wstrząsającego w bierności narodów, w serwilizmie elity umysłowej, w poddaniu się fatalizmowi historii. Mord i ujarzmienie stały się prawem. Słowo zostało zabite na równi z milionami ludzi z chwilą, gdy stało się wieloznaczne. Uniwersalia odwrócone i wyzbyte swych jednoznacznych treści pokazały, że mogą być bronią przeciw humanizmowi równie skuteczną jak broń atomowa, spustoszenia, które wywołują w duszach, są nie mniej przeraźliwe od pustyni wojny. Demokracja zagłady zastąpiła demokrację życia. Wszyscy zrównani są odtąd wobec zagłady atomowej, nie wszyscy wobec elementarnych praw istnienia” (s. 176).

10

Niebo wolności. — Rabindranath Tagore, *Gitanjali*, pieśń 35, przekład mój: „Gdzie myśl jest nieustraszona, gdzie brew podniesiona dumnie, gdzie wiedza jest wolna, gdzie świat nie jest podzielony na klatki, gdzie słowa pochodzą z głębi prawdy, gdzie dążenie bezustannie wyciąga ramiona ku doskonałości, gdzie jasny strumień rozumu nie błądzi po jałowej i martwej pustyni nawyków, gdzie umysł jest skierowany ku wielkim myślom i czynom – w takim niebie wolności, mój Panie, niech się obudzi mój kraj”.

Fragment przygotowywanej książki *Dziennik bez dat*.

Egzekucja na rynku

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Przez szparę między storami Józia lęklwie obserwowała rynek i cały czas robiło się jej niedobrze. Pani Jadzia stała przy drugim oknie i czasem komentowała to, co widzi, raz po raz pochlipując cicho. Zauważyła, że tym razem przywieziono mniej zakładników i ustawiono ich, tak jak dzień wcześniej, przed frontem kościoła pojezuickiego imienia Ignacego Loyoli i budynkiem Muzeum Miejskiego. Sześć ciał rozstrzelanych wczoraj mężczyźni wciąż leżało pod podwyższeniem, prowadzącym do drzwi świątyni, a przywiezieni stali sztywno, z podniesionymi rękami, w pięciu nieregularnych szeregach. Po drugiej stronie placu stał grubawy, mały oficer, do którego co jakiś czas podbiegali adiutanci i składali meldunki, a on raz po raz spoglądał na zegarek i z dezaprobatą potrząsał głową. Dopiero, gdy zbliżył się do niego młody oficer i zaszutował, uspokoił się i z rękoma opartymi o boki wielkiego brzucha, kiwał głową i coś w ożywieniu komentował.

– Ludzie mówią, że przywożą ich z koszarów artylerii, z ulicy Gdańskiej... – odezwała się kobieta, wycierając nos chusteczką i popłakując – Biedni ludzie, wczoraj zabili tutaj trzech braci Hanusiaków, których

matkę dobrze znam. Nawet dwóch ważnych księży zamordowali...

Józia spojrziała z przestachem na nią, zachwiała się lekko na nogach, ale przytrzymała się framugi okna i dalej obserwowała to, co dzieje się za nią. Nie była pewna, ale zdawało się jej, że przybyły młody oficer to ten sam, którego pierwszy raz zobaczyła przy szwederskim kościele, a potem przed domem Spatzów. Serce biło jej jak młotem, na czole pojawiły się małe kropelki potu a łydki tak drgały, że musiała co jakiś czas przekręcać półbuty. Po kilkunastu minutach młody Niemiec zaczął chodzić pomiędzy zakładnikami i wskazywać tych, których szeregowcy natychmiast popychali kolbami karabinów do pierwszego szeregu. Trwało to dość długo, tak jakby oficer rozkoszował się tym, co robił, albo jakby chciał popisać się przed starszym rangą wojskowym. Wyodrębniono osiemnastu mężczyzn w różnym wieku, ubranych elegancko i noszących robocze ubrania, w paltach i marynarkach, albo tylko swetrach lub koszulkach. Było ciepło, ale słońce schowało się już za domy, a jasna smuga widoczna była tylko za tymi, których młodzienc skazał na śmierć. Nagle jeden ze stojących w rze-



6,7 albo 8 września 1939, Bydgoszcz

dzie zerwał się do biegu i zaczął uciekać w stronę ulicy Batorego. Józia spostrzegła tylko jak ruszył przed siebie i jak luźną karabinu wycelował w niego wysoki żołnierz, a potem rozległy się trzy głośnie strzały, jeden po drugim. Młody oficer roześmiał się teatralnie, wskazał leżącego na ziemi i pogroził palcem pozostałym mężczyznom. Coś też do nich powiedział, ale dziewczyna i towarzysząca jej kobieta, nie mogły tego usłyszeć.

– Pewnie zabili biedaka... – powiedziała pani Jadzia i podeszła na chwilę do dalej ulokowanego okna, przy którym stała dziewczyna.

Nieco szerzej rozchyliła storę, ale nie mogła dostrzec tego, co stało się za załomem jej domu.

– Nie zobaczymy go stąd, ale przecież nie miał szans... Tylko wykazał odwagę... Choć i ona na nic się zdała... – ciągnęła wywód kobieta.

Żołnierze odprowadzili dwa szeregi mężczyzn na bok, zostawiając przed kościołem tylko pięciu z nich i po chwili dołączając jeszcze jednego, młodego nieszczęśnika, który dramatycznie dotykał swoich piersi i płakał żałośnie, szukając raz po raz kontaktu wzrokowego z najbliższymi stojącymi żołnierzami, albo z krążącym po placu dowódcą. Ten stanął naprzeciw skazańców i wygłosił jakąś krótką mowę, raz po raz grożąc mężczyznom wskazującym palcem prawej ręki, okrytej czarną, skórzaną rękawiczką. Pośród wybranych do rozstrzelania zakładników stał jakiś otyły ksiądz w sutannie, może sześćdziesięcioletni, a może starszy. Strasznie trząsł się i raz po raz chwiały na nogach, aż wreszcie upadł na kolana, a potem na prawy bok. Natych-

miast skoczył do niego dowodzący egzekucją oficer, chwycił karabin od najbliższego stojącego żołnierza i zaczął nim masakrować kapłana. Milczący tłum, spędzony na rynek i stojący po jego drugiej stronie, wydał przeraźliwy krzyk, ale gdy tylko oprawca zlustrował wzrokiem pierwsze jego szeregi, znowu zapadła cisza. Nagle z głośników zamontowanych na wojskowych samochodach zaczął dobiegać butny głos Hermanna Göringa. Józia poczuła jak drży szyba i wyodrębniła niektóre straszliwe słowa, pośród których powtarzały się dudniące zwroty: bez litości..., führer..., Rzesza..., zostaną zlikwidowani... Po odtworzeniu tego przemówienia, młody dowódca przywołał ruchem ręki pluton egzekucyjny, który zaczął maszerować w kierunku rzędu mężczyzn, stojącego już przy kościele. Żołnierze w wypolerowanych hełmach, szaro-niebieskich mundurach formacji lotniczej i lśniących, czarnych oficerkach, ustawili się dziesięć metrów od skazańców, unieśli karabiny i czekali na komendę. Ich dowódca stanął w połowie odległości od szeregu, ale odsunął się znacznie w stronę wąskiej ulicy, wychodzącej z rynku. Odwrócił się w stronę grubego oficera, a gdy dostrzegł jego znak, lekkie poruszenie głową, podniósł rękę i krzyknął tak głośno, że nawet Józia i pani Jadzia usłyszały komendę.

– Ognia...!!!!

Palba była tak potężna, że szyby w oknach zapiszczały, a gołębie siedzące na gzymsach kościoła i dachach, natychmiast zerwały się do lotu i zaczęły wielkim stadem okrażać rynek. Józia jeszcze zobaczyła jak zabijani mężczyźni wyrzucają w górę ramiona i padają bezwładnie na ziemię, a wokół nich szybko pojawiają się wielkie kałuże krwi. Odwróciła głowę od okna i osunęła się na ziemię zemdlona, na szczęście padając z dala od rzeźbionego oparcia fotela. Koleżanka jej matki pobiegła natychmiast po wodę do kuchni i wzięła też niewielki, namoczony ręcznik. Przyłożyła go do czoła dziewczyny i zaczęła nacierać jej skronie, unosząc rytmicznie ręce i naciskać uda. Pobudzenie krążenia przywróciło świadomość Józii, a gdy napiła się zimnej wody, mogła dźwignąć się na tyle, że z pomocą towarzyszki znalazła się w wygodnym fotelu. Jeszcze dwa razy kobiety usłyszały głośnie palby, ale nie miały już siły podejść do okien, tym bardziej, że obie płakały i przez lzy świat jawił się im rozmazany i bezkształtny.

– Przepraszam dziecko, że kazałam ci na to patrzeć, ale przyjdzie taki czas, że dasz świadectwo tym chwilom – ze smutkiem powiedziała starsza kobieta, a potem dodała – Nie możesz w takim stanie iść do domu, musisz tutaj zostać do jutra... Choć, położę cię do łóżka...

Dziewczyna z ogromnym trudem zwlekła się z fotela i podtrzymywana przez panią Jadzię, powędrowała do szerokiego łóża, stojącego w drugim pokoju, oddalonym od hałasów na rynku i tego, co tam się działo. Zasnęła niemal natychmiast i nawet nie poczuła, że kobieta leciutko ściągnęła jej sukienkę, pończochy i buty. Przeżycia tego dnia i to, co zobaczyła, uruchomiły w niej wir obrazów i nieomal natychmiast zaczęła snić. Szła przez mroczny las, lekko spoglądając na boki i często odwracając się do tyłu, aż nagle zobaczyła przed sobą dwa światła zbliżającego się samochodu. Stanęła z trwogą i czekała w wielkim napięciu, aż pojazd dojedzie do niej, ale moc lamp była tak duża, że osłoniła oczy ręką. To był wielki odkryty Mercedes, a w środku siedziało stado czarnych panter, z opaskami nazistowskimi na łapach. Gdy samochód ją mijał wielkie dwa koty z przodu zmieniły się w Hitlera i Göringa, a pozostałe zafalowały w przestrzeni i stały się grubym dowódcą egzekucji, jasnowłosym Wilim i żołnierzami z plutonu egzekucyjnego. Samochód zatrzymał się przy niej, Hitler wstał z siedzenia i patrząc na nią przenikliwie ślepiami leoparda, zapytał:

– Czy jesteś niemieckim dzieckiem...?

Józia przerażona potrząsnęła przecząco głową, a gdy zobaczyła, że wszyscy pasażerowie Mercedesa sięgają do kabur pistoletów, zaczęła uciekać w zarośla przydrożne. Słyszała z wielką intensywnością jak w powietrzu śmigają kule, a histeryczny śmiech Niemców odbija się echem w całym lesie. Nagle zobaczyła wielki dół i bez wahania skoczyła do niego, ale okazał się nową pułapką, bo przeniknęła widzialną przestrzeń i zaczęła gdzieś spadać, lekko zsuwać się z gładzi powietrza, jak liść klonu, jak gołębi puch. Nagle, niczym z zaświatów usłyszała wyraźnie wołanie matki:

– Józia...!!!! Józia...!!!! Obudź się dziecko...!!!!

Otworzyła oczy i zobaczyła, że jest już rano, a przy jej łóżku stoi pani Jadzia i jej mama, zapłakana i przestraszona nie mniej od niej.

– Wybacz Franiu, niepotrzebnie kazałam jej patrzeć na tych morderców – powiedziała.

– Serce mi stanęło, gdy wczoraj wieczorem nie wróciła do domu. Nie spałam całą noc, a wczesnym rankiem ruszyłam jej śladem i stanęłam pod twoimi drzwiami – odpowiedziała matka Józii.

– Mamo, ja chcę już wracać do domu – odezwała się Józia.

– Tak dziecinko, już wracamy... – powiedziała Franciszka – Już wracamy...

Fragment powieści pt. *Bromberg*, rozgrywającej się w Bydgoszczy w 1939 roku.



Śląski problem numer 1

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Burzliwe losy ustawy o mniejszościach zainteresowały na chwilę opinię publiczną, odsuwając w cień problem poważniejszy. Wymieramy. Spory ucihną wkrótce dwa metry pod ziemią. I nie ma na to ratunku, co spróbuję teraz wykazać i lingwistycznie, i socjologicznie, i – najdokładniej – arytmetycznie.

Gdy tworzone województwo śląskie w obecnych granicach (1999), liczyło ono 4.865.512 mieszkańców. W ciągu następnego ćwierćwiecza ta liczba zmalała o ponad pół miliona i już będzie spadać dalej bez zatrzymania.

Główny Urząd Statystyczny doliczył się 4.320.130 mieszkańców na koniec roku 2023, czyli na początku roku 2024. Szczegółowe dane GUS wykorzystałem do sporządzenia infografiki, ujawniającej problem. Ale najpierw o kobietach.

Młode matki

Na naszych oczach zachodzi na Śląsku niezwykle ciekawy proces. Otóż zupełnie zanika typowy dla miast industrialnych fenomen wielosłownego (czasownikowego) języka kobiet i rzeczowego (rzeczownikowego) języka mężczyzn.

W XIX wieku i w pierwszych dekadach wieku XX – w rodzinach robotniczych *chop* szedł pieszo do roboty przed świtem i wracał przez *sześć* dni w tygodniu późnym wieczorem, gdy *dziecka* już spały. Nie zawsze trzeźwy, bo też byli i tacy, którzy zadbali, by ich karczma stała gdzieś między kopalnią a osiedlem. Niedziela była wielkim świętem nie tylko dlatego, że to Dzień Pański, ale też: że ojciec był *w domu*.

A na co dzień w robotniczym domu rządziła *baba*, która wychowywała sporą gromadkę dzieci takimi – pamiętajmy – czasami śląskich Piastów – słowami i piosnkami, jakie sama zasłyszała w dzieciństwie. Ważny szczegół: **matki były bardzo młode!** Pierwsze dziecko rodziły nierzadko przed dwudziatką. Nie zdążyły więc zapomnieć tej aury, która tak niedawno je otaczała. Dzisiejsze matki są średnio o dziesięć lat starsze. Przez te dodatkowe lata nauczyły się wielu nowych rzeczy i nowych języków, ale o własnym dzieciństwie już nie pamiętają. Ten fakt ma poważne konsekwencje językowe i demograficzne.

Dzięki młodości matek i obecności ich sióstr, licznych kuzynek i sąsiadek trwały w mowie starożytne czasowniki, którymi matka nakazywała dzieciom coś robić albo też czegoś zakazywała. I przetrwało słowo najpiękniejsze, to, które tak często pragniemy usłyszeć i tak rzadko ważymy się wypowiedzieć: *jo ci praja!*

Mamy tu ogólniejszą prawidłowość: matka mówi do dzieci zdaniami rozkazującymi (do męża też!). Dzieci – zwracając się do rodziców – używają trybu pytającego. Babcie, opowiadające o rodzinie, dziadkowie, gdy mówią o dawnych czasach – korzystają z trybu oznajmującego, a znów ojciec, gdy synkowie zbytby dokazywali, używał trybu ręcznego, niekiedy z przedłużeniem.

Język domowy

W śląskich domach uchowały się też niezbyt liczne rzeczowniki słowiańskie, nazywające jakoś te sprzęty, które znajdowały się jeszcze w kuchni, ogródku i w komorze. Natomiast ojciec przynosił do domu nie tylko klocek z kopalni, ale i cały plecak niemieckich rzeczowników, które poznawał w szkole, w wojsku, w fabryce i w urzędzie. Oczywiście – mężczyźni używali też czasowników; podobnie jak kobiety – rzeczowników, ale nie to decydowało o żywotności języka, bo ojcowie nie mieli zwyczaju zbyt długo rozprawiać ze swoją *czelodką*... głosem.

Z kolei niemieckie czasowniki, konieczne w fabryce, nie znajdowały zastosowania w domu. Te czasowniki nie były wypowiadane, więc córki się ich nie uczyły; synowie poznawali je dopiero wtedy, gdy sami szli do roboty. A to od córek zależy trwanie języka!

Tylko córki!

Dlaczego córki są takie niezastąpione? Zwłaszcza jak jest ich kilka? Otóż córki wypełniały przestrzeń międzypokoleniową. Gdy najstarsza wychodziła za mąż (w wieku, powiedzmy, 18 lat) i nie wyjeżdżała za daleko, była zawsze otoczona wianuskiem młodszych sióstr i kuzynek. A na szerokim przełomie wieków XIX i XX model rodziny wielodzietnej był jeszcze na Śląsku powszechny. Młoda matka mogła mieć inne problemy na głowie, ale dla swoich młodszych sióstr stanowiła kluczowy punkt odniesienia. A już dziecko było dla nich pępkiem wszechświata. Mówiły do niego, śpiewały, odgrywały różne scenki. Powtarzały to, co same słyszały przy wychowywaniu kolejnych dzieci w rodzinie i w sąsiedztwie.

Nie wiem, o czym te dziewczyny rozmawiały, ale wiem, że śpiewały, tańczyły, wygłupiały się i robiły sobie psikusy. Dalej – to one (pod pieczę względnie młodej *starki*) przygotowywały wszelkie uroczystości domowe, które zazwyczaj wymagały nie tylko *kołacza*, ale też jakiegoś śpiewu, deklamacji, czy innego popisu.

Przed pojawieniem się radia – czas biegł powoli, czas domowy. Rodzina żyła w tej samej epoce kulinarnej i – córkami – przenosiła tradycje przez pokolenia. Dziś dziecko rodzi się w innej cywilizacji niż jego późna matka. Nie ma sióstr. W społeczności jednaków ciągłość kulturowa została zerwana.

Synowie też przed stu laty byli ważni w rodzinie, bo szybko szli do roboty i pomagali utrzymać całe to szczęście. Ale trwanie języka, pieśni, obyczajów i rytuałów zapewniały córki, nie synowie, którzy przy każdej okazji wyskakiwali na ulicę, szukać przygód i ewentualnego zarobku. Pilnowano przy tym srodze, żeby córki pod żadnym pozorem stamtąd zarobku nie przynosiły.

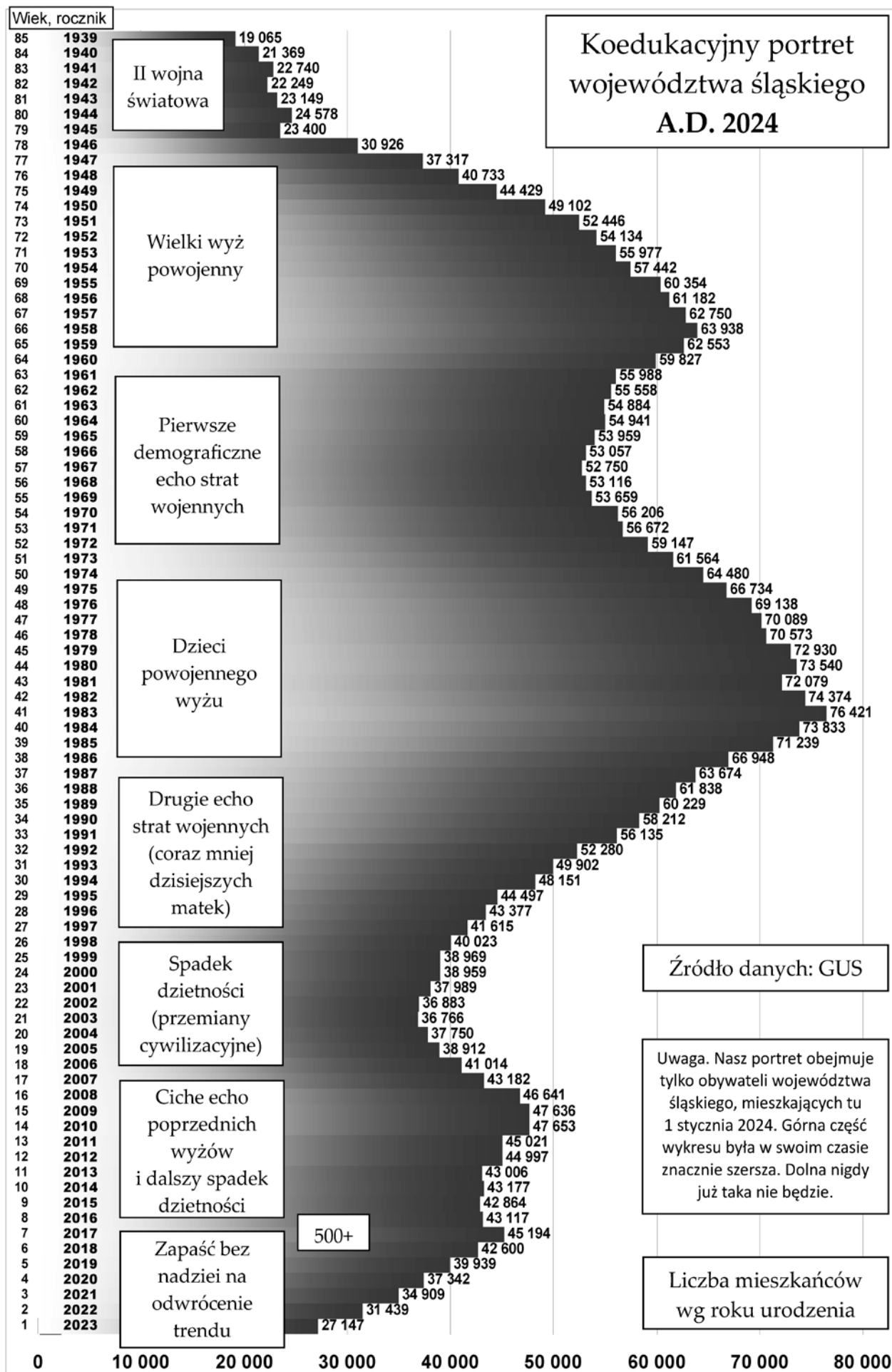
Język czasownikowy zanika

Śląskie czasowniki żyły, gdy w domu było dużo dzieci. Dziś jest dużo rzeczy. Na aspekt ilościowy zwracam uwagę nieprzypadkowo, bo dawne czynności i przedmioty zanikają wraz ze swoimi śląskimi nazwami i żadna ustawa ich nie przywróci. Skoro kobiety wypowiadały do swych dzieci 77 razy więcej słów na dobę niż mężczyźni, to znaczy, że język trzymany był w kobiecych rękach. Dziś jest inaczej: kobiety coraz mniej wychowują, coraz więcej posiadają.

Matki już nie rozmawiają z dziećmi, rzadko z mężami, często – z innymi kobietami. Zmieniły się tematy i rzeczowniki, a śląskie czasowniki nie są przeniesione przez pokolenia! Dzieci nie chcą niczego uczyć się od matek, a język młodzieżowy uśrednia się i gorolizuje. W czasach nazistowskich była to gorolizacja niemiecka, obecnie... amerykańska.

Te zagadnienia rozwijam w nowym, rozszerzonym wydaniu *Szychtownicy*, a teraz krótko o portrecie mieszkańców województwa śląskiego (obok). Pewne dopowiedzenia zamieściłem tam w ramkach, a tu zwrócę tylko uwagę na sam dół wykresu: na liczbę dzieci z najmłodszych roczników. Otóż ta liczba spada i będzie niepowstrzymanie spadać dalej, bo już w latach dwudziętych rok po roku zmniejszała się liczba dzisiejszych potencjalnych matek. Po prostu – nie ma kto rodzić dzieci!

To jest portret bezzębego starca. W latach 2009–2010 uwidoczniło się niewielkie jabłko Adama jako demograficzne echo wyżu wokół rocznika 1983, ale na to nałożyły się już te przemiany cywilizacyjne, które w perspektywie kilku pokoleń wygaszą ludność autochtoniczną. Przyjdą tu inni. I będą się domagać praw dla swoich języków.



Przygody z godkom

JANUSZ PLEWNIAK

Pprzed laty usłyszałem szkolny żarcik, który przytoczę. Nauczycielka poprosiła, by dzieci odmieniły zdanie z wyrazem „huta”. Zgłasza się Ewald i czyta: *Mój tata w hucie chodzi do roboty*. A w życiu? W połowie lat sześćdziesiątych XX wieku sam wówczas młodkiem będąc, prowadziłem 12–13-letnich chłopaków z bykowińskich familoków na wycieczki po Beskidzie. To były czasy, gdy z Bykowiny (obecnie Ruda Śląska 5), kolejowy przystanek zwał się od pobliskiej kopalni Nowy Wirek, z przesiadką w Kochłowicach, albo Ligocie można było dojechać pociągiem aż do Bielska-Białej. Tam vis a vis dworca PKP były przystanki autobusowe. Do odjazdu autobusu do Olszówki albo Szczyrku zwykle było jeszcze sporo czasu. Korzystając z przerwy w podróży, kilku synków udało się do pobliskiej piekarni. Szybko wrócili i prawie jednocześnie zgłosili mi pretensje do ekspedientki:

– Janusz, pogodej ze sprzedawczkom. Łona mo w szalfynstrze bryjtki, żymyły i kołoczki, a nom nie chce sprzedawać. Szybko udało się zajęście wyjaśnić; sprzedawczynie oczywiście nie rozumiała chłopców. To były czasy, gdy gwarowo, *naszom godkom*, *gadało* się bez mała wszędzie. Także w szkole, także na niektórych lekcjach, bo mądrzy nauczyciele wiedzieli, że przymusem niczego nie wskórają. Tu chciałbym oddać cześć doskonałym pedagogom w podstawówce i liceum – małżeństwu Stefani i Emanuelowi Pitlokom (mają od kilku lat ulicę swego imienia) oraz pani mgr Jadwidze Niedzielskiej z LO w Kochłowicach.

W końcówce roku 2023 na zaproszenie prezesa „od zawsze” pana mgr Teodora Wawocznego uczestniczyłem w koleżeńskim spotkaniu w pomieszczeniach Klubu Sportowego „Grunwald Halemba”. W rozmowach przy biesiadnym stole, z miłym sercu zaskoczeniem usłyszałem, że *godka przychodzi nazod*, że bywają urzędy, gdzie są wywieszki na drzwiach „*Tu sie godo po ślonsku*”.

Faktycznie, nawet robiąc zakupy w okolicznych sklepach w Kochłowicach i Halembie, a także w Świętochłowicach, z wewnętrznym wzruszeniem z młodymi ekspedientkami rozmawiałem po śląsku.

W Szarleju urodzony, w Bykowni nie wzrastający, nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że nasza godka dla ludzi spoza Śląska może być zupełnie niezrozumiała. Dotarło to do mnie dopiero po przybyciu na studia do Wrocławia. A i potem gdy mi opowiadano, że poza Śląskiem filmy Kazimierza Kutza były wyświetlane z podpisami. Czyżby? Nie sprawdzałem. Natomiast znam doskonale osobę ze wschodnich krańców Polski, która po przybyciu na Śląsk, słysząc często określenie *gorol*, *gorolka*, nie pytając nikogo, a usłyszawszy przez uchylone okno, nerwowe męskie pogroźki „Ty pieroński gorolu”, była pewna, że teraz to już jej niewiedza zniknie. Wyjrzawszy, zobaczyła wozaka dostarczającego węgiel, który tak „pieszczotliwie” rozmawiał ze swoim koniem.

Przyjaciel mój, dusza towarzyska, tryskający improwizowanym humorem, wielokrotnie opowiadał, że język śląski jest, podobnie jak angielski, ogólnosiątkowy. Jako przykład podawał zwroty, z których tylko nieliczne zapamiętałem. Na przykład:

– Kaj żeś oroł? – Tomorrow (Tu’m oroł)

– Kaj mom dać ta kopaczka? – Today (tu dej) Itd. Itp.

Zdarzyła mi się natomiast latem przy śniadaniu w pensjonacie na francuskiej Riwierze taka historyjka. Przedtem muszę podpowiedzieć, wyjaśnić, że w swoim rodzinnym gronie oraz pośród śląskich przyjaciół zazwyczaj *godom*. Podając mikrośniadanie syn właściciela pensjonatu każdorazowo pytał, czy do kawy podać mleko? I zazwyczaj zapominał. Trzeciego dnia wyrwało mi się głośne: „*Że mleka zaś nie podoł*”. Nie słuchając do końca, jakby zrozumiał, obrócił się na pięcie i za moment przybył z *kanką* pełną mleka. Dodam, że francuskie *J’aime le lait...* = lubię mleko, wymawiane słyszy się „*że mle...*”.

Śląska tożsamość dalece w nas drzemie; to sporo więcej niż tylko nasza ślonsko godka. Gdy po latach we Wrocławiu przybyłem do rodziców do Bykowiny z moją wybraną na żonę, gorolicą ze wschodniej ściany kraju, dziewczyna zrazu przypadła do serca mej mamie, pochodzącej z siemianowickiego Bańgowa. Z pewnym niezrozumieniem i zaskoczeniem musiała moja przyszła żona przełknąć przy powitaniu słowa mamy: *Nie przejmuj się niczym dzioucha, w naszej familji już je jedna z Polski*.

Na zakończenie, jeszcze jedna autentyczna anegdotka. Byliśmy na hiszpańskiej wyspie Ibiza. Samotnie wybrałem się stromą ścieżką na zbocze pod turystyczną jaskinię. Według niedokładnej mapy, w pobliżu miałyby się znajdować kaplica–twierdza. Dochodząc, spotkałem trzy panie, na wygląd młode niemieckie emerytki i spytawszy je o cel moich poszukiwań, nie otrzymałem wskazówki, a jedynie informację, że przed jaskinią jest kiosk i kioskarz Hiszpan rozmawia też po niemiecku. – *Nie ma sprawy, dam sobie radę, też w innych językach* – odpowiedziałem chyba lekko buńczucznie.

Kioskarz wskazał mi zupełnie inny kierunek (dotarłem tam nazajutrz). Wracając spod jaskini, znów natknąłem się na tę trójkę niemieckich kobiet z rodzaju panius typu „ęą”. Te zagadnęły mnie prowokacyjnie po angielsku, czego, nie znając tego języka, rzecz jasna nie zrozumiałem, aliści mając w łepetynie kilka typowych, w prawie każdej sytuacji przydatnych angielskich zwrotów, odpowiedziałem kalką z pewnego wierszyka „Maybe yes, maybe no, I don’t know”. Odpowiedź pasująca do wielu okazji, zatem przypuszczałem, że i na tę okoliczność. Po czym przeszliśmy na niemiecki. Tym razem panie, już bez okazywanej wyższości zapytały, *jakie pan zna jeszcze inne języki?* Odpowiedziałem dumnie, *śląski*. – *Phi, co to za język?! – wydrwiły*. A ja hardo odpowiedziałem: *To jest język mojej mamy*.



Teatr COGITATUR

Ein deutsches Requiem

W PAŹDZIERNIKU

W RAMACH
IV EDYCJI
W SŁUŻBIE DUCHA
I CIAŁA

www.sztukadlazycia.pl

GRUPA
CALVIN
“ODCZYTANIE
SCENARIUSZA:
DEUTSCHE
REQUIEM”

PERFORMANCE
POŚWIĘCONY
PAMIĘCI
WITOLDA
IZDEBSKIEGO

Witold Izdebski:
Deutsche Requiem

2024

Teatr COGITATUR

projekt plakatu: Bogdan Dopierała



LUDZIE I PORCELANA



**ZAKŁADY
PORCELANY
BOGUCICE**

**6.09.24-
-12.01.25**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie

**Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury
Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną
przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego**



Muzeum
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl

Partnerzy:


MUZEUM
W GLIWICACH


PORCELANA
BOGUCICE